

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(86) 2017

Notatki z czasu wojny ♦ O Zofii Batyckiej ♦ Mit „Skiza” Gabrieli Zapolskiej ♦ Rozmowa z prof. Zdzisławem Żygulskim ♦ O artystach malarzach lwowskich ♦ Poezja Marcina Hałasia ♦ Proza Roberta Nowakowskiego ♦ O zaginionym oddziale AK z Kamionki Strumiłłowej ♦ Słownik nazw ulic i mieszkańców Lwowa ♦ Setne urodziny pani Emilii Fedyk ♦ Książki

A jednak kontynuacja...

Szanowny Redaktorze, Drogi Andrzeju,

21 lat byłeś redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia-Leopolis”.

To Ty stworzyłeś to czasopismo, nadałeś mu, dzięki swojej pracy i zaangażowaniu, rangę jednego z najważniejszych ogólnopolskich wydawnictw poświęconych tematyce kresowej.

Nie była to tylko rola redaktora. Opracowując każdy kolejny numer kwartalnika oddałeś swój talent, swoją wielką wiedzę, a przede wszystkim swoje serce na rzecz upamiętnienia dziedzictwa kulturowego utraconych ziem Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej wraz z pięknym, nieodżałowanym Lwowem. Twoja niezwykła wyobraźnia znalazła także wyraz w układzie graficznym każdego z numerów kwartalnika.

Ale wśród wielu innych Twoich zasług trzeba podkreślić jeszcze jedną.

W każdym zakątku naszego kraju można spotkać osoby, które kiedyś mieszkały we Lwowie i innych miejscowościach wschodniej Małopolski. Dla nich kontakt z czasopismem „Cracovia-Leopolis” był nie do przecenienia. Ci starsi ludzie czekali co kwartał na nowe teksty historyczne, wspomnienia, prozę, poezję, a także na świąteczne życzenia od redakcji, która pracowała dla nich.

Pragniemy wyrazić wielkie podziękowania za wieloletnią, wspaniałomyślną i bezinteresowną pracę, którą niosłeś radość innym i utrwalałeś pamięć o naszych stronach.

W imieniu Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich łączę serdeczne wyrazy wdzięczności.

*Prezes Zarządu
Adam Guyrkowich*

W Krakowie, 10 grudnia 2016 roku

Tym listem, pod którym podpisuje się też cała redakcja kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, dziękujemy wraz z Oddziałem Krakowskim TMLiKPW za lata pracy i poświęcenia naszemu Przyjacielowi – redaktorowi Andrzejowi Chlipalskiemu, który nadal pozostaje w naszej redakcji. Aczkolwiek słowa, choćby najpiękniejsze, nie są w stanie wyrazić wdzięczności, jaką czujemy wobec Andrzeja. Kwartalnik „Cracovia-Leopolis” znów będzie się ukazywał systematycznie, a wszystko dzięki Państwu – Czytelnikom domagającym się, by pismo istniało, i Zarządowi Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, który zdecydował o konieczności wydawania kwartalnika. Skład redakcji na razie niewiele się zmienia. Dziękuję wszystkim współpracownikom, którzy swą postawą wsparli mnie podczas podejmowania decyzji o kierowaniu naszym kwartalnikiem oraz w trakcie powstawania tego numeru. Zapraszając do lektury pisma, mam nadzieję, że „Cracovia-Leopolis” nadal inspirować będzie Szanownych Państwa do zapisywania swych rodzinnych historii, tworzenia interesujących artykułów poświęconych Kresom – ich przeszłości, ale i teraźniejszości.

Janusz M. Paluch

Homilia o. Dominika Orczykowskiego

22 listopada 2016 – Bazylika Mariacka

MOI KOCHANI!

Setki razy mówiłem do młodych ludzi – były to zuchy, przedszkolaki, szkolne dzieci i młodzież – w różnych miejscach, ostatnio nawet przyleciał po mnie samolot i leciałem do nich za Rzeszów, żeby powiedzieć kazanie dzieciom i młodzieży o patronie ich kościoła, ich szkoły. Dlaczego zaczynam od takiego wstępu? Przeczytam wam poezję napisaną przez Artura Oppmana mówiącą o tym, co jest treścią naszej dzisiejszej modlitwy i pamięci:

O mamó, otrzyj oczy,
Z uśmiechem do mnie mów...
Ta krew, co z piersi broczy –
Ta krew – to za nasz Lwów!...
Ja biłem się tak samo
Jak starsi – mamó chwał!...
Tylko mi Ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żał!...

Z prawdziwym karabinem
U pierwszych stałem czat...
O, nie płacz nad swym synem,
Co za Ojczyznę padł!...
Z krwawą na piersi plamą
Odchodzę dumny w dal...
Tylko mi Ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żał...

Mamó, czy jesteś ze mną?
Nie słyszę Twoich słów –
W oczach mi trochę ciemno...
Obroniliśmy Lwów!
Zostaniesz biedna sama...
Bacność! Za Lwów! Cel! Pal!
Tylko mi Ciebie, mamó,
Tylko mi Polski żał...

Tylko mi Polski żał... Wspominamy Orlątko, które zginęło gdzieś tam na Łyczakowie w listopadzie 1918 roku, a ja będąc chłopcem, w 1938 roku, byłem zuchem w drużynie imienia Jurka Bitschana. Tym Orlątkiem, o którym pisał Artur Oppman, był Jurek Bitschan, 14-letni harcerz, skaut.



Po latach byłem na cmentarzu na Łyczakowie, w 1975 roku, gdy sowietami rządził Breżniew, kiedy chcieli zasypać śmieciami prochy tych, którzy stanęli w obronie Lwowa. Ale dlaczego stanęli w obronie Lwowa? Dlaczego chcieli, aby Lwów był ich? Nasz! Bo kochali Ojczyznę. Miłość Ojczyzny to jest światłość! Kiedy byłem na poświęceniu szkoły we Wrocławiu noszącej imię pułkownika Bolesława Orlińskiego, słynnego polskiego lotnika, do dzieci i młodzieży przemawiał między innymi generał Mirosław Hermaszewski, kosmonauta. Przypomnił hasło, jakie było umieszczone na sztandarach lotników polskich: „Miłość żąda ofiary”. Jak on to pięknie powiedział! Jakiej ofiary? – choćby ofiary z życia. Ale co to jest Miłość Ojczyzny? Niech powiedzą to dzieci, które były nękanie w Wielkopolsce w zaborze pruskim, niech powiedzą ci harcerze, którzy zginęli na wieży spadochronowej w Katowicach w 1939 r., gdzie przy tamtejszym kościele niedawno się za nich modliłem. Czy te Szare Szeregi – niezliczone szare szeregi dzieci, harcerzy... Czy mam wyliczać wszystkich? Miłość zawsze żąda ofiary. Co to jest Miłość Ojczyzny? Co to znaczy kochać Polskę? Wystarczy przywołać z pamięci moich kolegów, przyjaciół ze szkoły w Drohobyczu. Bolszewicy przyszli do Drohobycza w 1939 roku, potem pojawili się Niemcy, Rosjanie po raz drugi wkroczyli w 1945 roku. Nie by-

liśmy pokorni wobec okupantów. Aresztowali moich kolegów, przyjaciół z klasy. Mieli po 17 lat. Wywieźli ich na Workutę, na Kołymę – poszukajcie na mapie, gdzie to jest. Niejeden nie wrócił, a ci, co wrócili, już nie żyją. Moi koledzy ze szkoły... Miłość żąda ofiary.

Co to jest Ojczyzna? To jest Mama. To jest Matka, to jest Ona. Wróćmy do dnia dzisiejszego. Bez przerwy towarzyszę młodzieży, bo jestem harcerzem, harcmistrzem, byłem zuchem, uczestniczyłem w wielu obozach harcerskich, nawet prowadziłem obozowe kroniki. Byłem z harcerzami u Papieża Jana Pawła II. Na Dniach Młodzieży w Częstochowie, w Rzymie. Obserwuję ich z uwagą. Patrzę i jestem smutny. Bo dzisiaj młodzi ludzie, młodzi Polacy, przestają kochać Polskę. Nazywają się Europejczykami. Owszem – wyjeżdżają za chlebem do Anglii, Niemiec, Ameryki. Tracą wiarę, tracą polskość, bo zapomnieli o Mamie. Mamo, jak mi Cię żal, żal, Ciebie, żal... Matkę trzeba kochać. Ta Matka nazywa się Polska. Polska chrześcijańska. O Boże, jakbym zaczął wspominać tych wielkich ludzi, którzy stali na rubieżach, bronili Polski... Byłem z lotnikami w Częstochowie, pamiętałem, że pułkownik Orliński, generał Skalski – harcerze, bronili Ojczyzny i ginęli, bo miłość żąda ofiary. Przecież śpiewamy o tych, którzy szli na Monte Cassino: *a wolność krzyżami się mierzy...* A ilu tych młodych ludzi, którzy przeszli przez Rosję, Irak spoczęło

właśnie pod Monte Cassino? Musimy o nich pamiętać! Musimy się za nich modlić! Oni są wśród nas. Są Orleńta, są Szare Szeregi, są Warszawskie Dzieci. *Warszawskie dzieci idziemy w bój...* Dzieci! Pamiętajcie, dzieci – Matka jest jedna! Jedna! My, Polacy, mamy jeszcze inną Matkę. Przypatrzcie się dobrze ołtarzowi Wita Stwosza. Jest tam taka osoba, którą podtrzymuje św. Jakub Starszy, wokół której zgromadzeni są Apostołowie. To była Matka Chrystusa. Nasza Matka! Oddaliśmy Jej w opiekę nasz naród. Jeszcze tylko przypomniemy, że naszym królem jest Chrystus. I kto jest wierzący, kto kocha Boga, ten kocha Matkę. O Boże, jak trudno mi mówić... Wróćmy jeszcze do przeżytych czasów okupacji. Gdy przyjechali komuniści aresztować mojego ojca, nie było go w domu. Później aresztowali moich kolegów. Gdy z harcerzami ukrywałem się w górach, przyjechali gestapowcy aresztować mojego ojca. Dlaczego? Dlatego, że był Polakiem. Dlatego, że kochał Ojczyznę, że jej nigdy nie zdradził, nie sprzedał się, nie występował przeciw braciom. Oj, moi kochani, miłość żąda ofiary. Dlatego mówię: zawsze czuwajcie, bo zły krąży wokół nas, chce rozbić nas, chce nam zabrać i zabiera, co dla nas najcenniejsze. Chce nas zniewolić i dlatego ofiara zwykłych dzieci Lwowa, dzieci Warszawy, dzieci Katowic nie może iść na marne, jeżeli miłość żąda ofiary. Kochajmy Polskę! Amen.

*Z okazji Świąt Wielkanocnych
życzymy Państwu radości ze
Zmartwychwstania Chrystusa
i wielu Błogosławieństw Bożych
na każdy dzień!*

Wesołego Alleluja!



Andrzej Chlipalski

MOJE NOTATKI Z CZASU WOJNY

Mojemu pokoleniu przypadła straszna wojna. Wojna, która odmieniła oblicze świata, przede wszystkim Polski, oblicze mojego świata, mojego miejsca na ziemi i mojego środowiska. Wtedy oczywiście nie zdawałem sobie sprawy z powagi i „historyczności” tego, w czym bierzemy – jakiś małeńki, bierny – udział. My odbieraliśmy to jako ciąg bardziej lub mniej ciekawych zdarzeń, czasem pełnych emocji, czasem śmiesznych, dość szybko w istocie pozoru zapominanych. Upłynęły lata, nim dopiero zdaliśmy sobie sprawę, że już nic nie wróci do dawnego kształtu, że wszystko będzie całkiem nowe, inne – i dla nas niedobre.

W tym przeświadczeniu już pozostałem. Pewnie nie ja jeden.

* * *

Druga wojna światowa przypadła więc na moje lata dziecińne, między 8. a 14. rokiem życia. Przeżyliśmy ją – ja z moją najbliższą rodziną – względnie spokojnie, choć na długie 8 lat zabrakło nam ojca, a dziadków (rodziców ojca) wywieziono do Kazachstanu. Nie mam żadnych (poza tym) szans z tego ówczesnego przeżyć ani doświadczeń z tamtego czasu, ominęły mnie dramatyczne wydarzenia wojny, a nawet i to, które w historii współczesnej stało się największą tragedią narodu polskiego – w większo-

ści zrazu nie uświadomioną – wysiedlenia z Ziemi Wschodnich. Wysiedlenia bezpośrednio przeżywanego.

Jednak wojna, która się nad nami przevaliła, pozostawiła moc wspomnień, które układają się w jakiś ciągle żywy fresk, na którym mniej ważne, ale barwne sceny rysują się mocno na tle tamtych ważniejszych, lecz przyćmionych. Przyćmionych dla dziecka, które wiele słyszało i może wiele rozumiało, ale nie wszystko traktowało z należytą powagą.

Te małe scenki, nierzadko zabawne w swej istocie, przerzutowane na zdobytą po latach wiedzę o tragicznej wojnie, uzupełniają ją i uplastyczniają. Dlatego sądzę, że warto utrwalić nieco tych dziecińczych wspomnień, potwierdzających niejako to, co znamy z oficjalnej historii.

* * *

Ojciec mój, z zawodu inżynier-mechanik, był do czasu wojny szefem warsztatów lotniczych we Lwowie – mieścili się gdzieś w nieznanej mi części miasta poza ulicą Gródecką. W kilka dni po wybuchu wojny otrzymał nakaz wywiezienia w kierunku wschodnim urzędzeń i fachowców. Wyjazd nastąpił 11 września. Punkt zborny wyznaczono na samym końcu ulicy Nabieleka, gdzie po lewej stronie (na rogu ulicy

Panorama Lwowa – widok z okresu okupacji, 1941 r.
fot. B. Pindelński



Strzały) rosły duże, rozłożyste drzewa. Pod tymi drzewami ustawiły się załadowane już ciężarówki (ukryte na wypadek nalotu) i tutaj dosiadła część ludzi, w tym mój ojciec, a także jego brat Jan, prokurator, który obawiał się represji w przypadku zajęcia Lwowa przez Niemców.

Pod tymi drzewami pożegnaliśmy się z ojcem, jak sądziliśmy – na krótko. Spotkałiśmy się ponownie w innym miejscu i w innej epoce, ale nasze życie wróciło do jakiejś tam normy. Dla mojego stryja i jego rodziny było to pożegnanie na zawsze, choć nikt z nich w tej wojnie nie stracił życia. Wojna zabijała nie tylko fizycznie.

Tu warto wtrącić, że w pierwszych dniach września zjechali do Lwowa uciekinierzy z Krakowa, a pewna grupa znajomych skorzystała z gościnności moich rodziców. Po paru dniach uciekli chyba dalej (dokąd?), pamiętam jedynie, że jakoby przekraczając granicę rumuńską zginął tam kolega mego ojca z Bielska, Włodzio Wiskida, krakowianin.

Mieszkaliśmy do tego czasu przy ulicy Nabelaka 35, na samym końcu zaułka, który zaczynał się przy sowieckim konsulacie. Na drugi dzień po wejściu bolszewików do Lwowa nasza bona (odprawiona przez mamę w kilka dni później) wyprowadziła nas na spacer. Wchodząc na ulicę Nabelaka ujrzeliśmy konwój kilkudziesięciu chyba wozów konnych ze sprzętem wojskowym – jechali od dołu (od ul. Pełczyńskiej i Lenartowicza) w kierunku ulicy Na Bajkach. Z przeciwnej strony ukazała się kolumna młodych ludzi, mężczyzn i kobiet, z czerwonymi flagami i transparentami. Mijając wolno posuwający się konwój, wykrzykiwali coś, czego nie rozumiałem, ale co brzmiało radośnie i unosili pięści do góry. Zaraz przybiegła mama, zbesztła bonę i zabrała nas do domu. Potem dowiedziałem się, że była to komunistyczna młodzież żydowska, witająca „wyzwolicieli”.

* * *

Kiedy stało się oczywiste, że wojna nie skończy się prędko, bo Niemcy i sowieci usadowili się w Polsce na dobre, a nasza rodzinna sytuacja, wynikająca z wyjazdu ojca, stawała się niebezpieczna (nie mówiąc o stronie materialnej), mama postanowiła, że zlikwidujemy mieszkanie na Nabelaka

i przeprowadzimy się do babci Łukowskiej na Kadecką 28. Babcia i jej młodsza córka, ciocia Alina (zwana w rodzinie Dzidzią), zajmowały 5-pokojowe mieszkanie. Naszą przeprowadzkę przyspieszyło zajmowanie przez sowieków pokoi w mieszkaniach na „kwaterach” dla ich oficerów. Pośpiech nie na wiele się zdał, bo i tak zabrali 2 pokoje, zostaliśmy więc w trzech. Dla sześciu osób – licząc ze służącą Marynią – wydawało się to w tamtej (ginącej właśnie) epoce horrendalnie mało – nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do warunków wojennych. Nadeszło to jednak niebawem.

Byliśmy więc teraz w sześciorgo: babcia, ciocia Alina, mama i nas dwóch (8 i 3 lata). Marynia została z nami aż „do końca”, tzn. do opuszczenia Lwowa przez ciocię Alinę w roku 1946. Mieszkała w straszliwej służbówce przy kuchni. Wspomnienie tej nory żenuje mnie do dziś.

* * *

Sowieci zajęli więc dwa pokoje, co gorsze – z łaźnią, do której wchodziło się z jednego z zabranych pokoi, przeznaczono widać przez architekta na sypialnię (u babci była to akurat jadalnia).

Przez okres pierwszej okupacji sowieckiej mieszkaliśmy u nas kolejno trzy rodziny oficerów NKWD. Stosunki z tymi rodzinami układały się bardzo dobrze – nie wiem, czy zawdzięczaliśmy to talentom dyplomatycznym babci, czy też w istocie poczciwości tych biednych ludzi (nawet enkawudzista mógł w domu być „normalnym” człowiekiem, a draniem stawał się na służbie).

Pierwszymi lokatorami było młode małżeństwo Knyżów, gdzieś z Ukrainy, Dymitr (Dymitr) i Nusia oraz niespełna 2-letnia córeczka Ałeczka. To dziecko uczyło się dopiero mówić i jej pierwszym językiem stał się... polski. Babcia pozwalała sobie czasem w kuchni na uwagi na tematy polityczne. Nasza chazajka (tak się wtedy do nich i o nich mówiło: chazaj i chazajka to było zniekształcenie od choziai i choziajka), otóż nasza chazajka przyjmowała opinie babci ze zrozumieniem, a nawet aprobatą, ale pewnego razu ostrzegła: *Pani, do mnie możecie, ale przy moim mężu nigdy tego nie mówcie.*

Chazajka była dwudziestoparoletnią przystojną kobietą. Miała kiedyś jakieś kło-

poty ginekologiczne i chciała się wybrać do lekarza. Babcia skierowała ją do znajomej lekarki, dr Duczyńskiej (żona emerytowanego pułkownika WP, mieszkali na ul. Oficerskiej), która mnie i mojego brata odbierała przy porodzie. Przed wizytą babcia zwróciła chazajce uwagę, że powinna być porządnie ubrana, bo idzie do znanej lekarki, która zawsze miała „porządne” pacjentki. Uwaga ta zrobiła na Niusi wrażenie, ale szkopał był w tym, że nie miała niczego porządnego, więc pożyczyła jej bieliznę (jedwabną) i pończochy (też jedwabne)... Marynia. A na dodatek srebrny zegarek. Pani Duczyńska opowiadała potem, że była to jedyna jej pacjentka-sowiecka, która była tak ubrana. Paradoks polegał na tym, że osoba postawiona względnie wysoko w sowieckiej hierarchii (żona oficera) pożyczyła to od osoby położonej najniżej w naszym przedwojennym układzie społecznym.

Knyżów pewnego dnia gdzieś przenieśli (ku naszemu żalowi za Ałeczka) i przybyli nowi: Woropajewowie, Rosjanie, małżeństwo w średnim wieku, bezdzietne. Też NKWD, ale jakoś się wyróżniali, byli na swój sposób nawet eleganccy w wyglądzie i zachowaniu. On był miłośnikiem sztuki i przynosił sobie obrazy (nie wiem, czy były to reprodukcje czy oryginały, a jeśli to drugie – to skąd?). Wszystkie w ramach, zawiąły rosyjskim sposobem nie płasko na ścianie, lecz pod kątem. Był uszczęśliwiony, gdy babcia ofiarowała mu jakiś obrazek (też nie pamiętam, co to było).

Woropajewowie byli u nas krótko. Trzecią i ostatnią rodzinę pamiętam najlepiej, ale zatarło mi się ich nazwisko, byli chyba Ukraińcami. On – Żenia, ona – Raja (Raisa?), bezdzietni, sprowadzili sobie natomiast jego rodziców: ogromną „mamaszę” i małego „papaszę”. Mamasza nie znosiła synowej i mawiała (w kuchni): *Sztoże moj Żenia uwidieł w etoj parchatej jewrejkie?*

Nadszedł czerwiec roku 1941. Któregoś dnia, gdy Niemcy byli tuż-tuż, Żenia i Raja nie wrócili już po pracy, a po starszych zajęła ciężarówka, która zbierała swoje rodziny po okolicy. Wyszli z domu niemal tak, jak stali, większość rzeczy zostawili, choć niewiele mieli.

Minęło kilka lat, przeszła okupacja niemiecka, sowieci przyszli powtórnie. W naszym mieszkaniu we Lwowie została tylko ciocia Alina (my wyjechaliśmy w maju

1944), i kiedyś tam, z końcem 1945 roku albo z początkiem 1946, nadszedł adresowany do babci list od mamaszy, gdzieś z głębi Rosji lub Ukrainy, z dramatycznym zapytaniem, czy nie ma jakichś wiadomości od syna i synowej. Okazało się, że od tamtego czasu, od czerwca 1941, nie wiedzieli o sobie nic, pogubili się dokumentnie na tej nieludzkiej ziemi. Tak więc ich krótki pobyt w obcym kraju, we Lwowie w latach 1940–1941, stworzył im jedyny na świecie punkt stały, do którego mogli się odnieść, i to skutecznie, bo w jakiś czas potem przyszedł list od Rai. Dzięki temu rodzina po latach mogła się odnaleźć.

* * *

Wróćmy do pierwszej okupacji sowieckiej. Moja mama, która studiowała kiedyś romanistykę, nigdy jednak zawodowo nie pracowała, była praktycznie bez zawodu. Na szczęście znany nasz lekarz domowy, pediatra prof. Groër, zorganizował kursy pielęgniarskie dla osób, które znalazły się w podobnej sytuacji jak mama. Zaczęła więc mama pracować w klinice dziecięcej Groëra przy ulicy Głowińskiego. Ciocia pracowała w szkole jako nauczycielka wf. (skończyła przed wojną CIWF w Warszawie). Babcia prowadziła gospodarstwo.

Do wojny chodziłem do szkoły św. Marii Magdaleny. Były obok siebie *de facto* dwie szkoły tego samego imienia: starsza żeńska i nowsza męska. Sowieci zamienili męską szkołę na coś innego, a w żeńskiej szkole zorganizowali naukę koedukacyjną. Okres ten wspominam jako ponury, na szczęście niezbyt długi fragment życia. Do szkoły w zimie szło się po ciemku, bo lekcje zaczynały się o godz. 9, lecz czasu moskiewskiego, u nas była to 7. Dla siedmio- czy ośmiolatków był to jednak problem.

Także inne porządki sowieckie wprowadzono. W mojej przedwojennej klasie II byli chłopcy z roku 1930 i 1931 i analogicznie w klasie I – z r. 1931 i 1932. Sowieci „uporządkowali” nas latami. Ja, urodzony w 1931, „zostałem” w klasie II, starsi poszli do III, a do nas doszlusowali ci z dawnej I. Powtarzałem więc klasę z powodów „politycznych”.

* * *

14 kwietnia 1940 roku mama szła wcześnie rano do pracy. Kiedy schodząc w dół

ulicą Kadecką znalazła się mniej więcej na wysokości ul. Śliwińskiego, zobaczyła dziwną scenę: przed jedną z kamienic (po stronie nieparzystej, nr 5c) stała furmanka, do której ładowano rodzinę Kilianów z tobołkami. Pani Kilianowa była krewną mojej stryjenki Stefanii (znaną później jako twórczyni teatru lalek w Kazachstanie, a po wojnie w Warszawie, Janina Kilian-Stanisławska). Kiedy zauważyła moją mamę, zawołała: „Pani Danusiu, niech pani pójdzie do Stefy i powiadomi, co z nami robią”. Mama zawróciła i biegiem dotarła do domu moich dziadków Chlipalskich przy ul. Kosynierskiej 7. Dziadkowie mieszkali tam na I p., a na wysokim parterze stryjostwo Janek i Stefa (stryj wyjechał z Polski razem z moim ojcem). Mama weszła do pustego już domu: dziadkowie i ciocia Stefa z synami Adamem i Pawłem (12 i 8 lat) zostali w nocy zabrani. Oba mieszkania zostały splądrowane przez rodzinę dawnej służącej dziadków, Ukrainki Maryški, której – po jej zamążpójściu – oddali dozorcówkę. Podobno ona przyczyniła się do ich wywiezienia.

Mama wróciła natychmiast do domu i zaczęło się nerwowe pakowanie – na wszelki wypadek. Uniknęliśmy jednak wywózki, ale aż do odejścia Sowietów żyliśmy na spakowanych walizkach i tobołkach.

Dodam jeszcze, że zaraz po wejściu Sowietów ciocia Alina wyciągnęła schowane w domu przedwojenne szable dziadzia Łukowskiego i w nocy wyniosła je, wyrzucając w zaroślach pobliskiego parku. Równocześnie w domu został spalony w piecu mały portret wuja babci, austriackiego generała.

Dziadkowie (75 i 68 lat) i ciocia Stefa z synami zostali „posieleni” w kołchozie „Kirów” w Kazachstanie, w semipałatyńskiej oblasti. Po 3 latach młodzi wyjechali stamtąd wraz z Armią Andersa, przez Teheran, Nazaret i Kair do Anglii. Do Polski nigdy nie wrócili, ani jej nie odwiedzili*. Dziadkowie zostali repatriowani w czerwcu 1947. W drodze powrotnej mój dziadek, jako najstarszy w tym transporcie repatriantów, musiał w imieniu całego pociągu podpisać podsunięty mu list dziękczynny do Stalina, wyrażający wdzięczność za umożliwienie przetrwania z dala od działań wojennych!

Z kamienicy przy ul. Kadeckiej 28, w której mieszkaliśmy, wywieziono jedną rodzinę, państwa Skórskich z dorosłymi dziećmi. Jeden z synów, korzystając z nieuwagi

pilnujących żołdatów, wybiegł na podwórze, wyskoczył na wysoki mur i uciekł przez niezabudowane parcele. Nie wiem, jak sobie dalej dał radę, nie wiem również, jakie były dalsze losy pp. Skórskich, a w szczególności ich córki, która jako kilkunastoletnia dziewczyna czytała mi i pożyczając uroczą kilkutomową *Książkę Zosi* – opowiadania z historii Polski dla dzieci. To pierwsze spotkanie z historią zaowocowało moimi zainteresowaniami na całe życie.

* * *

Jeszcze parę słów o naszej kamienicy. Lokatorzy tego domu reprezentowali sferę inteligentką w tradycyjnym znaczeniu (i taki charakter miała na ogół cała ulica**). Na parterze (wysokim parterze) mieszkali państwo Skórscy, na I p. wcześniej pp. Reichlowie (wyprowadzili się po śmierci swej jedynej córki, 12-letniej Zosi; jej wspaniały pogrzeb z domu na Łyczaków, przy osłoniętych kirem latarniach na całej trasie, pamiętam doskonale). Przed samą wojną sprowadzili się tu pp. Stanisław i Jadwiga Longchamps de Berier, z dopiero co urodzonym synkiem Piotrusiem (obecnie jest konsulem w Sydney)***. Z początkiem wojny doszły do tego mieszkania siostra p. Staszka, pani Wanda Olszewska, słynna jako jedna z dwóch pierwszych (wraz z Danutą Sikorzanką) pilotek polskich, a także ich matka, stara pani Longchamps (wdowa po naftarzu).

Na II p. mieszkali moi dziadkowie od strony matki. Dziadek Stefan Bolesław Łukowski był sędzią i do 1926 roku szefem wojskowego korpusu sądowego DOK VI we Lwowie. Po przewrocie majowym został odwołany na emeryturę w wieku lat 53. Otworzył wtedy kancelarię adwokacką w Gródku Jagiellońskim, bo był sędzią nie mógł być adwokatem w tym samym mieście przez 10 lat. Niestety zmarł już po 7 latach.

III p. zajmowała rodzina Mniszków, ziemian z Zbrucza, którzy utracili majątek przez rewolucję bolszewicką. Ich dwór, czy pałac, w Żeglówce stał podobno nad samym Zbruczem, jeździli więc od czasu do czasu w tę okolicę, lecz po stronie polskiej i spoglądali na swój utracony dom. Państwo Mniszkowie mieli wiele dzieci i wnuków i większość tej rodziny znalazła się z początkiem wojny w ich mieszkaniu (w tym 6 córek). Były też i obce osoby, w tym 2 sublokatorów – stu-

dentów Politechniki Lwowskiej, odciętych od swoich rodzin w Krakowie. Razem w 5 pokojach gnieździło się tam okresowo za sowieckich czasów 15–20 osób. Za Niemców Mniszkowie zostali wyrzuceni ze swego mieszkania przez jakiegoś niemieckiego przedsiębiorcę (nie wiem, dlaczego upodobał sobie akurat III piętro), który tu otworzył biuro. Na szczęście Mniszkom pozwolono zająć puste mieszkanie na parterze po pp. Skórskich.

Na IV p. były dwie oddzielne „kawalerki”, jedna zajmowana przez starszą panią Święcicką, druga przez pana Dąbrowę.

Muszę jeszcze wspomnieć o naszym dozorczy – był to pan Teodor Podoba, z sumiastym wąsem. Wraz z żoną i najmłodszą córką mieszkali w suterrenach. Byli Rusinami, ale młodsze pokolenie chodziło do kościoła łacińskiego. Czując się Polakami, wyjechali wszyscy po wojnie na tę stronę kordonu. Zapamiętałem dwie piękne cechy pana Teodora. Pierwsza – to utrzymywanie wzorowego porządku w kamienicy i jej otoczeniu. Nam, dzieciom nie wolno było wejść na trawnik między chodnikiem a jezdnią (charakterystyczne dla ulic lwowskich), nawet by pozbierać spadające kasztany. Był zawsze idealnie wykoszony i czysty. Drugą niezapomnianą cechą pana Teodora była absolutna lojalność wobec lokatorów, jakże cenna w czasie wojny. W nocy nie otwierał nikomu obcemu – jeżeli się ktoś dobijał, dozorca naradzał się najpierw z mężczyznami (nielicznymi), zamieszkałymi w naszym domu, przede wszystkim z panem Longchamps.

* * *

Którejś niedzieli, może wczesną wiosną, może w jesieni, wczesnym, niemal jeszcze ciemnym rankiem obudziło nas energiczne i długotrwałe dzwonienie do bramy. Nie trzeba tłumaczyć, co mogło to oznaczać – w ciągu paru sekund cały dom stał na nogach. Ktoś otworzył i wtedy usłyszeliśmy przeraźliwy babski wrzask. Okazało się, że to dzień wyborów, a lokale wyborcze otwierano skoro świt. Aktywiści partyjni chodzili już od tej godziny po domach i rugali mieszkańców, że jeszcze się nie udali do urn wyborczych. W tej subtelnej metodzie „łagodnej perswazji” tkwiła tajemnica rewolucyjnego entuzjazmu najszerzszych mas ludu pracującego, który i u nas usiłowano zaszczepić.

* * *

Z dziadkami w Kazachstanie był cały czas kontakt listowy (mam ich listy do dziś). Los ludzi starych był tam szczególnie tragiczny, bo nie mieli z czego żyć – nie mogli pracować tak intensywnie jak młodzi. Babcia Aniela, pomimo zbliżającej się (a potem przekroczonej) siedemdziesiątki chodziła do pracy w polu, ale „koleżanki” – kołchoźnice besztaly ją za zbyt niską wydajność pracy – traciły na tym. Mama i ciocia Alina wysyłały ciągle paczki żywnościowe – zapamiętałem, że musiały być obszywane w płótno (chyba dla zapobieżenia otwierania w czasie przewozu i okradania). Paczki szły też do państwa Bielskich, którymi nie miał się wtedy kto opiekować (obaj synowie byli za granicą, a córka p. Krasicka z synami w GG)****. Z naszej rodziny wywiezione były ciocia Kamila Hauserowa (siostra babci Anieli Chlipalskiej) i jej córka, ciężko chora na reumatyzm ciocia Anusia Świątkiewiczowa. Ciocia Kamila umarła w drodze powrotnej do Polski, pochowano ją gdzieś przy linii kolejowej w okolicach Kijowa.

* * *

Przyszedł kres okupacji sowieckiej. Uciekli w popłochu, choć zdążyli w ostatniej chwili wymordować dziesiątki czy setki tysięcy ludzi w więzieniach – na Łąckiego, Zamarstynowie, w Brygidkach, w Złoczowie i tylu innych miejscowościach – to są sprawy znane. Łapali jeszcze na ulicach, zgarnęli także ciocię Alinę, gdy biegła do telefonu, by zawiadomić mamę, żeby nie wracała z pracy do domu, bo niebezpiecznie. Jakoś na szczęście po wielu godzinach udało jej się wyrwać, mama też szczęśliwie wróciła.

Wreszcie odeszli, nastąpiła absolutna cisza. Nikt nie odważał się wyjść na ulicę, a nawet wyglądać przez okno. Nie pamiętam, ile trwało to bezkrólewie, dzień czy dwa. Naraz, chyba około południa, usłyszeliśmy warkot motoru – zbliżyliśmy się do okna, patrząc zza firanki. Od dołu jechał Kadecką motocykl z przyczepą – Niemcy. Ten w przyczepce miał wycelowany karabin maszynowy. Skręcili w Herburtów i wrócili na dół.

Wszyscy doznali ulgi. Ludzie w zachodniej Polsce oburzali się na tych ze Wscho-du, którzy później opowiadali, że wejście Niemców było traktowane u nas jako swe-

go rodzaju wybawienie. Przeżyliśmy potem kilka lat okupacji niemieckiej, były też łapanki i rozstrzeliwania, wywózki na roboty do Niemiec i mordowanie w obozach. Była bieda, nieporównywalnie większa niż w Krakowie czy Warszawie, nie mówiąc o prowincji w GG (przekonaliśmy się o tym dobitnie, kiedy przyjechaliśmy ze Lwowa do Wieliczki w maju 1944 roku). A jednak każdy, kto przeżył obie okupacje: pierwszą sowiecką i niemiecką – wołał tę drugą.

Była więc dla ogółu Polaków okupacja sowiecka w latach 1939–1941 nocą najczarniejszą z czarnych. Opinia o drugiej sowieckiej okupacji od 1944 nie należy już do tematu tych wspomnień.

Osobnymi rozdziałami były oczywiście zarówno eksterminacja Żydów, dokonywana przez Niemców przy gorliwym udziale ukraińskich nacjonalistów, jak i mordowanie Polaków przez Ukraińców, które osiągnęło swoje tragiczne apogeum za okupacji niemieckiej. Zaczęło się jednak już za sowietów, choć osłabło, chyba ze względu na wycisk, jakiego doznali także Ukraińcy od swych wyzwolicieli, zwłaszcza po nacjonalizacji ziemi. Ukraińcy witali więc Niemców entuzjastycznie – obserwowaliśmy to na naszej ulicy, gdy wchodziły regularne oddziały wojska, na pewno specjalnie dobrane: strzelcy alpejscy, przystojni i opaleni, w pięknych i czystych mundurach o sportowym kroju, każdy z zegarkiem na rękę i wielu w okularach – atrybuty wtedy nie znane krasnej armii. W autach i motocyklach siedziały przy żołnierzach rozanielone ukraińskie dziewczęta, a sypaniu kwiatów i rozkosznym okrzykom nie było końca.

Nastał dla nas okres niepewności – co będzie dalej. Ukraińcy spodziewali się „wilnej Ukrainy”, jednak się zawiedli. Pamiętam ten dzień, gdy ciocia Alina wpadła w podskokach do domu z gazetą: utworzono Distrikt Galizien i włączono do GG. Żeby jednak „szczęście” nie było pełne, a równowaga zachowana, nie utworzono u nas „granatowej policji”, lecz milicję ukraińską, która bardzo dała się Polakom we znaki, nie mówiąc już o formacjach w rodzaju „Nachtigall”.

* * *

Pokoje zajmowane dotąd przez sowietów objęli Niemcy. Pewnego dnia zjawił się elegancki oficer z jednym czy dwoma żołnierzami, by obejrzeć tę kwatery. W domu

z dorosłych była tylko Marynia. Mówiłem jeszcze wtedy dość dobrze po niemiecku – miałem przecież bony Niemki, mnie zatem przypadł obowiązek rozmowy. Pokazałem mu pokoje i łazienkę (był zadowolony), a potem wdał się ze mną w rozmowę jak dobry wujek. Pytał o rodzinę, musiałem więc wszystko opisać. A ojciec? Wywieziony przez bolszewików – wyjaśniłem bez zająknięcia. Zabawne było to, że jeszcze przed kilkoma tygodniami musiałem kłamać, że właśnie Niemcy zabrali mi ojca.

Pierwsi wprowadzili się jacyś podoficerowie SS – jeden z nich był Ślązakiem i bardzo dobrze mówił po polsku, tyle że w śląskim dialekcie (rozpoznałem to dopiero po wielu latach, gdy zacząłem bywać na Górnym Śląsku, najpierw u ciotek i kuzynów, potem zawodowo). Na szczęście nie zagrzali długo miejsca, po czym wprowadził się oficer z ordynansem. Ordynans był dziennikarzem z Berlina, człowiekiem sympatycznym i delikatnym, nazywał się Beer. Nie ukrywał przed moją rodziną swego antyhitlerysty i pogardy dla przełożonego oficerka.

Najdłużej jednak mieszkało u nas małżeństwo Hans i Ria Henne z Hamburga, ludzie kulturalni i elegancy. On był z zawodu handlowcem (na bilecie wizytowym: Kaufman), a w Wehrmachcie zajęty był w intendenturze. Ona, córka lekarza z Bad Aabach pod Regensburgiem, też pracowała w jakichś wojskowych biurach.

Ci ludzie traktowali nas na równi, bez „übermenschowskiego” dystansu, można było nawet odczuć jakiś kompleks winy. Starali się nam zrekompensować sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, a dwóch rzeczy nie możemy im zapomnieć. Najpierw to, że codziennie na chwilę przed godziną 8 wieczorem wychodzili ze swych pokoi do kuchni na kolację i tam ją jedli. Wtedy wchodziła do ich pokoju mama (czasem zabierała mnie ze sobą) i na ich radiu nastawiała Londyn (Polacy radia mieć nie mogli). Audycja trwała pół godziny. W parę minut po wyjściu mamy Hennowie wracali. Taka umowa bez słów trwała przez długi czas.

Drugie, ważniejsze, co im zawdzięczamy, to spokojny wyjazd ze Lwowa – na jakiś czas, jak się nam wydawało. Był to rok 1944, trwały ostre bombardowania. Kuzynka mego ojca, ciocia Stasia S. mieszkająca w Wieliczce, zapraszała nas do siebie. Rów-

nocześnie Henne miał ewakuować swoje biura do Krakowa i dostał do swej dyspozycji samochód osobowy – jego żona wyjechała tam wcześniej. Zaproponował więc, że może nas zabrać do Wieliczki. Mama zdecydowała się na wyjazd. Babcia pojechała z nami, a w domu została tylko ciocia z Marynią, by pilnować mieszkania.

Wyjechaliśmy 6 maja 1944 roku. Mijałimy dymiące jeszcze po nocnych bombardowaniach ruiny kamienicy na ul. Leona Sapięhy i ludzi grzebiących w gruzach w poszukiwaniu resztek swojego dobytku. Gdzieś przed Gródkiem Jagiellońskim minęła nas kolumna pędzących samochodów, na jednym z nich czerwieniło się od generalskich lampasów. Ktoś potem objaśnił, że to Himmler wracał z frontu wschodniego.

Noc spędziliśmy w jakimś domu noclegowym w Przemyślu. Nazajutrz dotarliśmy do Wieliczki. W trzy dni później skończyłem 13 lat.

* * *

Wróćmy do lat wcześniejszych. Mama, znająca dobrze język niemiecki, dostała zajęcie w biurze Baudienstu – organizacji pracy przymusowej dla młodzieży w krajach podbitych (zamiast służby wojskowej, która nie mogła wchodzić w grę). Ci, którzy się narazili, byli zabierani na roboty do Niemiec. Wiele kartotek takich polskich chłopców zostało przez mamę unicestwionych.

Ciocia Alina dostała pracę w Instytucie Weigla przy karmieniu wszy, potem w analogicznym Instytucie Behringa, w laboratorium. Nabawiła się tam alergicznego kataru, który ją męczył przez wiele lat.

* * *

Chodziłem nadal do szkoły św. Marii Magdaleny – tym razem do budynku dla chłopców, bo z kolei część żeńska została zajęta na coś innego. Z początku okupacji niemieckiej chodzili jeszcze z nami Żydzi – pamiętam świetnego ucznia Reichensteina, Tennenbauma, Wienera czy Weinerja i śliczną dziewczynę Żurawską, którą całą klasą odprowadziliśmy do domu przy ul. Bogusławskiego. Inne nazwiska zatarty mi się w pamięci. Potem zniknęli.

W szkole był coraz większy „luz”, choć niby nauka trwała normalnie, ale program bardzo się zawężił. Coraz powszechniejsze

stawało się tajne nauczanie, gdzie zrazu podjęto uzupełnianie programu o przedmioty zakazane. Chodziłem najpierw na lekcje do pana Tadeusza Waligórskiego, naszego nauczyciela z MM (razem z Jackiem Szczękiem), potem do mnie do domu zaczęła przychodzić pani Maria Baczyńska, nauczycielka gimnazjalna, niegdyś koleżanka mojej mamy z gimnazjum Królowej Jadwigi. Kiedy ukończyłem szóstą klasę, zawiązał się komplet: Hanka Gröo (córka chirurga z ul. Kampiana), Krzysztof Chwalibogowski (syn pediatry z ul. Senatorskiej) i ja. Tu już była regularna nauka wg programu I klasy gimnazjalnej. Pani Baczyńska uczyła nas wszystkich przedmiotów z wyjątkiem matematyki, fizyki i łaciny, tych zaś pan Wincenty Podlacha, młody inżynier, syn znanego lwowskiego profesora historii sztuki z UJK.

* * *

Dzieci, jak i dorośli, mają czasem więcej szczęścia niż rozum. Opiszę zdarzenia, które w pełni potwierdzają tę starą prawdę.

Naprzeciw naszej kamienicy na Kadeckiej zaczynał się park, który ciągnął się wzdłuż Szkoły Kadeckiej i dochodził do ul. Stryjskiej. Po drugiej stronie tej ulicy wchodziło się już do właściwego Parku Stryjskiego. Otóż w części tego pierwszego, położonej *vis à vis* Szkoły Kadeckiej, zamienionej na szpital wojskowy, urządzili Niemcy cmentarz, Heldenfriedhoff (żeby nie było daleko!). Codziennie grzebano tam zmarłych w szpitalu, o czym dawały znać wielokrotnie salwy honorowe.

W roku chyba 1943 został zamordowany we Lwowie wicegubernator dystryktu Galicji – Wächter. W dniu jego pogrzebu byłem na lekcji, a wracając do domu zauważyłem na ulicach dziwny ruch. Pobiegłem więc z ciekawości we właściwym kierunku, aż dotarłem do rzeczonego cmentarza. Tam roilo się od gestapowców i SS-manów, a za chwilę nadciągnął kondukt pogrzebowy. Trzeba dodać, że książki i zeszyty z tajnego nauczania niosłem w zwykłej torbie, używanej na zakupy (dla niepoznaki). Stałem więc z tą torbą między gapiami, ale na szczęście żadnemu z policjantów nie przyszło do głowy, by mi ją zrewidować. Łatwo sobie wyobrazić konsekwencje, gdyby do tego doszło.

A teraz coś o dorosłych. Na lwowskiej Cytadeli Niemcy trzymali jeńców-oficerów

francuskich, którym udzielali pozwoleń na przechadzkę po mieście, pod strażą oczywiście. Któregoś dnia taka grupa kilku jeńców pod strażą żołnierza niemieckiego przyszła do pp. Longchamps, zaproszona tam pod nieobecność zakwaterowanego w przyległym pokoju Niemca Daegnera, na większe, zakrapiane przyjęcie. Traf jednak chciał, że Daegner zjawił się niespodziewanie, a że do swojego pokoju musiał się dostać przez ten, gdzie podejmowano jeńców, nie było innego wyjścia, jak zaprosić go do stołu. Połało się niemało wódki, a wtedy całkiem już ululani przedstawiciele dwóch nieprzyjacielskich armii wpadli na pomysł, by dla kawału zamienić się mundurami, co też uczynili. Tylko nieco trzeźwiesi uczestnicy libacji zdawali sobie sprawę, co by było, gdyby Francuz zechciał skorzystać z okazji i uczynić użytek z munduru niemieckiego oficera. Na szczęście dla wszystkich był na to zbyt pijany, a może i za mało przedsiębiorczy?

Historia ta, w której – rzecz prosta – nie mogłem osobiście brać udziału, stanęła mi żywo przed oczami, gdy 20 lat później jadąc do Francji przesiadałem się w Genewie z pociągu szwajcarskiego do francuskiego i przechodziłem przez kontrolę graniczną na tamtejszym dworcu. Urzędnik francuski, oglądając mój paszport, zauważył miejsce urodzenia: Lwów. Opowiedział mi, że w czasie wojny był w tym mieście jako jeńiec na Cytadeli. Wypytałem go oczywiście o tamto wydarzenie – ale nie, nie był uczestnikiem owej ryzykownej libacji.

* * *

Gdy sowieci wywieźli moich dziadków i kuzynów, mieszkania ich – i tak już wcześniej uszczuplone o „kwartiry”, zajęły w całości sowieckie rodziny. Po zajęciu Lwowa przez Niemców wprowadzili się tam Ukraińcy. Na parterze zamieszkała rodzina Krechowieckich, których starszy syn był „studentem” szkoły milicyjnej, zlokalizowanej chyba w Zakładzie Abrahamowiczów. Warto w tym miejscu wspomnieć, że do domu dziadków przylegał dom księdza ruskiego o nazwisku Zastyrec (Kosynierska 5). Słyszałem, że przed wojną były poprawne stosunki sąsiedzkie między moimi dziadkami a księdzem i „księżową”. Po wejściu Niemców przyjechała tam z „Reichu” ich córka (niemieckim stylem noszenia się starała się

bez sukcesu zatrzeć wybitnie wschodniostowiańskie cechy swojej sylwetki) wraz z kilkunastoletnią córeczką. Krasawica ta była gorliwie adorowana przez niemieckiego „narcyzowego”.

Pewnego razu ogłoszono, że dawni właściciele mogą się starać o „dzierzawę” swoich, znacjonalizowanych przez sowietów, własności. O domu nie mogło być oczywiście mowy, posiadanie jednak ogrodu wydawało się atrakcyjne. Przy domu tym był bardzo duży ogród, ponieważ dziadek mój – chcąc zapobiec ewentualnemu przystąpieniu swojego domu przez jakiś inny – wykupił sąsiednią parcelę od państwa Dylewskich (niedaleko była ulica ich imienia, nie zdałem się jednak dowiedzieć, kim byli). Mama przedłożyła więc stosowne dokumenty i ogród nam przyznano! Był niezwykle pomocny w tamtych czasach, bo dawał znakomite owoce i jarzyny, uprawiane gorliwie przez Ciocię Alinę. Umożliwiał ponadto – nam dzieciom – bezpieczną zabawę na wolnym powietrzu. Była to wartość nie do przecenienia, bo wszak przez tyle lat nie jeździliśmy na wakacje. Naszymi najlepszymi towarzyszami zabaw tych lat byli Renia i Kazik Gołdowie, wnuki państwa Mniszków z Kadeckiej 28.

* * *

Cóż, gdyby pogrzebać w pamięci, znalazłoby się jeszcze sporo innych wspomnień. Ale wystarczy, przecież ludzie mają więcej i ważniejsze wspomnienia. Ważniejsze, bo więcej przeżyli. Więcej mają do przekazania – i zapamiętania.

* Adam spędził całe dorosłe życie w Kanadzie, Paweł w Anglii.

** Gdy w wiele lat po wojnie znalazłem się jako „turysta” we Lwowie, oprowadzała nas po mieście sowiecka przewodniczka. Dowiedziałem się, że pochodzę ze Lwowa, zapytała gdzie mieszkałem. Wyjaśniłem, że na „Gwardiejskiej”, czyli Kadeckiej. Ona powiedziała: A, eto arystokratyczeskaja ulica. Wyjaśniłem że to bzdura, bo mieszkali tam zwykli ludzie...

*** Piotr Longchamps pracował po wojnie w MSZ i przebywał w wielu krajach jako polski dyplomata. Wtedy, gdy pisałem te wspomnienia, był akurat konsulem w Sydney. W latach po r. 2000 zastępował krótko polskiego konsula we Lwowie. A mnie wcześniej pytał o ulicę Kadecką, bo sam jej nie mógł pamiętać!

**** Państwo hr. Bielscy nie mieli wtedy w strefie sowieckiej nikogo z rodziny, kto mógłby się nimi opiekować. Obaj synowie byli za granicą, córka p. Krasicka z synami w GG. Pomocy udzielała więc moja babcia Łukowska, związana z p. Bielską od dzieciństwa.

Sławomir Dorocki

Paweł Brzegowy

(Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie)

Kobieta, która się śmiała

Wspomnienie o Zofii Batyckiej (1907–1989)



Fotografia Zofii Batyckiej z autografem dla czytelników „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”

Źródło: domena publiczna

W przedostatnim tygodniu sierpnia 1907 r. na świat przyszła córka cenionego adwokata galicyjskiego dra Eugeniusza Batyckiego i jego małżonki Janiny – Zofia. Wspaniałe było dzieciństwo tej dziewczynki, która jako jedynaczka całe ciepło i opiekuńczość rodziców otrzymała tylko dla siebie. Dorastała w domu zamożnym, odwiedzanym przez rozmaite osobistości z wyższych sfer Lwowa i nie tylko. Zabrana pewnego razu na inscenizację *Fausta*, zachwyciła się światem, jaki ukazał się jej oczom, a obdarzona duszą artystyczną pierwsze swe dziecięce marzenia skierowała ku baletowi pragnąc,

aby pewnego dnia wstąpić do właściwej szkoły. Tęsknota ta poniekąd doczekała się urzeczywistnienia poprzez późniejsze zajęcia z tańca dla dzieci. W zaciszu domowym dziewczynka zaczęła organizować przedstawienia baletowe wcielając się w wymaginowane księżniczki i wróżki. Amatorskim widowiskom poświęcała wiele czasu i uwagi. Licząc sobie około piętnastu lat udała się Zofia na film z Mary Pickford, będąc od tej pory przekonana, że jej życiowym przeznaczeniem jest kariera aktorska. Niczego już bardziej nie pragnęła, nieme kino skradło jej serce. Dobór zainteresowań nie spotkał się jednak z aprobatą rodziców. Pani z dobrego domu trudniąca się aktorstwem – dla dra Batyckiego kombinacja nie do zaakceptowania! Wyznała później: *Rodzice moi chcieli widzieć swą jedynaczkę wychowaną w atmosferze wyszukanej, a materialnie niezależnej, szczęśliwą na innej drodze, a nie jako aktorkę i do tego jeszcze filmową.*

Godzi się w tym miejscu odnotować, że były to czasy, kiedy szanujący się obywatele kinoteatru raczej unikali. Uchodziła bowiem twórczość filmowa za rozrywkę niskogatunkową, a w niektórych kręgach nawet pseudoartystyczną.

Ogląd ten zupełnie nieuzasadniony, szybko miał jednakże stracić na znaczeniu. Dorastająca Batycka, znajdująca się pod wyraźnym urokiem amerykańskich *femme fatale* Thedy Bary oraz Nity Naldi, coraz odważniej manifestowała swe oddanie dziesiątej muzyce. Młodzieńczą pasję Zofii podzielał przyjaciel domu Ludwik Solski – aktor i reżyser teatralny związany ze Lwowem, Łodzią i Krakowem. Przekonywał Batyckich, że córka w sposób nieskrępowany powinna rozwijać zainteresowania, które w dorosłym

życiu mogłyby stanowić źródło satysfakcji osobistej i zawodowej.

We Lwowie kształciła się Batorycka w elitarnym IX Prywatnym Gimnazjum Żeńskim Sióstr Urszulanek mieszczącym się przy ul. św. Jacka 16 (obecnie ul. Archipienki). Założona w 1910 r. szkoła o typie humanistycznym przynależała do najlepszych placówek edukacyjnych w mieście i odznaczała się wysokim czesnym. Gimnazjum i dom zgromadzenia sióstr Urszulanek zajmowały trzy dawne kamienice czynszowe, klasztor i szkoła

znajdowały się zaś na Górze św. Jacka. Przyklasztorny ogród porastały drzewa i krzewy owocowe oraz grządki jarzynowe. Pobyt na Górze św. Jacka wspominała Batorycka z sentymentem. Prócz wiedzy teoretycznej nabyła tam także rozmaitych umiejętności praktycznych: pieczenia chleba, szorowania podłogi, a nawet dojenia krów. Cechowało Zofię zamiłowanie do języków obcych, interesowała się muzyką, poezją i malarstwem, udzielała się również na okazjonalnych przedstawieniach szkolnych. W czasach gimnazjalnych poczęła kreślić drobne sonety i nowelki, opuściwszy zaś szkołę uczęszczała na lekcje muzyki i śpiewu. Posyłając córkę do szkoły urszulańskiej E. Batorycki pragnął, aby oprócz wykształcenia książkowego nabyła przygotowania z zakresu prowadzenia gospodarstwa domowego.

Rodzina Batoryckich w latach 20. XX w. sprowadziła się do okazałego czterokondygnacyjnego gmachu przy ul. Piekarskiej, współcześnie nazywanego pałacem Turkułłów-Comello, zaprojektowanego najprawdopodobniej przez Fryderyka Baumana w rzadkim dla Lwowa stylu weneckiego neogotyku. Najpewniej wybudowany w latach 40. XIX w., w kolejnych dekadach zamieszkiwany był przez kilka prominentnych lwowskich rodów, m.in. Dzieduszyckich – pierwszych właścicieli. Spacerując ulicą Piekarską zabudowaną wieloma kamienicami z ozdobny-

Międzywojenny dom rodziny Batoryckich we Lwowie, ul. Piekarska
Źródło: archiwum własne



mi elewacjami, dom ten można przeoczyć. Pragnąc w pełni zapoznać się z jego architektonicznym pięknem, należy udać się do ogrodu i przyjrzeć uważnie fasadzie z charakterystycznymi wielkimi ostrołukowo zamkniętymi oknami, balkonem z ażurową balustradą i ryzalitem wykończonym attyką z pinnaklami. Niestety w czasach powojennych z zamiarem zwiększenia powierzchni użytkowej czterospadowy dach przebudowano uzupełniając w nieszczęśliwie wyszukane trójkątne okienka. Przestronne pokoje tego domostwa gościły prawdziwe talenty międzywojennej epoki: skrzypka Bronisława Hubermana, śpiewaczkę operową i aktorkę Adę Sari, pianistów Henryka Sztompkę i Artura Rubinsteina i in. Pędzlem młodopolskiego malarza i rysownika Kazimierza Sichulskiego w tym domu uwieczniona została młodzieńcza uroda Z. Batoryckiej. Budynek o bogatej historii stanowi obecnie własność Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej i Biotechnologii im. Stefana Grzyckiego. Przechodząc przez kolejne pomieszczenia próżno dzisiaj szukać śladów Batoryckich. Poszczególne pokoje, zamienione na sale zajęciowe i laboratoryjne, zachowały jednak część dawnej wystawności.

W niemal wszystkich dostępnych źródłach Batorycka przedstawiana jest jako studentka lub absolwentka najstarszej polskiej wszechniczy ekonomicznej Wyższej Szko-

ły Handlowej (od 1933 r. Szkoły Głównej Handlowej) w Warszawie. Zwróciwszy się z zapytaniem do Archiwum SGH autorzy niniejszego artykułu otrzymali odpowiedź, że Zofia Batycka nie figuruje w spisie studentów uczelni. Nie ulega jednak wątpliwości, że Zofia w drugiej połowie lat 20. udała się do stolicy i zamieszkała w zamożnym domu inż. Franciszka Lilpopa – wdowca wychowującego wówczas pięcioro dzieci przy al. Róż 10. Z córkami Lilpopa: Haliną (ur. 1904), Felicją (ur. 1908), Anielą (ur. 1910) oraz Marią (ur. 1912), Batycka szybko nawiązała nić porozumienia. Gospodarz domu, ceniony warszawski architekt, w którego pracowni urodziły się m.in.: Dom Towarowy Braci Jabłkowskich, Instytut Aerodynamiczny Politechniki Warszawskiej czy siedziba korporacji akademickiej Welecja, umiejętnie brylował między historyzmem, secesją i modernizmem. Franciszek Lilpop pamiętany jest również jako osoba szczególnie zasłużona w konsolidacji środowiska krajowych architektów oraz społecznik. Wybrane Lilpopowskie gmachy ocalałe z zawieruchy wojennej podziwiane są i dyskutowane po dzień dzisiejszy. Stanowiąca od 1912 r. gniazdo rodzinne Lilpopów kamienica przy al. Róż oprócz pomieszczeń mieszkalnych posiadała przestronną pracownię oraz salę przeznaczoną na edukację dzieci. Lubila Batycka swój warszawski dom ze znajdującą się niedaleko Doliną Szwajcarską (okrojona już wówczas znacznie, lecz nadal urzekającą) i różanym ogrodem rezydencji Sobańskich. Dla jednych piękna, w oczach innych – szczególnie cudzoziemców, markotna i przygnębiająca, bez wątplenia jednak wyjątkowa, tamta Warszawa była jednym z najbardziej skonstrastowanych polskich miast. Zapewne i Batycka dostrzegała odmienność szykownego Krakowskiego Przedmieścia od niegrzeszącej czystości Woli czy rozświetlonych Alei Jerozolimskich od pograżonego w nędzy Mokotowa.

Latem 1928 r. w najmodniejszym obok Krynicy uzdrowisku II RP – Truskawcu poznała Batycka będącego u progu wielkiej kariery operowej Jana Kiepurę. Przyciągającym elitę artystyczną, intelektualną i polityczną Truskawcowi końca lat 20. towarzyszył dynamiczny rozwój infrastrukturalny. Czy była to przysłowiowa miłość od pierwszego wejrzenia? W kwestii tej pewności nie ma, nie ulega jednak wątpliwości, że urokliwy i pewny siebie Kiepura na młodziutkiej Batyckiej wywarł wrażenie. Z zawartej znajomości zadowoleni byli ojcowie Zofii i Jana, którzy, jeżeli wierzyć świadectwu Wacława Panka, powzięli przekonanie, że relacja ta w przyszłości zakończy się małżeństwem. Czas jednak szybko pokazał, że było to założenie nadzwyczaj optymistyczne. Często wyjeżdżający w sprawach zawodowych Kiepura namówił później Zofię na krakowskie *rendez vous*, które jednak nie zakończyło się pomyślnie. Eugeniusz Batycki w liście do ojca Kiepury, Franciszka, pisał, że schadzka ta nie była najlepszym pomysłem. Nie do końca był również zadowolony z profesji przyszłego zięcia, który nagminnie przebywał w podróży (tylko w 1929 r. koncertował w Budapeszcie, Rio de Janeiro, Buenos Aires i Montevideo), a tryb życia bohemy artystycznej w jego przekonaniu pozostawiał wiele do życzenia. Postanowił zatem wybrać się w towarzystwie Zofii w kilkunastodniową podróż po Italii, aby córka trochę świata zobaczyła, towarzystwo poznała i historii sztuki łyknęła. Kiepura wiedząc o wyprawie



Wnętrze domu Batyckich we Lwowie.
Źródło: archiwum własne

Batyckich zaproponował widzenie w Wenecji, na które jego wybranka bardzo liczyła. Tymczasem romantycznie zapowiadające się spotkanie stało się zacznym scysji pomiędzy Eugeniuszem Batyckim a młodym Kiepurą, który w ostatniej chwili z przyjazdu do miasta na wodzie zrezygnował. Błahy z pozoru zatarg dla Eugeniusza Batyckiego stał się dogodną okazją do zaprezentowania najróżniejszych uwag wobec Kiepury, w jego przekonaniu: egoisty, bawidamka, rozrywkowicza, najogólniej mężczyzny niegodnego ręki panienki z przyzwoitego domu. Dr Batycki upatrywał dla córki męża o łagodnym charakterze, przyjmującego wierność za priorytet.

Ostatecznie z planów matrymonialnych Kiepury i Batyckiej (a raczej ich rodziców) nic nie wyszło. Panuje przekonanie, że do rozpadu związku przyczyniła się także zainicjowana wtenczas kariera filmowa Batyckiej. Pomimo rozstania z Kiepurą Zofia przez pewien czas korespondowała z jego ojcem zwiierzając się z pierwszych sukcesów aktorskich. Serce śpiewaka po jakimś czasie skradła zjawiskowa cudzoziemka Mártha Eggerth, którą w 1936 r. poślubił w Katowicach. Węgierska śpiewaczka operetkowa i aktorka o żydowskich korzeniach z Kiepurą zapoznała się pracując dla niemieckiej wytwórni Universum Film AG, wstawionej m.in. produkcją pierwszego dźwiękowca Marleny Dietrich. Już zimą 1932 r. prasa wiedeńska donosiła, że zanoszą się na ślub Kiepury z córką budapesztańskiego finansisty, która niedawno uzyskała rozwód z dyrektorem pewnego szwajcarskiego banku. Kogo miało na myśli? Kiepura – wówczas człowiek wcale majątny, był właścicielem luksusowej krynickiej Patrii, powstającej pod nadzorem budowlanym inż. Zygmunta Protassewicza – późniejszego męża aktorki Jadwigi Smosarskiej, u boku której Batycka zadebiutowała w filmie w 1929 r. Należy w tym miejscu odnotować, że jeszcze w okresie narzeczeństwa z Kiepurą Zofia gościła w Krynicy, czego dowodzi zachowana fotografia, na której znajdują się w towarzystwie gospodarza uzdrowiska inż. Leona Nowotarskiego. Nie ulega wątpliwości, że małżeństwo Kiepury i Eggerth, którzy w życiu prywatnym i zawodowym tworzyli niezwykle dobrany duet, wynikało z autentycznego uczucia i zakończyło się wraz z odejściem tenora w 1966 r.

Zamykając wątek niedoszłego mariażu Kiepury z Batycką warto przywołać stwierdzenie z powojennego listu do warszawskiej eselistki i prozaiczki Krystyny Kolińskiej, w którym Zofia wyznała, że śpiewaka szczerze lubiła, upatrywała w nim jednak bardziej przyjaciela niżli małżonka. Nie był bowiem *poważnym partnerem, z którym chciałoby się spędzić całe życie*.

W jednym z udzielonych wywiadów Batycka oznajmiła, że do świata filmowego doprowadziła ją własna wytrwałość oraz wsparcie Ludwika Solskiego i Kornela Makuszyńskiego. Nie było tajemnicą, że o pierwszej rolę dla urodziwej lwowianki w *Grzesznej miłości* w 1929 r. wystarał się Makuszyński. Obraz niemy produkcji wytwórni Sfinks wyreżyserowany przez Mieczysława Krawicza i Zbigniewa Gniazdowskiego ze scenariuszem Anatola Sterna opowiadał stosunkowo prozaiczną historię Marka (Tadeusz Wesołowski) zmuszonego dokonać wyboru między dwiema kobietami: Moniką graną przez Jadwigę Smosarską oraz interpretowaną przez Batycką hrabiną Chosłowską. Jaki był finał tej opowieści? Niepodobna odpowiedzieć, bowiem żadna z kopii filmu nie zachowała się do dnia dzisiejszego. Debiut Batyckiej oceniono jako zadowalający. Tego samego roku początkująca aktorka wystąpiła w drugiej produkcji *Szlakiem hańby* w reżyserii Mieczysława Krawicza i Alfreda Niemirskiego, do której scenariusz przygotował Anatol Stern. Film poruszał problematykę handlu kobietami perfidnie wabionych przez berlińsko-warszawskich przestępców i wywożonych do odległej Brazylii. Rola główną powierzono aktorce krakowskiej Marii Malickiej, Batyckiej przypadła zaś w udziale skromna kreacja agentki policji obyczajowej Izy. Film, wyświetlany m.in. w Berlinie pt. *Export im Blond*, wzbudził szerokie zainteresowanie i był szczególnie polecany młodzieży.

Z początkiem marca 1930 r. w kinie Colosseum odbyła się premiera obrazu Leona Trystana *Dusze w niewoli* będącego ekranizacją debiutu powieściowego Bolesława Prusa z 1877 r. W obsadzie znaleźli się m.in.: Mieczysław Cybulski, Maria Rudzka, Alicja Halama, Bolesław Mierzejewski, Ludwik Sol-ski oraz Zofia Batycka jako Leontyna Łęska, która jeżeli wierzyć recenzji zamieszczonej na łamach „Kuriera Porannego”, została za-

marynowana w staroświeckiej i śmiesznej pozie wampa. Uczestnicząca w zdjęciach w plenerze Zofia wzbudziła tak wielkie zainteresowanie, że zgromadzoną tłumnie publiczność blokującą ruch uliczny siłą usuwała policja. Z końcem tego samego miesiąca Batycką można było zobaczyć w jeszcze jednej produkcji – pierwszej w historii rodzimego kina z dialogiem na płytach gramofonowych, *Moralności Pani Dulskiej* na kanwie sławetnego dramatu Gabrieli Zapolskiej. Reżyser Bolesław Newolin ówczesną Miss Polonię obsadził w dalszoplanowej roli szansonistki kabaretowej Matyldy, najbardziej znaczące epizody powierzając Delii Lipińskiej, Marcie Flantz (Aniela Dulska) oraz Tadeuszowi Wesołowskiemu. Ponadto w 1930 r. Zofia udzieliła głosu do projektu filmowego Stanisława Skody *Za kulisami X Muzy*, będącego rodzajem eksperymentu dźwiękowego z fragmentami *Symfonii Lwowa*, oraz przyjmując zaproszenie Komitetu Kongresu Eucharystycznego udała się do Poznania i zagrała w przedstawieniu opernym na historii Pedro Calderóna de la Barca.

Najważniejszym w dorobku filmowym Batyckiej pozostaje polsko-amerykański obraz z 1931 r. *Kobieta, która się śmieje*. Reżyser Ryszard Ordyński – wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, początkowo nauczyciel w Jaśle, Bochni i Krakowie, następnie pracownik nowojorskiego Metropolitan Opera House, do roli głównej zaangażował rozchwytywaną wtenczas lwowiankę, swatając ją na ekranie z jednym z najpopularniejszych amantów przedwojennego teatru, kina i estrady Aleksandrem Żabczyńskim. Żartowała później Batycka, że nareszcie otrzymała partnera filmowego dorównującego jej wzrostem. Krótkometrażowy dźwiękowiec, roboczo zatytułowany *Uśmiech pani Lzy*, zrealizowany przez Paramount Pictures w atelier Joinville-le-Pont w podparyskim departamencie Val-de-Marne, był spolszczoną wersją amerykańskiej historii Victora Schertzingera *The Laughing Lady* z 1929 r., przy czym w pierwowzorze śmiała się Ruth Chatterton. W nowej wersji Batycka kreowała żonę nowojorskiego bankiera Iżę Brenton, pozostającą w napiętych relacjach z pragnącym się z nią rozwieść małżonkiem. Ponieważ i ten film nie przetrwał do czasów współczesnych, pozostaje powołać się na relację wybitnego krytyka fil-

mowego Leona Bruna zachwycającego się poprawną grą, wyrazistą mimiką i wspaniałą aparycją Batyckiej. Brun już wcześniej zapoznawszy się z *Duszmami w niewoli* upatrywał aktorkę w charyzmatycznych kreacjach Balladyny i Rozy Wenedy, przestrzegając reżyserów, aby nie typizowali jej w szablonowych rolach salonowych piękności. Inni znowu utrzymywali, że obraz Ordyńskiego *budził od początku do końca niestłabnące zainteresowanie*, odtwórczyni głównej roli przynależało się zaś miejsce w *pierwszym rządzie gwiazd polskiego ekranu, obok Smarskiej, Malickiej i Nory Ney*.

W owym czasie obierając Zofię na Miss Paramount przyznano jej trzeci tytuł królowej piękności. We wrześniu 1931 r. odbył się premierowy pokaz dramatu *Dziecięciu z Pawiaka* – szóstego i ostatniego filmu z udziałem Batyckiej. Wydarzenie swą obecnością uświetnił sam Józef Piłsudski. Dzieło powstałe na podstawie wspomnień gen. Jana Jura-Gorzecchowskiego, opowiadające o uwolnieniu więźniów politycznych z warszawskiego więzienia w 1906 r. wyreżyserował Ryszard Ordyński korzystając ze scenariusza Ferdynanda Goetla. W rolach głównych wystąpili Adam Brodzisz, Karolina Lubieńska i Bogusław Samborski. Batyckiej w udziale przypadła niewielka kreacja Olgi Michajłowej, będąca okazją do zaprezentowania przez aktorkę umiejętności wokalnych, poprzez wykonanie romansu cygańskiego. Lwowska wytwórnia Orion-Film nosiła się ponadto z zamiarem zrealizowania obrazu *Ojciec*, w którym główną rolę proponowano Batyckiej, projektu jednak nigdy nie urzeczywistniono.

Przebywając na planie *Grzesznej miłości* Zofia zwróciła uwagę Jadwigi Migowej – inicjatorce pierwszego narodowego konkursu piękności. „Kurier Czerwony” – bulwarowy dziennik popołudniowy, którego Migowa była redaktorką, przymierzał się do organizacji drugiej edycji wyborów Miss Polonia. Żurnalistka, zabrawszy fotografię Batyckiej wykonaną przez studio van Dycy, a następnie zamieściwszy ją na łamach gazety, przypieczętowała udział lwowianki w budzącym ogromne zainteresowanie targowisku próżności. Nie jest prawdą, jakoby Zofia sama czyniła zabiegi o udział w konkursie, postanowiła jednak nadaną szansę wykorzystać. Współcześnie namnożyło się



niemal tego typu przedsięwzięć: Queen of Poland, Miss Świata Parowozów, Miss Wakacji... I jak tu wybrać najpiękniejszą? Takowego kłopotu nie było w międzywojniu, uznawano bowiem tylko jedną gałę, której nazwę obmyślił Tadeusz Boy-Żeleński. Zgodnie z obowiązującym regulaminem kandydatka na Miss Polonię musiała liczyć nie mniej niż 18 lat i nie więcej jak 25, być kobietą niezamężną oraz legitymować się nienagannym prowadzeniem. Jako pierwsza tytuł najurodzawszej Polki w 1929 r. zdobyła warszawianka Władysława Kostakówna. Finał drugiej edycji konkursu odbył się w stolicy 28 stycznia 1930 r. Na mecie spotkały się panie nie tylko pięknonice, ale i z najlepszych familii się wywodzące: Alina Ryszczewska, Krystyna Skarbek, Aleksandra Wodzicka czy Zofia Zachert. Tego wieczoru każda z nich pragnęła tylko jednego, zostać najpiękniejszą. Radosne wydarzenie przerwał tragiczny wypadek jednej z uczestniczek, 22-letniej Ireny Wierzbickiej. Jury, w którego skład weszli: Juliusz Osterwa, Arnold Szyfman, Władysław Skoczylas, Henryk Kuna, Edward Wittig, Wacław Grubiński

oraz Zofia Nałkowska, zdecydowało, że z grona piętnastu finalistek drugą w historii Miss Polonią i, jak czas pokazał, jedyną w historii ze Lwowa została wysoka (172 cm), ciemnowłosa Zofia Batycka. Uzasadniająca werdykt Nałkowska stwierdziła, iż z zewnętrznych atrybutów zwyciężczyni do jury w szczególności przemówiła jej *ciemna niebieskość oczu*, intensywny kolor włosów oraz blask białych zębów. Prasa w kolejnych dniach pisała, że *owal jej twarzy służyć może za model artystom plastynom, poszukującym skończonego piękna*. Podobno nie szło jednak przy pomocy pióra ukazać krasoty tego *klejnotu Lwowa*, tak przynajmniej utrzymywał „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Laureatką drugiego miejsca została warszawianka Sława Malczewska, trzeciego zaś poznanianka Larysa Winkowska. Wszystkie niedoszłe miss na pocieszenie otrzymały tytuły Gwiazd Piękności. Jednej z nich, Krystynie Skarbek, w niedalekiej przyszłości pisana była sława prawdziwie międzynarodowa, stać się miała agentką brytyjskiego Special Operations Executive, a po wojnie zgi-

nąć w dramatycznych okolicznościach. To jednak zupełnie inna historia. Tymczasem o wdzięku nowej Miss Polonii, niebawem mogła się przekonać publiczność pierwszego łódzkiego dźwiękowego kinoteatru Splendid przy ul. Narutowicza 20, w którym gościła z początkiem lutego. Sukces szybko został podwojony, bowiem 5 lutego na odbywających się w Paryżu wyborach Miss Europe Batycka zajęła drugie miejsce, stając się pierwszą wicemiss Europy. Palma pierwszeństwa powędrowała wówczas do Greczynki Aliki Diplarakou.

Kariera lwowskiej piękności nabrała rozpędu; pomijając propozycje filmowe otrzymała Batycka sposobność reklamowania kosmetyków krakowskiego Miraculum. Przedsiębiorstwo działające od 1924 r., oferujące pierwotnie kremy, pudry i szampony, w latach 30. podbiło serca konsumentów mydlami leczniczymi, perfumami i wodami kolońskimi. W 1931 r. na pierwsze ambasadorki Miraculum wytypowano Hankę Ordonównę i zachęcającą do stosowania kremu do twarzy i rąk Neige de Fleurs Zofię Batycką. Rzeczonoego roku podczas Wystawy Świa-

towej w Paryżu firmę nagrodzono złotym medalem za puder syпки. Na rozpoznawaną lwowiankę powoływał się również oferujący modne toalety Bogusław Herse, czego dowodem była reklama zamieszczona na łamach czasopisma ilustrowanego „Teatr i życie wytworne” z pełną powabną Miss Polonią w zwiewnej kreacji ze sznurem pereł na szyi. Dopowiedzmy, że dom mody Herse pozostawał najbardziej luksusowym tego typu przybytkiem w międzywojennej stolicy, specjalizował się zaś przede wszystkim w wysmakowanych sukniach, okryciach, kapeluszach i bieliźnie. Warszawska elegantka u Bogusława Herse mogła zaopatrzyć się we wszystkie niezbędne akcesoria przynależne wysokiemu statusowi społecznemu i gustowi najwykwintniejszemu, od rękawiczek przez wachlarz po parasolkę. W tej świątyni mody umeblowanej antycznymi meblami i wazonami, w przestronnych wnętrzach podpieranych majestatycznymi kolumnami, oprócz Batyckiej przyodziewały się Stefania Grodzieńska, Maria Mościcka, Hanka Ordonówna i in. Stawszy się osobą publiczną, co zrozumiałe, Zofia poczęła budzić zainteresowanie nie tylko potencjalnych reklamodawców, ale także mediów. Szczególnie lubował się w niej „Ilustrowany Kurier Codzienny”, którego redakcja lwowska i krakowska była uprzejma odwiedzić, a swą wizytę w Krakowie w lipcu 1931 r. uwieczniła fotografując się na dachu Pałacu Prasy. Wzmiankowanego roku Batycka uczestniczyła w forsownym *tournée* teatralnym: 35 miast w 35 dni, doświadczając przy okazji rozmaitych incydentów. I tak pewnego razu jej ukochaną matkę powaliła ściana w garderobie, całe szczęście nie czyniąc poszkodowanej krzywdy. Podczas pobytu w Kowle zatrzymała się trupa w hotelu zwanym Wersalem. Szukająca odprężenia Batycka poprosiła o przygotowanie kąpeli, okazało się jednak, że życzenie nie mogło być spełnione, nie dysponował bowiem Wersal ani jedną wanną. Ostatecznie ukąpała się Miss Polonia w wyszorowanej uprzednio balii. Innym poważnym wyzwaniem, na które znalazła sposób, była sprawa zagubionego żelazka. Do rozprasowania scenicznej kreacji użyła z powodzeniem rurek do włosów. Przywołane sytuacje ukazują Zofię jako osobę zaradną, obdarzoną poczuciem humoru i cierpliwością.

David duChemin utrzymywał, że należy patrzeć oczyma, a fotografować sercem. Zdaje się, że z takim podejściem wielokrotnie uwiecznił Batycką Benedykt Jerzy Dorys. Przy końcu lat 20. XX w. przy al. Jerozolimskich 41 w Warszawie utworzył atelier fotograficzne, zyskując stosunkowo szybko miano portrecisty elit. Znany z techniki wielobarwnych przetłoków, zajmował się również aktem i reklamą. Zdjęcie wykonane w obiektywie Dorysa przyjmowano za wyróżnienie. Niewątpliwie jedną z najlepszych prac mistrza pozostaje fotografia utrzymana w klimacie *art deco*, na której sprawiająca wrażenie pogrążonej w błogim śnie Batycka wyłania się z ciemnej scenarii, zachwycając jednocześnie świeżością młodzieńczej urody. Oczy, będące zwierciadłem duszy, na zdjęciu Dorysa zakryte powiekami, potęgują atmosferę tajemnicy, czyniąc modelkę nieprzystępną. Zdaje się, że nie zacerpnąwszy wiedzy ezoterycznej, trudno o należyłą interpretację tego zjawiskowego portretu. Być może przedstawił fotograf subtelne narodziny nowej kapłanki dziesiątej muzy? To świadectwo z epoki pozwala zrozumieć, na czym polegał fenomen Batyckiej. Piękno powierzchowne było odbiciem urody wewnętrznej.

Podczas zdjęć do *Kobiety, która się śmieje* nasza Miss Polonia zwróciła uwagę kierownika europejskiego oddziału Paramountu Bacosa. Nieszczędzący komplementów producent dowodził, że posiadała Batycka osobowość i pozycję godną prawdziwej gwiazdy, połączone z pożądanym wtenczas szwedzkim typem urody. Nie zastanawiając się długo, zaproponował aktorce niezwykle korzystny sześćioletni kontrakt, w ramach którego oprócz zajmujących ról za oceanem w użytkowanie chciano przekazać jej dom w Hollywood. Czy z tak niepowtarzalnej okazji można nie skorzystać? Owszem, bowiem Batycka kwestię ewentualnego wyjazdu do Los Angeles postanowiła przedyskutować z rodzicami, którzy doszli do wniosku, iż pomysł był chybiony. W przekonaniu Eugeniusza Batyckiego – Hollywood jego jedynacze do niczego nie był potrzebny. Batycka wówczas postąpiła zgodnie z wolą rodziców dziękując Bacosowi, o fabryce snów jednak nie zapomniała.

Stosunkowo szybko udało się Zofii uzyskać ojcowskie pozwolenie na wyjazd do

Kalifornii. Ambitna i atrakcyjna Polka, wzo-rem innej naszej rodaczki Poli Negri, postanowiła spróbować swych sił w centrum amerykańskiego przemysłu filmowego. Czy rozmyślała wtenczas o wielkiej międzynarodowej karierze? Tego nie wiadomo, nie ulega jednak wątpliwości, że prasa krajowa – zdaje się bardziej rozentuzjarmowana rzeczonym wyjazdem niżli sama aktorka, wyprawę do Los Angeles przedstawiała jako mający się niebawem dokonać wielki podbój zaoceanicznego rynku filmowego przez Miss Polonię. Do Los Angeles w towarzystwie matki początkowo wybierała się Batycka przy końcu listopada 1931 r. Początek lat 30. XX w. był na świecie czasem gospodarczej zapaści, w związku z tym i USA czyniły obcokrajowcom niemałe trudności w uzyskaniu pozwolenia na pracę. Przez skomplikowaną procedurę pomógł Batyckiej przejść przybyły zza wielkiej wody prawnik Allan Lund. Stosunkowo szybko zauroczony krasnolicą lwowianką zdecydował się na oświadczyiny, na próżno jednak. W styczniu 1932 r. Zofia i Janina Batyckie ze Lwowa wyruszyły do odległej Kalifornii. Koszta wynikające z podróży pokryła zapraszająca wytwórnia.

Janina Batycka rozpoczynając się eskapadą nie była specjalnie zachwycona: *Co ja z tobą mam kłopotów!... A bodaj te wszystkie filmy i to całe Hollywood...*, lamentowała opuszczając dom przy Piekarskiej. Droga prowadziła przez Paryż i Hawr, z którego na pokładzie parowca dotarły panie do Nowego Jorku, zatrzymując się w hotelu Waldorf-Astoria, a następnie z Chicago udały się do Los Angeles. Czy Batycka miała realną szansę zaistnieć w Hollywood? Pomijając oczywiste warunki fizyczne, posługiwała się przecież płynnie angielskim, a zdobyte wcześniej tytuły królowych piękności stanowiły dodatkowy atut.

Początki wydawały się obiecujące, albowiem – jak pisało „Kino” – poważnie rozważano występ Zofii u boku samego Ramóna Novarro. W jednym z numerów tygodnika zawarto informację, że powstanie nowa wersja *Ben Hura*, na dowód czego zamieszczono fotografię z parą odpowiednio ucharakteryzowanych aktorów. Czy rzeczywiście chodziło o obraz pod takim tytułem? Wszakże Novarro już raz w żydowskiego księcia wcielił się w historii z 1925 r. Biorąc pod uwagę orientację seksualną aktora, błędne zało-

żenie przyjęli ci, którzy w spotkaniu tych dwojga doszukiwali się miłosnej przygody. Miss Polonię rzekomo chciano również zaangażować do produkcji *Kobieta bez wątroby*. Wzmiankowane dzieła nigdy jednak nie powstały. Dlaczego? Rewelacje „Kina” były tylko adresowanym do czytelników figlem, zdjęcie zaś umiejętnie spreparowano podmieniając widniejącą naoryginale w objęciach amanta May McAvoy na Batycką. W Los Angeles zaplanowano spotkanie Zofii z producentem filmowym i reżyserem Cécilem B. DeMillem, które, jeżeli zapoznać się z relacją Ireny Voret, z powodu nieporozumienia nie doszło do skutku. Jedynym filmowym przejawem obecności aktorki za oceanem były specjalne pokazy *Dziesięciu z Pawiaka* w kinie Vanderbilt na Broadwayu oraz w Chicago i Filadelfii.

Zdaje się, że Batycka Los Angeles opuściła wcześniej, niż się dzisiaj przyjmuje podając rok 1934, ponieważ już wiosną 1932 przebywała w Paryżu i utrzymywała, że na ekran powróci nieprędko, jeżeli w ogóle. Z początkiem następnego roku o karierze aktorskiej Miss Polonii zaczęto rozpisywać się w sposób nieprzychylny twierdząc, że *sprawiła wielbicielom rozczarowanie, poszukiwana przez wytwórnie i reżyserów rzuciła ekran*. Czy to możliwe, że młodzieńcza pasja wypełniająca serce i umysł dorastającej Zofii przemieniała tak szybko?

Zaistniała sytuacja powodowana była krystalizującym się wówczas uczuciem. Podczas przyjęcia w ambasadzie włoskiej w czerwcu 1931 r. poznała lotnika por. Aldo Gerardiego, który następnie w towarzystwie swej matki udał się do Lwowa, ta zaś w imieniu syna uprosiła o rękę Zofii. W sierpniu 1933 r. pojawiła się oficjalna informacja, że Batycka wychodzi za mąż za Aldo Gerardiego – przedstawiciela fabryki samolotów i motorów Caproni. Młodzi planowali zamieszkać w Mediolanie, Rzymie lub Nowym Jorku. To wtenczas powzięła Zofia przekonanie, że czas zakończyć karierę artystyczną, małżeństwo było najważniejsze. Zapewne ze względu na swego wybranka przybyła na warszawskie Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych Challenge 1934. Dni jednak zamieniały się w tygodnie, te w miesiące, mijały kolejne lata, a Zofia nadal pozostawała stanu wolnego. Nieznane są okoliczności rozpadu tego szczęśliwie

zapowiadającego się związku. Najwyraźniej wierzącej w przeznaczenie Batyckiej pisarzy był ktoś inny. Pomimo wzmiankowanej powyżej deklaracji – świata artystycznego zupełnie nie opuściła. Przykładowo w roku 1935 wystąpiła w rewii *Konterfekty i ploteczki z dworu króla Stasia* Stefana Miczyńskiego we Lwowie. Jednakże w drugiej połowie lat 30. także z teatru zniknęła na dobre. W 1937 r. gościła na festiwalu operetkowym w Salzburgu budząc duże zainteresowanie.

W listopadzie 1935 r. w życiu Batyckiej pojawił się Flamandczyk François H. Pittevil – dyrektor towarzystwa handlowego, który wpiery został jej przyjacielem, a wiosną 1938 r. mężem. Informacje prasowe na temat przypieczętowanych w katedrze westminsterskiej w Londynie zaślubin były niezwykle lakoniczne, prawdopodobnie Batycka – Sophia Pittevil, nie budziła już takiego zainteresowania jak 8 lat wcześniej. Z końcem lat 30. w towarzystwie małżonka udała się do miasta Rubensa – Antwerpii, jak czas pokazał – żegnając ukochany Lwów na zawsze. Przeróżająca wojna oszczędziła rodzinę Batyckich, będąc dla Zofii czasem silnego obciążenia emocjonalnego. Na wyzwolenie czekała Antwerpia do września 1944 r. Wspominała później o stratach materialnych, nieistotnych jednak w obliczu ocalonego życia. Mażeńskie szczęście krótkie jednak miało trwanie i zakończyło się w 1949 r. wraz ze śmiercią François Pittevila. Od tej pory miała Batycka podążać pod wiatr.

Powrót do Lwowa był niemożliwy, a Europa doświadczona kolejną wojną wydawała się miejscem niestabilnym. Wtedy na nowo zwróciła Zofia swe myśli w stronę Kalifornii, którą utożsamiała z krainą wiecznej wiosny. Pomimo krążących opinii, że po raz wtóry próbowała za oceanem sił jako aktorka, ponowny wyjazd do Los Angeles z filmem nie miał już nic wspólnego. Miasto Aniołów było bezpieczną przystanią, której szukała i ostatecznie znalazła. Mając styczność z hollywoodzkimi gwiazdami Batycka nabrała przekonania, że aktorstwo w tamtejszym wydaniu niezadko prowadziło do upadku, a nawet zniszczenia jednostki poddawanej ciągłej presji otoczenia i mediów. W latach 50. okazjonalnie występowała na wieczorach

artystyczno-literackich Stanisława Kotwicza. Niezwykle bolesnym doświadczeniem było odejście Janiny Batyckiej, okupione przez Zofię depresją. Ukochana matka była również jej bratnią duszą i najlepszą przyjaciółką. W związku z pogarszającą się sytuacją materialną w kolejnych latach mieszkając przy ul. Franklina zajmowała się nauczaniem języków obcych, dalej pracując w Bac Street Antiques w La Cienega Center w Los Angeles. Obcując z antykami spełniła się zawodowo, rozwijając jednocześnie pasję do zabytkowych mebli i bibelotów, pośród których dorastała. W jesieni życia najprawdopodobniej przeniosiła się do domu opieki społecznej, w którym zmarła w osamotnieniu wiosną 1989 r.

Od odejścia międzywojennej lwowskiej piękności upłyne niedługo 30 lat. W okresie PRL-owskim niemal zupełnie zapomniana, współcześnie przywoływana głównie w kontekście konkursu z 1930 r. i nieudanego podboju Hollywood, Batycka na nowo zyskuje na zainteresowaniu. Pragnąc udzielić responsu na pytanie, dlaczego w USA nie zrobiła kariery filmowej mając ku temu wszystkie przysioty, najpewniej odpowiedzieć, że już około połowy lat 30. aktorstwo przestało być dla niej priorytetem. Wychowana w atmosferze ciepła domowego ogniska, łaknęła wykreować świat identyczny, tego największego marzenia zasmakowała jedynie przez chwilę, w dodatku w okrutnej wojennej rzeczywistości. Bez wątplenia nie można obwołać Batyckiej międzywojenną królową dziesiątej muzy, bo kim zatem byłyby Negri, Ordonówna, Ney czy Smosarska? W 1936 r. „Kino” doniosło, że *wycofała się zupełnie z życia filmowego*. Niezaprzeczalnie przez kilka lat gwiazda jej na artystycznym firmamencie II RP świeciła wyjątkowo jasno. *Zostanę sobą, i do szacunku zmuszę ludzi nie pozycją towarzyską czy społeczną, ale życiem własnym, czystym, sumieniem i czynami* – przepowiedziała za młodu, słowa dotrzymując. Nie zapoznawszy niestety tej nietuzinkowej postaci autorzy rzeczzonego studium na podstawie zachowanych materiałów drukowanych, fotografii i przekazów ustnych, chylił czoła przed kobietą, która zamiast za międzynarodową sławą podążyła za głosem serca.

Willa „Skiz” i jej mit

Willa „Skiz”

W numerze 14–15 z 2016 r. „Kuriera Galicyjskiego” ukazał się tekst i zarazem apel Jurija Smirnowa „W sprawie ratowania willi Gabrieli Zapolskiej”. Nie polemizując z ideą – każdą próbę ratowania pamiątek przeszłości warto wspierać – trzeba przy tej okazji rozwiać kilka utrwalonych mitów, których wspomniany tekst także nie uniknął.

Jesienią 2016 roku przypadła okrągła, 110 rocznica powstania *Moralności pani Dulskiej*. To niezły pretekst do wnikliwego prześledzenia lwowskich losów Gabrieli Zapolskiej, zwłaszcza że łączyły ją z tym miastem relacje nie mniej skomplikowane od jej uczuciowych związków z mężczyznami. Lwów – podobnie jak mężczyzn – raz uwodziła, raz odpychała, porzucała, to znów doń powracała pośród kontrowersji, kaprysów i wzajemnych uprzedzeń. Spędziła tu jednak wiele twórczych lat, tutaj przyszły na świat jej najwybitniejsze dzieła. Tutaj wreszcie umarła, choć śmierć bynajmniej nie odesłała do grobu niezliczonych domysłów i plotek towarzyszących pisarce za życia. Przeciwnie, pojawiały się nowe, niektóre zaś okrzyki w powszechnej opinii jako „oficjalna wiedza”.

Wśród licznych mitów o Zapolskiejoczesne miejsce zajmuje willa „Skiz”. Zdarzało mi się na ten temat słyszeć i czytać historie doprawdy fantastyczne. Bodaj najzabawniejszą zamieszczono niestety w jednym z popularnych przewodników (*Przewodnik po Ukrainie Zachodniej*, cz. IV Lwów, Wydawnictwo Rewasz). Autor Grzegorz Rąkowski powiada tam, że willę „Skiz” „społeczeństwo Lwowa ofiarowało pisarce”. Dodaje następnie, że „mieszkała tam do śmierci”. No cóż, nie sposób dociec, z czego wynika ten lapsus, nie istnieje bowiem najmniejsza choćby poszlaka czyniąca tę informację prawdopodob-



ną. Zapolska – zresztą nie tylko we Lwowie – miała opinię „Zoli w spódnicy”, bezwstydnej skandalistki i prowokatorki obyczajowej. I choć jej sztuki zapełniały teatralne sale, a prozę czytano z wypiekami na twarzy, to pamiętajmy, że popularność, a nawet uwielbienie widzów i czytelników nie gwarantują publicznych honorów, dzielonych zazwyczaj wedle całkiem innych praw, niż życzyłyby sobie *vox populi*. Zapolska przez większość życia budziła niechęć licznych i wpływowych lwowskich konserwatystów. Na dodatek w powieści *We krwi* bezlitośnie wydrwiła lwowską arystokrację, przypadki niektórych jej notabli opisując niemal dokumentalnie, czego nie wybaczone jej do śmierci. Tylko te dwa powody wystarczyłyby do zgaszenia jakiegokolwiek inicjatywy uhonorowania jej takim darem, a zatargów z różnymi środowiskami Lwowa miała dużo więcej. Innymi słowy – przyjmę najwyższy zakład, że nie istnieje najulotniejszy choćby dokument, którym Grzegorz Rąkowski poświadczyłby swoją wersję. Ta pomyłka, zapewne gdzieś pochopnie zapożyczona, rzecz jasna nie umniejsza przyrodniczej i krajoznawczej wartości jego licznych przewodników. Zresztą w innym przewodniku po Lwowie oficyny Rewasz, podpisanym przez Adama Kulewskiego i Przemysława Włodka, znajdziemy tę samą, nieprawdziwą informację.

Inny mit, nie mniej rozpowszechniony, głosi, że to w „Skizie” Zapolska napisała

swoje najsłynniejsze dzieło *Moralność pani Dulskiej*. Stąd już blisko do stereotypowego przekonania, z którym nie raz przychodziło mi się spierać, że Zapolska w tej willi umarła. Czytelnicy traktujący internet jako kanoniczne źródło informacji bez trudu dowiedzą się tego „guglując”. Wymienię ledwie kilka „źródeł” powielających tę plotkę: kresy24, zapolska.wyklady.org, wolnelektury.pl, adonai.pl.

Spór niekiedy bywa tym trudniejszy, że nieopatrznie ową komedię omyłek pobłogosławił Jerzy Janicki w szkicu „Skiz”, czyli *jak zostałem krewnym Gabrieli Zapolskiej* (Czkawka, Iskry 2000). Czytamy w nim o Zapolskiej „na wpół ociemniałej, umierającej w swej willi »Skiz«”. Dalej zaś następuje doprawdy szykowna parada kiksów. Kluczowy akapit zacytuję w całości: „Zaintabulowano w hipotece, że w roku 1915 nabyła na Jałowcu piętrowy dom z ogrodem Frau Gabriela Zapolska z domu Korwin-Piotrowska, zameżna za Stanisławem Janowskim – malarzem. Stało się tak, bo właśnie dyrektor lwowskiego teatru, Ludwik Heller, wystawił z powodzeniem dwie naraz sztuki – *Skiza* i *Ahaswera*, które szły kompletami, a warszawska firma wydawnicza Orgelbrand i Synowie zaproponowała zbiorowe wydanie jej utworów za sumę dwunastu tysięcy rubli. »Lunia – pisze jej biografka A. Kallas – nigdy razem nie widziała takiej sumy. Nie zastanawiając się długo, prawie nie czytając kontraktu, podpisała przysłane jej pismo. Kupiła zaraz potem na peryferiach Lwowa willę z ogrodem, nazwała ją »Skiz«, podług najbardziej umitowanej swojej sztuki”.

Zwiedzając okolice „Skiza” Janicki wyobraża sobie Zapolską za oknem na parterze. „Jaskra nie pozwala nawet na podróż do Krakowa, gdzie właśnie Koźmian wystawia prapremierę *Moralności pani Dulskiej*” – pisze, dodając, że „właśnie wyprowadzają na Łyczakowski cmentarz Mariana Gawalewicza. Ale i na jego pogrzeb nie pójdzie (...) aby nie sprawiać przykrości mężowi, bo Gawalewicz to pierwszy kochanek Lunii, kiedy miała lat ledwie osiemnaście”. Dowiadujemy się również, że Gawalewicz „pierwszy wydrukował *Małuszkę*, a potem protegował ją u Woźniakowskiego, u którego zadebiutowała w swojej własnej *Żabus*”.

Projekcja Jerzego Janickiego żywi się niemal słowo w słowo lekturą powieści bio-



graficznej, jaką poświęciła Zapolskiej Aniela Kallas, znajoma pisarki z czasów lwowskich, chętnie podająca się za jej najbliższą przyjaciółkę i powiernicę. Niestety książka Kallas jako źródło jest, litościwie mówiąc, ułomna. Autorka podryfowała na fali popularności słynnej bohaterki, podgrzewając przy tym własną wątpliwą karierę i nie zanadto trapiąc się faktami. Jakkolwiek było, dzisiaj poczytne teksty Janickiego mają dla niektórych charakter apokryficzny, tym bardziej więc należy prostować i uzupełniać je tam, gdzie temperament felietonisty poniósł go za daleko.

Lwowskie przygody Zapolskiej zaczęły się w 1868 roku, kiedy to jedenastoletnią Gabrysię Korwin-Piotrowską, z odległych Kiwerców na Wołyniu, oddano do „Sacré Coeur”, szkoły z internatem działającej we Lwowie w istniejącym do dziś budynku przy placu świętego Jura 1. Już po roku trafiła na Sykstuską 8, na pensję Walentyny Horoszkiewiczowej, uważanej wówczas za nowoczesną, ale i tam spędziła zaledwie rok. Oba te miejsca, już jako słynna Zapolska, wspominała ze zgrozą, portretując je bezlitośnie w powieści *Przedpiekle*.

Ze Lwowa zabrano ją na rodzinny Wołyń i wydawało się, że podzieli tam los typowej panny swojej epoki, w 1876 wyszła bowiem za ziemianina Konstantego Śnieżko-Blockiego i zamieszkała w Warszawie. Małżeństwo rozpadło się już trzy lata później, kiedy Zapolska „uciekła” od męża do teatru, gdzie poznała ujmującego i popularnego pisarza Mariana Gawalewicza. Jerzy Janicki myli się więc po wielokroć: za mąż wychodziła jako dziewiętnastolatka, Gawalewicza poznała

Ul. Gola 15 – jeden z lwowskich adresów Gabrieli Zapolskiej

zaś mając 22 lata i bynajmniej nie był jej pierwszym kochankiem, chyba że pierwszym naprawdę kochanym. Romans zakończył się po dwóch latach ukrywaną ciążą, rejteradą Gawalewicza i śmiercią dziecka, oddanego gdzieś „na przechowanie”. Wspomniana *Małuszka* powstała w 1883 roku, już po rozstaniu z Gawalewiczem. Nie broni się także pogląd, że drukował ją pierwszy, skoro powieść publikował „Kurier Lwowski” kierowany przez Ludwika Masłowskiego. Protekcja u Woźniakowskiego (zapewne u Piotra, dyrektora teatrów objazdowych) była prawdopodobna, ale debiut w „jej własnej *Żabusis*” to już fantazja. Zapolska debiutowała na scenie amatorskiej jeszcze w 1879 roku – tutaj być może Woźniakowski miał coś do powiedzenia. Jej pierwszy zawodowy występ odbył się pod dyrekcją Stanisława Koźmiana 26 stycznia 1882 roku w Krakowie, gdzie zagrała Margot w komedii K. Zalewskiego *Spudłowani*. Wtedy też przyjęła pseudonim Zapolska. *Żabusię* napisała dopiero wiosną 1896 roku, a wystawiono ją rok później, co nijak się ma do jej debiutu. Gawalewicz umarł w roku 1910, a więc czas jego pogrzebu nie wiązał się z faktami podawanymi przez Jerzego Janickiego, nawet gdyby datował je właściwie.

Wróćmy jednak do Lwowa Zapolskiej. Pojawiła się tutaj znów w roku 1883, gdy obejmujący dyrekcję Jan Dobrzański zatrudnił ją w teatrze. Zamieszkała na Sykustskiej, najpierw pod 35, później pod numerem 46. Jako aktorkę przyjęto ją wtedy chłodno, jako autorkę z rezerwą – teatr wystawił jej wczesną sztukę, w kasynie miejskim pokazano jednoaktówkę, ale w prasie piętnowano ją jako „niebezpieczną naturalistkę”. Ostatecznie w 1885 roku wyjechała do Poznania twierdząc, że nie ma siły „walczyć z całą falangą świętoszków galicyjskich”. Wróciła w 1899 roku jeszcze jako aktorka, ale przepracowawszy jeden sezon porzuciła aktorstwo postanawiając żyć wyłącznie z pisania. Mieszkała wtedy m.in. na trzecim piętrze gmachu Skarbkowskiego i na Brajerowskiej 7, następnie w którymś z mieszkań ogromnej kamienicy Sapienhoy przy Ossolińskich 11 i przy Miłkowskiego 3 (1900), a także na Hofmana 6 (1901).

Początek stulecia przyniósł wielki romans i małżeństwo z młodszym o dziewięć lat malarzem Stanisławem Janowskim. Po

trzech płomiennych latach nadszedł jeden z wielu dramatycznych kryzysów w ich związku i po ogłoszeniu separacji Zapolska sama, w styczniu 1904 roku, osiedliła się we Lwowie. Zmieniła kilka mieszkań, by w końcu parę miesięcy spędzić na kuracji w Lubieniu. Po powrocie wczesną jesienią 1905 roku zamieszkała na bocznej Hofmana pod numerem 10. Wkrótce po otrzymanym rozwodzie postanowili z Janowskim... zacząć wszystko od początku i na stałe osiąść we Lwowie. We wrześniu 1906 roku Zapolska przeniosiła się na Kurkową 22, gdzie niebawem mieli urządzić się we dwoje. Czekala tu na rychły przyjazd eksmęża pisząc *Moralność pani Dulskiej*. A więc wszelkie teorie o pisaniu arcydzieła w „Skizie”, w tym sugestia, że prapremiera *Moralności* miałyby się odbyć już po zakupie willi, czyli jak chce Jerzy Janicki w roku 1915, to czysta fantazja. Podobnie jak tajemniczy Koźmian, który tę prapremierę jakoby wystawiał. Jeżeli miałoby chodzić o Stanisława Koźmiana, to ten od roku 1898 nie miał nic wspólnego z krakowskim teatrem, a wśród dyrektorów Teatru Miejskiego w Krakowie (później im. Słowackiego), nigdy nie było żadnego Koźmiana. *Moralność pani Dulskiej* jako pierwszy wystawił tam dyrektor Ludwik Solski już 15 grudnia 1906 roku, a więc miesiąc po napisaniu sztuki.

Zapolska miała zwyczaj znakomicie ułatwiający życie badaczom, mianowicie w korespondencji, a listów pisała dużo, zawsze po zmianie mieszkania nowy adres podawała przy podpisie. Wiadomo zatem, że z ulicy Kurkowej 30 października 1906 roku pisała do Janowskiego: „zebrałam się do pisania sztuki i mam kilka scen. Muszę skończyć na 15 (...) bo Heller mi napisał, że da mi 100 guldenów, jak mieć będzie sztukę w rękę. Temat – Pani Dulska”. Wiadomo także, że pisanie zajęło jej dwa tygodnie, bowiem 14 listopada 1906 informowała męża: „Dziś w wielkich boleściach ukończyłam *Dulską*”. Na tym liście dowodów powstania *Dulskiej* przy Kurkowej 22 we Lwowie można chyba zamknąć.

A co ze „Skizem”? Zapolskiej i Janowskiego długo nie było stać na kupno domu. Dopiero w 1907 roku, kiedy założyli „Teatr Gabrieli Zapolskiej”, własną trupę objazdową, sytuacja zaczęła się zmieniać. Przełomowy był rok 1908. Zapolska napisała sztukę

Skiz, która okazała się wielkim sukcesem. Dochody płynące z tego przedsięwzięcia, niezłe tantiemy z innych sztuk i spory zastrzyk ze sprzedaży rodzinnego futoru pod Żytomierzem, a także pewna stabilizacja w związku z Janowskim sprawiły, że zdecydowali się kupić willę, którą nazwali „Skiz”. Zapolska pisała do męża 19 X 1908 roku: „Domek stargowałam za 7500 złr. Wyłaziłam pożyczkę na 4500 z kasy oszczędności”. Znow sięgając do tekstu Janickiego trzeba odnotować, że Ludwik Heller nie wystawił (zwłaszcza w 1915 roku!) „dwu na raz – *Skiza* i *Ahasfera*”, co miałyby przynieść autorce fortunę. *Skiz* owszem, ale *Ahasfer* to w istocie utwór pod tytułem *Mężczyzna*. Tytuł zmieniono w 1902 dla sceny lwowskiej, kierowanej wtedy przez Tadeusza Pawlikowskiego. Sztuka była doceniona, ale bynajmniej nie przebojowa finansowo. Zaś historia z apetycznym honorarium od Orgelbranda to już paplanie Kallas, o tyle bajeczne, że Zapolska popełniając rozmaite błędy, gdy chodziło o pieniądze raczej nie podpisywała niczego w afekcie. Zapolscy-Janowscy zawdzięczali chwilowy sukces finansowy odrobinie zawodowego szczęścia i zbiegowi innych okoliczności, nie było w tym jednak tyle artystowskiej fantazji, ile chciałby dostrzec Jerzy Janicki. We własnym domu zamieszkali w kwietniu 1909 roku i od tej chwili Zapolska podawała w korespondencji adres: Lwów, Krzywczyce, willa „Skiz”, Pasieczna 3.

W pierwszych miesiącach ich życie w „Skizie” płynęło sielankowo. Zapolska 3 maja 1909 roku pisała: „Stach strasznie domem zaaferowany. (...) Ciągłe konferencje ze stolarzami, cieślami, kowalami. Sąsiedzi mu się przedstawiają. Jestem pewna, że wybiorą go na wójta Krzywczyc. Ja zaś głównie interesuję się ogrodem. Posadzono już 37 krzaków róż, a jedna sztampowa biała ma 2 i 30 cm wysokości. Jest to gatunek płaczącej róży, śliczny. Dom opięty clematis, a parkany dzikim winem”. Pod koniec czerwca uzupełnia: „Co dzień patrzę, czy nie rozkwita jakaś róża, jakiś bratek. Kalarepka roślinie. (...) Są śliczne tuje ogromne, bratki, trzydziści sześć róż, piwonie, begonie, nasturcje, drzewa figowe, bzy, werbena, astry itd.” W tym nastroju upłynął rok. Wiosną, 23 kwietnia 1910 roku, w warszawskim tygodniku „Świat” ukazał się – mówiąc współcześnie – celebrycki artykuł przedstawiający „Skiz”

jako zaciszną przystań dwojga zakochanych artystów. Warto zacytować parę zdań, bo to bodaj jedyny reporterski obraz legendarnej willi. Dowiadujemy się zatem, że „Pan Janowski dobudował skrzydło piętrowe, w którym pomieściła się jego pracownia. Ogród zmienił w jeden olbrzymi bukiet dzieląc go na kwiatowy i warzywny. (...) Część ogrodu ofiarowano kurzemu rodowi, budując – jakby starą gospodę – kurnik z wrotami i ganeczkiem. (...) Całego ogrodu pilnuje olbrzymi Bernard Bary, rezydujący w miniaturowym zakopiańskim szałasie”. Wnętrze natomiast było „zapełnione cennymi staroświeckimi meblami. Obok wygodnych biedermajerów mahoniowe lekkie empiry i wdzięczny rococo. Miałyby się wrażenie wnętrz dawnego dworku polskiego, gdyby nie muzealne prawie bogactwo sprzętów, gdyby nie legiony całe cacek, zdobiących półki i etażerki, gdyby nie moc obrazów, gobelinów, antycznych zegarów”. Dokumentalną wartość ma opis obrazów: „mnóstwo malarzy francuskich (...) idzie o lepsze z najświetniejszymi przedstawicielami sztuki polskiej. Całe ściany zawieszono Gauguinem i Serusierem. (...) Serusiera *Zjadacze węzów* i *Idiotka*, Gauguina *Smutne dziewczynki*, głośnego pointilisty Scurata *Naga kobieta*, obrazy Pissarra, van Gogha. Dominują olbrzymie *Świtezianki* Wyspiańskiego, z polskich malarzy nie brak zresztą prawie żadnego z wybitnych współczesnych”. Wśród tego wszystkiego, jak podsumowuje reporter, „oboje pp. Janowscy z wielkim umiłowaniem oddają się swojemu małemu gospodarstwu”.

Jednak gdy czytelnicy zachwycali się gwiazdorską sielanką, w „Skizie” było już raczej posępnie. Parę miesięcy wcześniej pisarka poznała niejakiego Kazimierza Radwan-Pragłowskiego, głośnego wówczas radiestetę, uzdrowiciela i hipnotyzera. Janowski – nie bez racji – uważał, że jest to przyjaźń, oględnie mówiąc, zbyt bliska i w czerwcu 1910 roku, a więc po roku spędzonym w „Skizie”, wyprowadził się. Miesiąc później Zapolska uprzedzała go w liście, że „skoro będzie mi za ciężko utrzymać tyle pokoi i służbę, sprzedam [dom] i wyjadę do Kijowa”. W sierpniu utyskiwała: „Jest to dla mnie straszny ciężar, wydatek bezużyteczny i wtrącający mnie w wielką pracę”. W listopadzie sięgnęła po tony rozpaczliwe: „»Skiz« zjada mnie. Ciągłe podatki, raty, zaległości,

utrzymanie pochłonie wszystko”. Wreszcie po kilku miesiącach, w kwietniu 1911 roku, poinformowała Janowskiego: „Wyprowadzam się do miasta. Wynajęłam »Skiz« inżynierostwu Silnickim za 45 guld miesięcznie. (...) Dlatego wynajęłam na wiosnę, bo na zimę nikt by nie wynajął i ja drugą zimę tu bym spędziła i prawdopodobnie umarła”. Oznacza to, że zaledwie po dwóch latach mieszkania w „Skizie” przeniosła się na Reja 7. Decyzja o sprzedaży willi wydawała się nieodwracalna. „Obmierzyli mi łączące mnie z tym domem wspomnienia. Zszarpały się w rynsztoku – czytamy w jednym z listów pisanych już na Reja. – Być może sprzedaż nastąpi w lecie”.

W lecie jednak nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji – Silnicki poddzierżawił dom znów... Janowskiemu, ten zaś udostępnił tam mieszkanie swojej siostrze, malarce Bronisławie Rychter-Janowskiej. Największą zniewagą dla Zapolskiej było jednak to, iż Janowski spędzał tam noce ze swoją ówczesną kochanką, Bronisławą Jeremi, żoną malarza Kazimierza Sichulskiego. Zapolska od lat szczerze tych dwojga nienawidziła. Oszalała z wściekłości oznajmiła więc, że po zakończeniu dzierżawy wraca do „Skiza”. W marcu 1912 roku podawała wprawdzie adres Reja 7, ale z dopiskiem „od 1 maja willa »Skiz«”. I rzeczywiście, wróciła na krótko, także w nadziei, że Janowski mając ją „przez ścianę” zechce odrodzić dawną zażyłość. Jednak lato 1912 roku nic między nimi nie zmieniło. Według „Księgi Adresowej ck miasta Lwowa na rok 1913” „Janowski Stanisław, artysta malarz” mieszkał przy Nabelaka 29, „Zapolska-Janowska Gabriela, literatka” nadal przy Reja 7, a przy Pasiecznej 3 figurowała „Bronisława Rychter-Janowska, malarka”.

Wkrótce wybuchła wojna i listy pisane do Józefa Wolffa jesienią 1914 roku świadczą o kłopotach, które przerwać mogła tylko pilna sprzedaż willi. Jednak kupiec znalazł się dopiero w roku 1916. „Za »Skiza« wzięłam 10000 gotówką – to był cud” – napisała. Wtedy skończył się, wprawdzie melodramatyczny, ale tylko epizod związany w życiu Zapolskiej z krzywczyczą willą.

Jeśli więc ktoś chciałby odnaleźć jej „syrdeczny punkt” na mapie Lwowa, niech go szuka na Łyczakowie, ale „het przed drągiem”. Rozgoryczona i umęczona zarządza-

niem podmiejską posiadłością, po trzech latach spędzonych na Reja, w czerwcu 1913 roku Zapolska na krótko zamieszkała przy Głowińskiego 2, a w październiku wynajęła mieszkanie przy Gołąba 6. Mieszkała tam 4 lata, do chwili gdy 1 czerwca 1917 roku przeniosła się kilka domów dalej, na Gołąba 15, drugie piętro z balkonem na ulicę. Przeżyła tam kolejne cztery lata, do śmierci 17 grudnia 1921 roku. Aż jedenaście ostatnich lat życia spędziła więc w jednym cichym zakątku Łyczakowa. Jeśli doliczyć czas spędzony pod wcześniejszymi łyczakowskimi adresami, zwłaszcza na Kurkowej, otrzymamy co najmniej dwadzieścia lat przeżytych na Łyczakowie, z dala od mitycznej willi „Skiz”. Bez wielkiej przesady można rzec, że Zapolska była łyczakowianką i to wręcz pomnikową. Wielu badaczy uważa bowiem, że pierwowzorem Dulskiej była żona lwowskiego rajcy i budowniczego Andrzeja Gołąba (choć prędyż już wdowa, bo ten umarł w 1903 roku). Ba, powtarzano chętnie, że Zapolska sportretowała w komedii całą rodzinę Gołębów. Jednak jest w tej sprawie wiele wątpliwości, których roztrząsać tutaj nie będę – to temat na inną, sążnistą rozprawę. Osobiście bliżej mi do wersji, że intryga, nazwijmy to erotyczna, została przywieziona przez Janowskiego ze Stanisławowa (sam to zresztą opowiedział w swoich zapiskach), a jakaś łyczakowska kamienicznica, których Zapolska poznała wiele, użyczyła swojej duszy pani Anieli Dulskiej, w ten sposób, chcąc nie chcąc, czyniąc nieśmiertelnymi autorkę i jej bohaterkę.

Wracając zaś do kwestii ratowania „Skiza”, muszę z pokorą wyznać, że po kilku miesiącach „tropienia” śladów Zapolskiej we Lwowie nie mam do tego obiektu sentymentu większego niż do dziesiątków innych znanych mi adresów, pod którymi zamieszkiwali wielcy lwowianie. Spora ich część to zabytki, niekiedy lepiej zachowane i cenniejsze od przeciętnego architektonicznie „Skiza”. Niemal każdy warto byłoby odnowić i uświetnić pamiątkową tablicą. Nie wiem zatem, czy ratowanie peryferyjnej willi, związane – gdyby miało się powieść – z wielkimi wydatkami, ogromnym wysiłkiem wielu instytucji i skomplikowaną operacją administracyjną, nie okazałoby się holdem chybionym historycznie i większym, niż chciałaby złożyć temu miejscu sama Gabriela Zapolska.

Wyznania lwowskie w cieniu Wawelu

Z prof. Zdzisławem Żygulskim rozmawiał Wiesław Ratajczak

Rozmowa ze śp. prof. Zdzisławem Żygulskim (1921–2015) ukazała się na łamach warszawskiego kwartalnika „Arttak – Sztuki Piękne” (nr 4/11, 2014) wydawanym przez Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków. Uznaliśmy, iż należy przybliżyć naszym Czytelnikom tę piękną opowieść m.in. o Lwowie i pasjach Profesora.

Serdecznie dziękujemy za wyrażenie zgody na przedruk tekstu autorowi wywiadu panu Wiesławowi Ratajczakowi, pani Teresie Grzybowskiej – spadkobierczyni praw autorskich po śp. prof. Zdzisławie Żygulskim i wydawcy kwartalnika „Arttak – Sztuki Piękne” oraz red. Janowi Zychowi za udostępnienie fotografii Profesora.

Rozmowę o tym, co ważne w polskiej kulturze, często wypada rozpocząć od Lwowa. Tak jest i w przypadku naszego spotkania. W przedwojennym Lwowie podjął Pan studia, założył rodzinę, kibicował Pogoni etc. Co było tak szczególnego w charakterze tego miejsca, że bez ludzi związanych z nim w dzieciństwie i młodości nie wyobrażamy sobie współczesnej polskiej literatury, muzyki, teatru, a nawet piłki nożnej?

W miastach granicznych spotykają się różne wątki kulturowe, języki, style, dając owoce świeże i niebywałe. To nastąpiło we Lwowie, w którym zbiegały się szlaki Wschodu i Zachodu. Urodziłem się w 1921 roku w Borysławiu. Miasto czerpało wówczas bogactwo z ropy. Polska wychodziła z okresu niewoli i – w wielkim trudzie, w walkach politycznych – budowała swoją niepodległość. W Borysławiu raptownie rozdziły się fortuny, życie było niezwykle dynamiczne. Spędziłem tam dwa pierwsze lata życia, niewiele pamiętam z tego czasu, poza jednym może. Od czasu dzieciństwa bardzo lubię zapach ropy.

Niezwykłe strony: Borysław, Truskawiec, Drohobycz...

Gimnazjum w szybko rozwijającym się Borysławiu potrzebowało profesorów, zwrócono się między innymi do mego ojca, Zdzisława Żygulskiego. Był germanistą po znakomitych studiach we Lwowie i w Wiedniu.

Posada w szkole borysławskiej była atrakcyjna, jednak Lwów przyciągnął naszą rodzinę. We Lwowie miałem okazję być uczniem bardzo wybitnego pedagoga Mieczysława Kistryna. W gruncie rzeczy pozostawałem amatorem, starającym się zgłębić tajemnicę wychowania dzieci, zwłaszcza w najniższych klasach. Zapamiętałem go jako człowieka oryginalnego i utalentowanego. Trafił do młodzieży dzięki swym niepowtarzalnym pomysłom pedagogicznym, między innymi zwalczając donosicielstwo. Miał sakiewkę, w której trzymał fałszywy grosz. Kiedy ktoś przychodził się poskarżyć na kolegę, wyciągał tę monetę, wachał ją, krzywiąc się przy tym, i wręczał grosz delikwentowi. Za donosicielem unosił się smród złego czynu.

Okres lwowski to dla Pana także czas rozwoju zainteresowań humanistycznych, początku studiów.

Lwów bardzo silnie oddział na moje zainteresowania. Szczególnie wpłynęła na mnie ogromna profesorska biblioteka domowa, mająca charakter literacki. Mój ojciec zajmował się literaturą niemiecką, na półkach stały więc najlepsze wydania Goethego, Schillera i innych, nierzadko pięknie ilustrowane. Oczywiście – jak w każdym inteligentnym domu, także u nas obecna była literatura polska, zwłaszcza romantyczna. Do tego dołożymy wielką kulturę teatralną Lwowa. Rodzice znali się z ludźmi teatru, między innymi z Wilamem Horzycą. Ojciec należał do komisji teatralnej, mieliśmy więc zarezerwowane miejsca na każdą premierę.

Wybór zainteresowań wynikał także z wpływu innych bliskich osób. Siostra mego ojca, Wanda Pogonowska, była uczennicą szkoły artystycznej we Lwowie i malarką. Niestety, zachowało się niewiele jej prac. Swoją warsztat doskonaliła pod okiem Batowskiego i Sichulskiego, których także poznałem.



foto: Jan Zych

W 1939 roku, podczas pierwszej okupacji sowieckiej, starałem się dostać na uniwersytet. To się nie udało, ostatecznie zapisałem się do Akademii Handlu Zagranicznego. Tam poznałem Pinkasa Katza, wybitnego znawcę literatury angielskiej. Był Żydem, studiował w Oksfordzie i w 1939 roku przyjechał na wakacje do Lwowa. Posiadał dużą bibliotekę anglistyczną, odwiedzałem go często. Nasza przyjaźń zakończyła się tragicznie, gdy 1941 roku Lwów został zajęty przez Niemców. Na oczach nas wszystkich, zdumionych tą brutalnością, rozegrały się straszliwe sceny: egzekucje, bicie na ulicy. Mój przyjaciel został zamknięty w getcie, kiedyś dostałem od niego z list adresem.

Napisał, że jest głodny i smutny. Wziąłem chleb, kilo cukru, pojechałem tramwajem...

Od mego przyjaciela miałem *Uliessa* Joyce'a, na tej powieści uczyłem się angielskiego. Okupacyjna nauka języka bardzo mi się w przyszłości w mojej pracy przydała.

Ze wspomnień Pana brata Kazimierza wynika, że wasz rodzinny dom był ważnym centrum życia konspiracyjnego.

Tak, mój starszy brat intensywnie działał w podziemiu, a nasz dom był ośrodkiem kontaktów z Londynem. Matka należała przed wojną do Związku Strzeleckiego, popularnie zwanego Strzelcem, o charakterze paramilitarnym i w naturalny sposób weszła do konspiracji. Kolportowała *Biuletyn Informacyjny*, często towarzyszyłem jej w niebezpiecznych podróżach. Kazimierz był prezesem sądu podziemnego, wydawał wyroki na konfidentów, przeważnie orzekał karę śmierci. Kiedy Niemcy zaczęli przegrywać, rozpoczęły się dyskusje o przyszłości Polski i stosunku Armii Krajowej do zbliżających się bolszewików. Rozpoczęliśmy przygotowania do powstania, przystąpiłem wtedy do armii podziemnej, wybrałem pseudonim Nik. Niestety, próba formalnego wystąpienia władzy polskiej wobec wkraczających bolszewików się nie udała. Sowietci mieli doskonały wywiad.

Natychmiast rozpoczęły się aresztowania osób związanych z rządem londyńskim. Ojciec w porę ostrzegł mnie, że aresztowano brata (w konsekwencji przebywał w łagrach 10 lat) i że ja także jestem poszukiwany. Ukrywałem się na przedmieściach, w willi pani Marii Jaskólskiej. NKWD jednak wpadło na trop, musiałem po rynnicy uciekać do ogrodu. Kiedy już wyszedłem przez okno,

zauważyłem, że żołnierz stojący na warcie skręca papierosa. To mnie uratowało w tej decydującej chwili. Byłem wtedy bardzo wygimnastykowany, mogłem bez trudu spuścić się z pierwszego piętra. Będąc spalony we Lwowie, zdecydowałem się na wyjazd do Krakowa.

Jak tutaj wyglądały początki Pana pracy w Muzeum Czartoryskich?

Zdecydował przypadek. Najpierw podjąłem anglistyczne studia na uniwersytecie, ale mojego wykładowcę aresztowano jako domniemanego szpiega. Postanowiłem przenieść się na historię sztuki. Poznałem wtedy dyrektora Muzeum Czartoryskich, wybitnego archeologa i historyka sztuki, Stanisława Gąsiorowskiego. W gimnazjum miałem łacinę i grekę, znałem też inne języki i to go ujęło. Dostałem więc stałą pracę w muzeum. A ponieważ posiadałem już dyplomy szkół handlowych we Lwowie i w Krakowie, objąłem obowiązki organizacyjne i administracyjne. Kiedy ukończyłem historię sztuki, mogłem się zająć pracą naukową. Napisałem w sumie 33 książki, w tym kilka po angielsku, m.in. *Sztuka islamu* (1959), *Polski mundur wojskowy* (wspólnie z H. Wieleckim, 1988), *Sztuka turecka* (1988), *Sztuka perska* (2002), *Dzieje zbiorów puławskich. Świątynia Sybilli i Dom Gotycki* (wznowienie 2009). Wiem, że uznanie zdobył tom zbioru moich artykułów *Świątla Stambułu* wydany w 1999 roku w wydawnictwie DIG.

Przez wiele lat wykładałem kostiumologię w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dużo podróżowałem po świecie, z wystawami i na kongresy, sam te międzynarodowe kongresy organizowałem. W roku 1975 w Paryżu w tajnym głosowaniu zostałem wybrany prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Broni i Historii Wojskowej (International Association of Museums of Arms and Military History – IAMAM). Na parę lat Muzeum Czartoryskich stało się światowym centrum bronioznawstwa, przyjeżdżali do Krakowa najwybitniejsi badacze z całego świata. W samym Muzeum Czartoryskich miałem też wybitnych kolegów i koleżanki. Z Markiem Rostworowskim przy wystawie *Żydzi polscy, a zwłaszcza Polaków portret własny*, która była chyba największym sukcesem polskiego muzealnictwa, współpracowali świetni znawcy: Krystyna Moczulska, Dorota Dec, Janusz Wałek.

Pana ostatnio powstałe prace dotyczą najcenniejszych militariów w polskich zbiorach – Szczerbca i Tarczy Wróżebnej Sobieskiego.

Dzieje broni były zawsze moim głównym zainteresowaniem naukowym. Szczerbiec, choć każdy o nim słyszał, jest przedmiotem tajemniczym i fascynującym. Stawiam tezę, że powstał w kręgu templariuszy. Wskazuje na to treść napisów łacińskich i emblematyka. Rzadko się mówi o placówkach templariuszy w Polsce i ich znaczeniu dla naszej kultury. Studium o Szczerbcu zostało opublikowane w piśmie o światowym zasięgu.

Pisałem też ostatnio o Tarczy Wróżebnej. To jeden z najciekawszych obiektów, jakie są w polskich zbiorach. Na powierzchni tarczy przedstawione zostało zwycięstwo Konstantyna w walce o tron cesarski w 312 roku. Triumf przy Moście Mulwijskim dokonał się pod znakiem Krzyża, dzięki widzeniu, jakiego Konstantyn doświadczył we śnie. W XVI wieku, kiedy zarysowało się wielkie starcie Zachodu ze światem islamu, próbowano pozyskać Polaków do udziału w Lidze Świętej, czyli organizowanego przez Stolicę Apostolską związku państw katolickich. Jeden z papieży wysłał do króla Zygmunta Augusta poselstwo z darem, jakim była owa tarcza. Od tego czasu pozostawała w zbiorach polskich. W czasie potopu szwedzkiego ukryto ją w katedrze na Wawelu, odnalazła się w czasie remontu, tuż przed wyprawą wiedeńską, co odczytano jako wróżbę zwycięstwa. Nic dziwnego, że król zabrał ją ze sobą na tę wyprawę.

Zdobycze wiedeńskie, jak i owa tarcza były przechowywane w zamku i kolegiacie w Żółkwi. Z czasem scheda po królu dostała się w ręce Radziwiłłów i trafiła do Nieświeża. Ostatecznie tarcza znalazła się w Świątyni Sybilli w Puławach i była centrum kultu Sobieskiego. Potem eksponowano ją w Muzeum Czartoryskich, dlatego tak dobrze znałem to niezwykle dzieło. Oba artykuły o Szczerbcu i Tarczy Wróżebnej ukazały się w wersji angielskiej w ostatnich numerach „Artibus et Historiae”, założonego w Wenecji i Wiedniu przez dra Józefa Grabskiego międzynarodowego pisma, którego siedziba redakcji parę lat temu została przeniesiona do Krakowa.

Zestawia Pan Profesor w swych pracach sztukę polską z szerokim kontekstem. Na przykład rozdziały w książce *Broń w dawnej Polsce* są tak skomponowane, że najpierw omawiane są przykłady zaczerpnięte z kręgu

kultury zachodniej, później egzemplia wschodnie, a następnie – z terenu Rzeczypospolitej.

Historia ustawiła nas w tym miejscu, byśmy cały czas czerpali ze Wschodu i Zachodu. Chrześcijaństwo przyszło do nas co prawda z południa, ale to była koncepcja wschodnia i zachodnia jednocześnie. Każdy temat, którym się zajmowałem, obejmowałem z wysoka, starając się zobaczyć jak najszerszy horyzont. Badając broń, na jednej z tarcz zauważyłem element dekoracyjny w formie węzłów, które skojarzyłem z takimi samymi, jakie znajdują się na sukni Damy z gronostajem Leonarda da Vinci. Można było założyć, że ten element miał takie samo znaczenie w obu przypadkach, był uniwersalnym znakiem, używanym przez płatnerza i przez genialnego malarza. Uznałem go za element uniwersalny, łączący świat Wschodu i Zachodu. Leonardo znał sztukę orientalną, taki wzór pojawiał się m.in. na przedmiotach rzemiosła artystycznego, oprawach ksiąg, wspomnianej dekoracji broni, kobiercach. Leonardo powtórzył te splecione węzły i w sposób oryginalny umieścił je w tylko sobie właściwych kontekstach. Moja praca o węzłach Leonarda zainteresowała Mirceę Eliadego, ponieważ dotyczyła symboli uniwersalnych, które obowiązywały w hinduizmie, w kulturze chińskiej i arabskiej. A w pewnym momencie płatnerz włoski powtórzył ten element na wykonanej przez siebie tarczy. Starłem się więc połączyć różne dziedziny świata sztuki, ukazać moment ich spotkania. Dobry historyk sztuki zajmuje się wszystkim, próbuje przeniknąć formy, łącząc światy wielkiej sztuki i rzemiosła artystycznego, kojarzyć pozornie odległe od siebie zjawiska.

Podczas lektury Pana książek podziwiałem wszechstronność i erudycję. Napisanie *Muzeów na świecie czy Broni w dawnej Polsce* wydaje się dziś zadaniem dla dużego zespołu uczonych, reprezentantów wielu dziedzin. A przecież pisał Pan także o sztuce perskiej, mauretańskiej, tureckiej...

Uniwersalne umysły są umysłami wolnymi, które nie dają się ograniczyć jarzmem specjalizacji. Specjalizacja to wyjąłowanie. Dziś obowiązuje moda, by obejmować wzrokiem jak najmniejszy fragment horyzontu. I do tego zapanowała moda na pracę zespołową, w ramach grantów, w których na początku mam określić spodziewane wnioski. To jest absurdalne. A wracając do moich niedawnych

prac, wspomnę jeszcze o obszernym katalogu zbrojowni Muzeum Czartoryskich i o dziejach Muzeum Narodowego w Krakowie.

Poza publikacjami, Pana aktywność zawodowa wiąże się z wieloma wystawami w kraju i za granicą. Którą uważa Pan za najważniejszą?

Napisałem scenariusz wystawy z okazji trzechsetlecia odsieczy wiedeńskiej. To było w 1983 roku, na Wawelu. Udało nam się połączyć rozmaite ślady tego zwycięstwa i przypomnieć je w czasie szczególnego przygnębienia. Lubię wracać myślą do milenijnej ekspozycji *Skarby z Polski*, którą w latach 1966–67 pokazywałem w Chicago, Filadelfii i Ottawie. Były również wystawy sztuki polskiej w Japonii, które się tam bardzo podobały.

Zajmował się Pan w swojej pracy bardzo różnymi dziedzinami. Muzealnictwo w Pana wykonaniu jest połączeniem historii sztuki, historii politycznej, historii literatury...

Wybierałem takie niezwykle dzieła, na przykład *Lisowczyka* Rembrandta. Przez długi czas uważano, że obraz ten ma niewiele wspólnego z Polską. Sądzono, że artysta namalował na podstawie rozmaitych rycin, m.in. Dolabelli, anonimowego jeźdźca. Starałem się udowodnić, że to autentyczny portret jednego z polskich szlachciców. Moje przekonanie wsparł profesor Juliusz Chrościcki, który odkrył, że portret przedstawia Marcjana Aleksandra Ogińskiego namalowanego przez Rembrandta w 1655 roku, gdy Polak studiował na Uniwersytecie Franeker w Holandii. Na obrazie zauważyć można ognisko, emblemat wskazujący na ród szlachcica, a jego strój jest typowo polski. Opisałem to dokładnie: polska czapka, buty, żupan podobny do znajdującego się w zbiorach Czartoryskich.

Kiedy czytałem książkę o muzeach świata, pomyślałem, że jest ona ważna także dla laika. Komuś nieorientowanemu może się wydawać, że muzea to dziewiętnastowieczne instytucje. Wszak wtedy państwa narodowe tworzyły swoje reprezentacyjne zbiory. Tymczasem tradycja muzeów jest tak stara jak kultura. Jaką potrzebę ludzką zaspokaja to gromadzenie przedmiotów?

Początków muzeów należy szukać w cywilizacji dwurzecza Tygrysu i Eufratu. Natomiast bardzo interesująca koncepcja powstała w Egipcie Ptolomeuszów. Muzea stały się wówczas instytucjami naukowymi, przyświecał im cel zgromadzenia całej wiedzy świata w jednym miejscu. Dzieła sztuki

były zawsze związane z tajemnicą. Były nie tylko pięknymi przedmiotami, wykonanymi nierzadko ze złota i szlachetnych kamieni, ale posiadały także charakter kultowy. Pośredniczyły między człowiekiem a bóstwem, łączyły ze światem kosmicznym, światem bogów. Posiadały niezwykłą siłę duchową. Wiązała się z nimi tajemnica, którą mógł przekazać kapłan, a później ktoś, kto interpretuje historię i sztukę. Kustosze stali się niejako pośrednikami między artystą a widzem.

Kiedy Izabella Czartoryska stworzyła Świątynię Sybilli, to sam świątynny charakter tego muzeum dowodził, że wszystko, co znajduje się w środku, jest poświęcone, pamiętki narodowe mają charakter świętych przedmiotów, czczonych i przekazywanych potomnym. Świątynia Sybilli była dostępna dla zwiedzających, księżna Izabella oprowadzała także chłopów. Tak wyglądał początek pierwszego polskiego muzeum narodowego, zbiorów, o których twórczyni pisała: „Przeszłość – przyszłości”. Po koniec XIX wieku Władysław Czartoryski przywiózł do Krakowa przechowywane po powstaniu listopadowym w paryskim Hotel Lambert skarby puławskie. Wspomniana wyżej tarcza Sobieskiego stała się punktem centralnym zbiorów.

Przy muzeach powstawały zawsze biblioteki. Wiedza zawarta w książkach tłumaczyła to, co widz mógł oglądać w salach ekspozycyjnych. Władysław Czartoryski także stworzył instytucję naukową, w której skład wchodziły zbiory sztuki i pamiętek narodowych, biblioteka oraz bezcenne archiwa, zawierające dokumenty związane z historią Polski.

Jednym z haseł radykalnej nowoczesności było zniszczenie muzeów, tymczasem po stu latach muzeum wcale nie jest czymś anachronicznym.

O kryzysie muzeum można mówić tylko w związku ze zmianą koncepcji muzealnej. Dziś widz stał się kimś najważniejszym w muzeum. Nie dzieło sztuki, tylko widz. Muzealnicy robią wszystko, żeby przyciągnąć publiczność. Muzea – jak wszystko – stały się towarem. A to wiąże się ze spauperyzowaniem. Poza tym, żeby wejść do muzeum, trzeba mieć pewną wiedzę. Nad wejściem do muzeum Pio-Clementino wisiał napis: „Nie mają tu wstępu nieucy”.

Współczesne muzea są skierowane przede wszystkim na widza, z myślą o nim

tworzone są wystawy czasowe, które „zjadły” ekspozycje stałe.

Przybliżanie sztuki dawnej niejednokrotnie szkodzi, bo stwarza się w tym celu nie zawsze adekwatny obraz.

Jednoznaczna jest rola muzeów sztuki współczesnej, natomiast coraz bardziej staje się problematyczna sytuacja muzeów narodowych. W nich można obserwować próby przypodobania się współczesnemu widzowi.

Nie zawsze tak jest. Wystawa poświęcona Aleksandrowi Gieryskiemu w Muzeum Narodowym w Warszawie nie była łatwa, a przyciągała wielu oglądających. Podobnie imponująca wystawa Olgi Boznańskiej w Muzeum Narodowym w Krakowie...

Tak – to wydaje się oczywiste, że widz chce oglądać dobrą wystawę polskiego malarstwa. Odpowiednio urządzoną, dobrze zaaranżowaną, pozbawioną infantylnej dydaktyki, traktującą widza jak poważnego partnera. Tak można by postąpić z innymi polskimi malarzami, bo decyduje kunszt. Nie mogę się zgodzić z niektórymi zjawiskami, na przykład z pomysłem zastąpienia dzieła sztuki pustym miejscem po nim.

Chciałbym nawiązać do Pana nadzwyczajnej przygody maltańskiej. Znalazłem taką wypowiedź Pana Profesora, że to Zakon Kawalerów Maltańskich jest jakby dobrze pomyslanym pierwowzorem Unii Europejskiej.

Kawalerowie maltańscy byli ludźmi z różnych stron świata. Łącznikiem ich społeczności były między innymi książki. Jedną z reguł zakonu zobowiązywała bowiem członków, by przekazywali wspólnie swoje księgozbiory. W 1969 roku jako ekspert UNESCO inwentaryzowałem zbrojownię na Malcie. Kawalerowie maltańscy stworzyli intrygującą, uniwersalną kulturę, zajmowali się nauką i sztuką. Sprowadzili do siebie Caravaggia, który namalował na wyspie jeden z najniezwyklejszych obrazów: Ścięcie św. Jana, ze strugą krwi, która układa się w sygnaturę malarza. To przejmujący obraz śmierci, ścięta głowa świętego Jana ma rysy samego artysty, który niebawem potem umrze. Malta jest miejscem niezwykłym. Stworzyli ją ludzie miłujący naukę, ryzyko i życie pełne przygód.

Powróćmy jeszcze do jednego z wątków, mianowicie do kultury literackiej, jaka panowała w Pana domach w Borysławiu, Lwowie, Krakowie. Jakie inspiracje literackie były i są dla Pana najważniejsze?

Nieustannie wracam do *Odysei*, *Eneidy* i do poezji Katullusa. Kiedy miałem 15 lat, założyłem klub miłośników tego rzymskiego poety, co tydzień spotykaliśmy się, by czytać jego wiersze. A z literatury nowożytnej – najbardziej cenię francuską. Ma ona wielką jasność, której nie posiada piśmiennictwo niemieckie. Niemcy nawet w swoich pracach z historii sztuki potrafią rzecz zapętlić, zamulić.

Przeżyliśmy czas wielkich poetów, którzy odeszli. Może zjawiają się następni. Bardzo lubię Gałczyńskiego, który – jak dobrze pamiętam – wspaniale czytał swoje wiersze. Trafiał w sedno, znakomicie znał i rozumiał język. W poezji decyduje wybór jednego słowa, w Gałczyńskim zaś zawsze uderzała trafność, osiągnana bez wysiłku. Jego wiersze sprawiają wrażenie, jakby powstawały bez męki. Mozart „pisał nutki, które się kochają”. Tak radośnie pisał Gałczyński.

Profesorze, chciałbym na koniec zapytać jeszcze, jakie muzeum na świecie lubi Pan najbardziej? Do którego najchętniej by Pan powrócił?

Muzeum Czarotoryskich, to dawne. To bolesny dla mnie temat, pracowałem w tym miejscu przez sześćdziesiąt lat. A dziś zostało zamknięte. Było jedną z niewielu placówek na świecie przenoszących klimat i wygląd muzeum francuskiego z końca XIX wieku. Muzeum Czarotoryskich samo w sobie było dziełem sztuki, zwłaszcza jego atmosfera. To niematerialne dobro kultury trzeba było chronić. Tymczasem zostało zniszczone, a trzeba pamiętać, że było to pierwsze polskie muzeum narodowe, wypełnione narodowymi pamiątkami zbieranymi przez Izaabelę Czarotoryską (z jej zbiorów w puławskim Domu Gotyckim pochodzą takie arcydzieła jak *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci, *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta oraz zaginiony w czasie II wojny *Portret młodzieńca* Rafaela). Muzeum Czarotoryskich było klejnotem w muzealnictwie światowym, wielką nieodpowiedzialnością za dobra kultury narodowej jest zniszczenie tego skarbu. Nawet jeśli po wielu latach ktoś wreszcie zrozumie moc oddziaływania takich muzeów jak właśnie Muzeum Czarotoryskich, to nic już nie wróci niezwykłej, jedynej w swoim rodzaju atmosfery tego miejsca. Zniszczono to, co niezwykle, na rzecz tego, co jest wszędzie, czyli kolejnego „nowoczesnego” wnętrza.

Malarstwo lwowskie

Piętą achillesową plastycznego środowiska lwowskiego był brak własnej wyższej uczelni artystycznej. Uzdolniona młodzież w pierwszej połowie XIX stulecia po wstępnej nauce u któregoś z miejscowych malarzy wyjeżdżała do Wiednia, Monachium lub Włoch na studia akademickie. Podobnie było pod koniec tego stulecia i w wieku XX, kiedy absolwenci Państwowej Szkoły Przemysłowej we Lwowie (PSPL) wyjeżdżali na studia malarskie lub rzeźbiarskie do Szkoły (a po zmianie nazwy – do Akademii) Sztuk Pięknych w Krakowie albo do Wiednia czy do Monachium lub coraz częściej do Paryża.

Po odzyskaniu niepodległości lwowskie środowisko, zapewne celem uporządkowania chronologii i uzyskania naukowego spojrzenia na miejscowe malarstwo, przygotowało pokaz *Wystawę starych mistrzów lwowskich do r. 1894*, zorganizowaną przez dr. Stanisława Zarewicza wraz ze Związkiem Artystów Plastyków Wschodniej Małopolski w listopadzie–grudniu 1924 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie (TPSP), o czym donosił, wydawany w Krakowie, miesięcznik „Sztuki Piękne” w numerze 4 na s. 189 rocznika 1924/25. Stanisław Zarewicz, zmarły w styczniu 1931 r., był historykiem sztuki i kustoszem w Muzeum Historycznym miasta Lwowa.

Kolejna wystawa porządkująca pt. *Sto lat malarstwa lwowskiego, 1790–1890* została urządzona latem 1937 r. przez dr Jerzego Guttlera (1904–1952), historyka sztuki po Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i przed 1939 r. kustosa w Galerii Obrazów miasta Lwowa, a po 1945 r. kierownika muzeów w Gdańsku i we Wrocławiu. Wystawa malarstwa z 1937 roku miała miejsce w siedzibie Lwowskiego Związku Zawodowego Artystów Polskich przy placu Mariackim nr 9. Wiadomość o wystawie odnotował kwartalnik Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków „Głos Plastyków” z marca 1938 r. wychodzący w Krakowie. Być może, iż organizatorom chodziło nie tylko o spopularyzowanie tutejszych artystów oraz ustalenie

pozytywów i negatywów tej sztuki. Wystawy mogły też być głosem wspierającym starania w Warszawie o ustanowienie we Lwowie Akademii Sztuk Pięknych.

* * *

Malarstwo lwowskie w XIX wieku pozostawało pod wpływem Wiednia i Krakowa i gustowało w solidnej sztuce akademickiej niepozabawionej akcentów romantyczno-patriotycznych. Największą popularnością cieszył się portret, potem sceny rodzajowe, krajobrazy ojczyste z architekturą zabytkową, a po uzyskaniu autonomii przez Galicję – kompozycje nawiązujące do chlubnych kart polskiej historii. Konserwatyzm arystokracji i bogatego mieszczaństwa, większe zainteresowanie operą, operetką i literaturą niż plastyką sprawiły, że najwybitniejsze talenty plastyczne nie znajdowały tu sprzyjającego klimatu dla własnego rozwoju i do zarabiania na życie sztuką.

Wyfrunęli ze Lwowa np. Jan Moraczyński, malarz, portrecista, który ok. 1842 r. wyjechał do Rosji, a w czasie późniejszym wyjechali za granicę, wielu do Francji, m.in. Artur Grottger, autor cyklu rysunków upamiętniających sceny z powstania styczniowego 1863 r., Henryk Rodakowski, wybitny twórca portretów np. gen. Henryka Dembińskiego i obrazów historycznych, Jan Styka – autor scen historycznych, batalistycznych i innych, uczestnik malowania *Panoramy Racławickiej*, Stanisław Dębicki – lwowski malarz rodzajowy, a następnie prof. Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Zygmunt Menkes, członek grup malarzy nowoczesnych takich jak „Zwornik” w Krakowie, który większość swego życia artystycznego spędził w Paryżu i w USA, ale nie zerwał kontaktu ze środowiskiem lwowskim, przyjeżdżał do Lwowa i tam wystawiał. Byli także inni artyści, którzy znaleźli oparcie w Krakowie, w Warszawie, w Paryżu i jeszcze dalej.

Nowe tendencje w sztuce z trudem przenikały na grunt tutejszy i z oporami były przyjmowane. Lwów, co prawda, mógł się chwalić że ok. 1900 r. odbyła się tam w TPSP wiel-

ka wystawa „art nouveau” („sztuki nowej”), głównie użytkowej – meble, moda damska, grafika wydawnicza itp., promowanej przez Paryż, w której zdobnictwo opierało się na motywach roślinnych, i np. przez Wiedeń, gdzie preferowano motywy geometryczne. W tym okresie, dzięki działalności dr. Jana Bołoz-Antoniewicza, prezesa miejscowego TPSP, doszło do organizacji kilku wystaw: grafiki japońskiej, obrazów norweskiego malarza i grafika Edwarda Muncha oraz niemieckiego artysty Arnolda Böcklina, którego symboliczne kompozycje bardzo się podobały i wywarły wpływ na lwowskich artystów. Do tej wystawy bardzo nowoczesną, jak na owe czasy, okładkę katalogu zaprojektował Stanisław Dębicki, a także zrobił plakat, symboliczno-satyryczny w swej wymowie, krytykujący tradycjonalistów. Także w Miejskim Muzeum Rzemiosł i Przemysłu Artystycznego odbywały się różnego rodzaju wystawy nowej sztuki użytkowej. Jednak mimo wizualnej promocji secesji poprzez plakaty i wyroby użytku codziennego – jej odbiór społeczny przebiegał na początku ze znacznymi oporami.

Podobnie jak wcześniej krzywiono się na obrazy nowoczesnych malarzy francuskich, które w 1900 r. pokazała Zapolska w TPSP, jak z uprzedzeniem odnoszono się na początku do secesji, tak niechętnie stanowisko zajęto we Lwowie parę lat później, kiedy zaprezentowano w salach TPSP Wystawę Futurystów, Kubistów, w której udział wzięli artyści niemieccy, czescy i rosyjscy, przebywający w Niemczech, a wśród nich rosyjscy malarze awangardowi Wassiły Kandynski i Aleksander Jawleński. Wystawa odbyła się w 1913 r., na kilka lat przed powstaniem grupy nowoczesnych ekspresjonistów krakowskich – „formistów”, czyli artystów, którzy w malarstwie wysuwali na plan pierwszy formę motywów przedstawianych w obrazie przed stroną kolorystyczną. Był to protest przeciwko koloryzmowi impresjonistów. Do wystawy tej Józef Wodyński zrobił wyrazisty kubistyczny plakat. Było to prawdopodobnie na ziemiach polskich pierwsze spotkanie publiczności z nowym stylem w sztuce. Ale tego pierwszeństwa Lwów nie wykorzystał, nie tylko dlatego, że wybuchła I wojna światowa, ale również z powodu nieprzychylniej atmosfery, bowiem miejscowi krytycy wyraźnie odcinali się od „ekstremizmów”.



Irena Nowakowska-Acedańska, Krzemieniec, Liceum, 1936, linoryt

Ton wydziwiania przeważał także w ocenie przez krytykę lwowską nowej sztuki pokazanej na wystawach między 1918 a 1922 r. Mocne uderzenie nowoczesności miało miejsce na przełomie kwietnia i maja 1918 r. we Lwowie, kiedy w TPSP otwarto wystawę prac „Formistów” oraz poznańskiej grupy „Bunt”, nawiązującej do twórczości nowoczesnych artystów z Berlina. Dla „Formistów” była to pierwsza wystawa poza Krakowem. Twórczość obu ugrupowań we Lwowie przyjęli krytycy niechętnie, wystawa wywołała żywą irytację i bojkot ze strony publiczności chodzącej zwykle na wystawy. Nieco inaczej przyjęcie „Formistów” we Lwowie wygląda we wspomnieniach malarza nowoczesnego Ludwika Lillego. „Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie i zyskała na gruncie lwowskim, łatwiejszym od innych miast polskich ze względu na brak tradycji malarskich, duże powodzenie” pisał „Głos Plastyków”. Z malarzy przebywających wówczas w mieście, z „Formistami” związali się młodzi – Leon Dołżycki, Ludwik Lille, Zofia Vorzimmerówna, Stanisław Matusiak i Zygmunt Radnicki. Jak ulotne i nieprecyzyjne są wspomnienia, nawet nieodległe, dowodzą wypowiedzi artystów w cytowanym wyżej „Głosie Plastyków” z marca 1938 r., który w znacznej części poświęcony był „formizmowi”. Otóż w zamieszczonych tam wspomnieniach m.in. Leon

Dołżycki, który w 1917/18 r. uczył rysunku w VIII Gimnazjum Realnym we Lwowie, przypisywał sobie zorganizowanie w 1918 r. ww. wystawy, podczas gdy Ludwik Lille parę stron dalej stwierdzał, że w tym czasie jedynie on i Zofia Vorzimmerówna byli jedynymi „formistami” we Lwowie. Lille też wspominał, że to on przygotował w maju 1922 r. ostatnią wystawę grupy w składzie: Lille, Matusiak i Radnicki, w Lwim Grodzie.

Sądzę, że na to niechętnie ustosunkowanie się lwowiaków do ówczesnej awangardy malarskiej wpływał niewątpliwie fakt, że krytyka dopatrywała się nieodpowiednich wpływów obcych na sztukę polską, która po 150-letniej niewoli miała odrodzić się w nowym kształcie w niepodległej Polsce. Każde obce wpływy miały utrudniać ten proces, więc należało podchodzić do nich z dystansem. Stąd późniejsza oziębłość wobec sztuki „Artesu” (grupy lwowskich plastyków, uczniów Kazimierza Sichulskiego w PSPL) a nawet wobec bardziej ugodowej, tzn. bardziej realistycznej i kolorystycznej sztuki prezentowanej przez efemeryczną wystawę pod nazwą (sztuka) „Nowej Generacji”. Choć z drugiej strony, jak relacjonowała w 2008 r. Krystyna Grzegocka, artysta grafik, członek Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, mieszkająca obecnie w Warszawie, obok zwolenników sztuki dawniejszej lub związanej z secesją byli wśród lwowiaków przed 1939 r. sympatycy umiarkowanej nowoczesności, którzy kupowali sztukę współczesną: „Po wojnie w domach prywatnych Lwowa zostało dużo obrazów malarzy okresu międzywojennego – Jana Cybisa, Emila Krchy, Zofii Albinowskiej. Dużo rodzin zachowało stare rzeźby i obrazy które łączyć możemy z... nazwiskami galicyjskich artystów: Luny Drexler, Brunona Schulza, Kazimierza Sichulskiego”.

Kiedy, z końcem lat 20. związki artystyczne Lwowa z Krakowem stały się luźniejsze, zaznaczyły się w lokalnej sztuce wpływy Berlina i Paryża, zwłaszcza w twórczości młodych artystów, którzy awangardową sztukę łączyli z lewicowymi poglądami. Nie byli oni komunistami, raczej liberałami i demokratami, którzy mocno krytykowali rządy i poglądy mocarstwowe piłsudczyków.

Szczególne kontrowersje na gruncie lokalnym budziła polsko-żydowsko-ukraińska grupa, która pod nazwą „Zrzeszenie Artes”,

jako koleżeński zespół, zawiązała się w roku 1929 i funkcjonowała do 1934 r. W jej skład wchodził m.in. byli uczniowie Sichulskiego, którzy po studiach w Krakowie wyjechali do Paryża, by tam chłonąć nowoczesne tendencje. Pod ich wpływem wprowadzali do swojej sztuki geometryzując form, elementy abstrakcyjne i ducha surrealizmu. Przy okazji kolejnej wystawy grupy w TPSP w październiku 1932 r. miejscowy korespondent „Kuriera Warszawskiego” stwierdzał: *Jeżeli zarząd Towarzystwa urządzi jeszcze podobną wystawę, to odstraszy publiczność od uczęszczania na nie i na pewno nie pozyska większej liczby członków.* Sądzić wypada, że opór wobec tendencji nowoczesnych w plastyce wynikał nie tylko z konserwatywnego gustu publiczności, ale i z narastających, w latach trzydziestych, uprzedzeń części twórców i recenzentów Polaków wobec lwowskich artystów pochodzenia żydowskiego i ukraińskiego. Krytycy ci kierowali pretensje pod adresem Lwowskiego Związku Zawodowego Artystów Plastyków, który przyjmował do swego grona i współpracował ze wspomnianymi mniejszościami. Istniejące już wcześniej w społeczeństwie lwowskim podskórne przejawy nietolerancji wobec Żydów i Ukraińców, a więc i artystów z nich się wywodzących, przyczyniły się również do tego, że na gruncie lwowskim sztuka nowoczesna o tendencjach „lewicowych” napotykała na znaczny odpór, ponieważ do awangardy bardziej niż Polacy garnęli się młodzi artyści z kręgów żydowskich i ukraińskich.

Tak więc mimo chęci dotrzymywania kroku tendencjom współczesnym w sztuce – aż do 1939 r. w środowisku preferowane było w różnych odmianach malarstwo tradycyjne, które uprawiali członkowie lwowskich grup i stowarzyszeń artystycznych. Po latach działalność tych znaczących na lokalnym gruncie ugrupowań spotkała się z surową oceną Piotra Łukaszevicza, historyka sztuki i krytyka działającego po wojnie we Wrocławiu. Według niego powstały w 1917 r. Związek Artystek Polskich był organizacją *mocno anachroniczną, wyrosłą na gruncie XIX-wiecznych organizacji feministycznych*, a funkcjonujący od 1929 r. Związek Dziesięciu Plastyków (ZwX) *propagował tendencje stylizatorskie i klasycyzujące.* Ocena ta potwierdzała wcześniejsze krytyczne stano-



wiska wyżej cytowanych krytyków wobec twórczości lwowiaków.

Powyższe fakty sprawiały, że malarstwo lwowskie odznaczało się przez czas dłuższy pewną hermetycznością wynikającą albo z niechęcią miejscowych twórców do wystawiania się na krytykę ze strony piszących o sztuce z Warszawy lub z innych miast, albo było odrzucane przez jury rozmaitych „Salonów”. Jeśliby za przykład wziąć doroczne „Salony” Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie (IPS), które z upływem lat coraz bardziej awansowały do miana głównych imprez ogólnopolskich, to widać że reprezentantami Lwowa byli przede wszystkim artyści średniego i młodszego pokolenia tacy jak: Maksymilian Feuerring, Stanisław Kramarczyk, Władysław Krzyżanowski, Maria Obrębska, Zygmunt Radnicki, Otto Hahn, Andrzej Pronaszko, Margit Reich-Sielska i Roman Sielski, Ludwik Lille, Tadeusz Wojciechowski, Stanisław Teysseyre czy Maria Wodzicka. Dopiero tuż przed wojną, w lutym 1939 r., lwowiacy szerokim frontem wystąpili w warszawskim IPS-ie.

Nie można jednak nie wspomnieć, że po połowie lat trzydziestych i w gronie artystów-tradycjonalistów nastąpiła ewolucja. Przyczynił się do tego koloryzm importowany

z Paryża przez „kapistów” (grupę młodych malarzy krakowskich, uczniów Pankiewicza, którzy zawiązali w 1923 r. Komitet Paryski – KP – w celu zorganizowanego wyjazdu do Paryża) i bardzo energiczne propagowanie swego stylu poprzez wystawy w ważniejszych ośrodkach Polski oraz za pośrednictwem krakowskiego „Głosu Plastyków”. Moda na koloryzm dotarła wówczas do Lwowa zyskując zwolenników wśród miejscowych twórców – z prawa i z lewa.

Wypada także przypomnieć o przedsięwzięciu, które nie w pełni było imprezą lwowską, ale z tym miastem dosyć mocno związaną. Mowa o Rysunkowym Ognisku Wakacyjnym przy Liceum Krzemienieckim. Celem turnusów wakacyjnych było podniesienie poziomu nauczania rysunku w szkołach ponadpodstawowych. W turnusach, które odbywały się od 1936 r. do wojny, uczestniczyło za każdym razem kilkudziesięciu pedagogów. Choć zjazdy nauczycieli rysunku z całej Polski odbywały się w Krzemieńcu, to dyrekcja Ogniska mieściła się we Lwowie przy ul. Wuleckiej 16 m. 11, w mieszkaniu dyrektora, którym był Władysław Lam. Uczestników turnusów uczyli albo miejscowi artyści, jak np. Eustachy Wasilkowski czy Emil Krcha, albo dojeżdżający – m.in. Jan Cybis, Hanna Rudzka-Cybisowa, Jerzy Wolff, Czesław Rzepiński, Kazimierz Mitera i Władysław Lam. Na zakończenie turnusu odbywały się wystawy prac nauczycieli, które na jesieni prezentowane były w kilku miastach, m.in. w TPSP we Lwowie. Dyrektor Lam starał się w 1938 r., by przed lwowską wystawą mógł odbyć się pokaz prac w stołecznym IPS-ie. Niestety z braku wolnych sal, a być może i z obawy, że prace nauczycieli nie prezentują wysokiego poziomu, Komitet IPS-u dał odpowiedź odmowną.

Za podsumowanie i zamknięcie okresu dwudziestolecia międzywojennego uznać wypada Wystawę Współczesnych Artystów Lwowskich, jaka została otwarta w Warszawie, w salach Instytutu Propagandy Sztuki, 22 lutego 1939 roku. W ocenie Konrada Winklera: *Swojskiego chowu nadrealizm lwowski nie znalazł u nas zbyt wielu adeptów – trudno bowiem upierać się przy nowym kierunku, którego racji istnienia nie da się wydedukować ani z estetycznych przesłanek... ani też z myślowej i uczuciowej postawy polskiego środowiska artystycz-*

nego. Autor podkreślał, iż wielu twórców lwowskich powraca do idei sztuki Cezanne'a, do zagadnień koloru. W rzeźbie za formę chwalił Mariana Wnuka, a w grafice zwracał uwagę, że lwowiacy dzięki swym wysokim aspiracjom ikonograficznym i formalnym zaskoczyli członków stołecznego „Rytu” (którego wystawa była w sali obok). Wg Winklera (w miesięczniku „Pion”) poszukiwania grafików lwowskich miały *znacznie głębszy oddech aniżeli czysto dekoracyjne tendencje grafików warszawskich*.

Inny z liczących się recenzentów, Tytus Czyżewski pisał, iż wielu młodych uległo wpływowi zagranicznym, zwłaszcza francuskim. Szczególnie dzieła postimpresjonisty francuskiego Pierre Bonnard, a nawet pierwszych impresjonistów zrobiły na nich wrażenie, stąd w twórczości lwowiaków widoczne zainteresowanie stroną kolorystyczną, przy jednoczesnym zaniedbaniu formy. Szersze omówienie ekspozycji

lwowiaków ukazało się również w „Kronice wystaw I.P.S.” autorstwa Marii Rogoyskiej, historyka sztuki, po 1945 r. kustosa działu malarstwa współczesnego w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Niejako uzupełnieniem ekspozycji „Współczesnych Artystów Lwowskich” w stolicy była wystawa malarzy żydowskich ze Lwowa w Żydowskim Towarzystwie Krzewienia Sztuk Pięknych w Warszawie, otwarta w kwietniu 1939 roku. Z wystawiających wówczas 7 osób o różnej orientacji stylowej: Henryka Strenga, Antoniny Richter, Mieczysława Stachła, Elżbiety Begleiter, Henryka Langermana i Ignacego Witza, przeżyli wojnę tylko Henryk Streng (używający od czasów okupacji niemieckiej nazwiska Marek Włodarski, po wojnie profesor ASP w Warszawie) i Ignacy Witz, który prócz tego, że był malarzem i rysownikiem, przez wiele lat współpracował z dziennikiem „Życie Warszawy” jako krytyk sztuki.

Marcin Hałaś

Marcin Hałaś – urodził się w 1968 roku w Bytomiu, w którym od 1945 roku mieszkali jego rodzice – urodzeni we Lwowie. Jest poetą, publicystą i dziennikarzem. Autor wielu zbiorów wierszy oraz książek krytycznoliterackich i publicystycznych. Opublikował m.in. tomiki poetyckie *Protokoły* (1989), *Niebo poetów* (1990), *Bursztyn i śnieg* (2002), kilka książek poświęconych Bytomiu oraz wybór publicystyki *Precz z komuną* (2013). Szczególne miejsce w jego twórczości zajmują sprawy Lwowa i Kresów. Jest autorem m.in. tomu wierszy *Lwowskie adresy, lwowskie muzeum* (2011) i książki publicystycznej *Oddajcie nam Lwów* (2012). Po publikacji tej książki, która dotyczyła m.in. roli Lwowa w polskiej tożsamości i kulturze – Służba Bezpieczeństwa Ukrainy wydała mu zakaz wjazdu na Ukrainę. Publikował w wielu pismach. Obecnie jest publicystą tygodników „Warszawska Gazeta” i „Polska Niepodległa”, gdzie przez dwa lata redagował comiesięczny dodatek „Polskie Kresy”.

POEZJA



* * *

Wędruje Lwów po wszystkich drogach,
wieczny tułacz przebity ostrzem zdrady.
Ci wszyscy, którzy zebrali w lniane
płótno okruczeństwa, czym zawinił,
że wypędzeni ze swoich ulic, bruków,
kwiatów na parapetach. Spotygam ich wszędzie,
mijają mnie co dzień, każdy z tym samym
medalikiem ojczystego miasta na
żywej piersi.

Pomnik Bartosza Głowackiego we Lwowie

Bartosz Głowacki
pozostał we Lwowie.

Jak świadek klęski:
Finis Poloniae in Leopoli.

Stukotem kół drewniane wagony
wiozły tłum ludzi w nieznane.

Z dobytkiem spakowanym w wielkie
skrzynie, niezdarne toboły.

A Bartosz Głowacki
pozostał we Lwowie.

Na polu gorącej, wciąż
nieskończonej bitwy.

Pomnik Jana Kilińskiego we Lwowie

Jan Kiliński
wciąż trzyma straż.

Nad Stryjskim Parkiem,
nad brukiem Lwowa.

Jego naga szabla
wzniesiona wysoko.

Niczym kiedyś wrogom
na postrach, ku twodze.

By uciekali od niej
jak od najgorszego nieszczęścia.

Tak teraz gwizdże w powietrzu,
tnąc gęste sieci kłamstwa.

Król Jan Bez Ziemi

Król Jan
bez Ziemi
spina konia
na Targu Drzewnym
w Gdańsku.

Wódz i zwycięzca,
który ocalił
stolicę cesarstwa,
lecz swego miasta
ochronić nie
zdołał.

Wygnaniec
w triumfalnej pozie,
choć dzisiaj już
tylko klęska
została.

Czy doczeka powrotu
chorągwi cieni
do domu?

Na wargach osiada mu
gorzka sól morza
daleko od Lwowa.

Jesień chwyta za gardło

Obce flagi
na murach znajomych,
jesień chwyta za gardło
we Lwowie.

Inna mowa,
inne cerkwie w kościołach,
inne pomniki na miejscach
osieroconych.

Co mamy robić,
jakie wiersze napisać,
Lwowski Panie Jezu Frasobliwy.

Stanisław Grodzki

Zapytajcie kamieni

Do Lwowa, w którym przed drugą wojną światową Ukraińcy stanowili około 10% ludności, napłynęła po wojnie nowa ludność z bliższych i dalszych okolic, a także i z Rosji. Dla tych przybyszów język, tradycja i kultura polska to były czynniki niezbrane, obce, a nawet wrogie. Nastąpił okres starannego zacierania śladów całych stuleci polskiego panowania i dorobku. Podsumowując to, Tadeusz Śliwiak pisał:

*Gdyśmy przez Cmentarz Łyczakowski szli
to wszystkie groby otwierały oczy.
Patrzyli na nas Ojcowie i Bracia,
słuchając polskiej mowy.
Podnosiliśmy nieczytelne krzyże
Pytaliśmy kamieni
O imiona tych, co wierni zostali
tej ziemi...*

Pisząc o Uniwersytecie Jana Kazimierza, czyli o takim, jakim był do drugiej wojny światowej, ograniczamy się do kilku jedyne dziedzin badawczych. Nie tylko dlatego, że ich dorobek, po większej części humanistyczny, zasłużył na szczególną ocenę. Także i dlatego iż – jeśli nie z tymi profesorami, to z ich uczniami i następcami – zdarzyło się nam spotykać. Zmuszeni do opuszczenia Lwowa, osiedlali się w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu, przynosząc z sobą swój styl życia i pracy, a także swój charakterystyczny lwowski akcent; budzi on nasze wzruszenie.

Byli to więc prawnicy: Władysław Abraham, Oswald Balzer (to on, jak wiemy, wygrał Polsce proces o Morskie Oko w Tatrach), Julian Makarewicz (główny twórca kodeksu

karnego z 1932 roku, chyba najlepszego w ówczesnej Europie), Ludwik Ehrlich, Roman Longchamps de Berier. Filologowie, jak Jerzy Kuryłowicz, Tadeusz Sinko, Witold Taszycki. Historycy literatury polskiej, jak Jan Kasprówicz (mówiono o nim: poeta, ale profesor), Juliusz Kleiner, Stanisław Łempicki. Historycy, jak Karol Szajnocha czy Ludwik Kubala (bez ich dzieł jako podstawy nie napisałby Henryk Sienkiewicz ani *Krzyżaków*, ani *Trylogii*). Dalej Ksawery Liske, Jan Bołoz-Antoniewicz, Szymon Askenazy, Fryderyk Papee, Franciszek Bujak. Daleko tu do wyliczenia wszystkich zasługujących na to badaczy, ale już ten poczet nazwisk dowodzi, jakie było znaczenie lwowskiego ośrodka dla nauki polskiej. Nie tylko polskiej. Światowy bowiem poziom zyskał ten Uniwersytet na przełomie XIX i XX wieku w dwóch dziedzinach: utworzył lwowską (potem się mówiło: lwowsko-warszawską) szkołę filozoficzną oraz powołał do życia szkołę matematyczną.

Szkołę filozoficzną zapoczątkował profesor Kazimierz Twardowski (1866–1938), badacz szeroko pojętej teorii nauki. Nosił imponującą brodę, był autorem znakomitego, niesłusznie z czasem zapomnianego dzieła: *O dostojęństwie Uniwersytetu*. Los był dlań łaskaw, iż nie dożył lat po 1939 roku, kiedy szacunek, należny instytucji Uniwersytetu, został brutalnie podeptany. Spod opieki Twardowskiego wyszli tacy uczeni, jak Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Kotarbiński (mówiło się o nim, że pochodzi z rodu Longina Podbiپیęty) czy Leon Chwistek, filozof i malarz. Pośrednio uczniem Twardowskiego był też Alfred Tarski, który dorobek szkoły lwowskiej przeniósł do Berkeley.

Szkołę matematyczną lwowską tworzyli profesorowie Hugo Steinhaus, Stefan Banach, Władysław Sierpiński, Stanisław Ulam, Antoni Łomnicki, Stanisław Mazur i inni. Steinhaus (1887–1902) oprócz swego ogromnego dorobku, zwłaszcza w dziedzinie zastosowań matematyki, słynął też z bezkompromisowości; zapytany raz oficjalnie, dlaczego nie uczestniczy w posiedzeniach



Uniwersytet



Akademii Nauk, odparł, iż najpierw niech inni usprawiedliwią swoje w tych posiedzeniach u c z e s t n i c t w o. O sobie zaś mówił, że głównym jego odkryciem naukowym był... Banach. Był bowiem Stefan Banach (1892–1945) genialnym samoukiem; nie

miał ukończonych studiów, ale na chwałę Uniwersytetu Jana Kazimierza podkreślić należy, iż uczyniono go profesorem.

Banach, jeden z twórców analizy funkcjonalnej, prowadził nader proletariacki tryb życia, był też uwielbiany przez studentów. Opowiadano o nim, że gdy pytali go studenci, które działy matematyki należy rozwijać w Polsce Odrodzonej, odparł: *Nigdy nie dogonimy zachodnioeuropejskich, świetnie wyposażonych i rozbudowanych uczelni. Imajmy się więc tych dziedzin, dla których wystarczy papier, ołówek i umysł. Tak odegrać możemy dużą rolę!* Zapewne miał przed oczyma własną drogę naukową.

Był jednym z niewielu uczonych polskich, których chciano zatrzymać w Uniwersytecie Lwowa Franki. Zmarł przedwcześnie, na krótko przed objęciem katedry w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Do historii i anegdoty przeszły spotkania tych profesorów w Kawiarni Szkockiej przy Placu Akademickim we Lwowie. Toczone tam fachowe dyskusje, ilustrując je wzorami czy równaniami, pisanymi na blacie stolika. Potem ów stolik przejmowali studenci, starannie odpisując zeń profesorskie notatki. Wreszcie pojawił się zeszyt, do którego wpiisywali problemy, pytania czy całe dowody rozważań. Szczęśliwie zeszyt ten ocalał.

Rozproszyła i zniszczyła obie te szkoły druga wojna światowa. Nie dożył tej katastrofy Kazimierz Twardowski, nie musiał uczestniczyć potem w ofensywie filozofii marksistowskiej. Banach, wyczerpany przeżyciami okupacyjnymi, zmarł zaraz po wojnie.

Steinhaus przeniósł się do Wrocławia, Ulam do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Los Alamos stał się jednym z konstruktorów bomby atomowej i wodorowej. Tarski także znalazł się w Stanach Zjednoczonych i przeszedł do historii nauki jako światowej sławy logik amerykański z Berkeley; o swych polskich korzeniach jednak nie zapomniał.

Warto jeszcze wspomnieć, że lwowska szkoła matematyczna cieszyła się już międzynarodowym uznaniem i praktyka dyskusji naukowych nie w auli, ale przy stoliku kawiarnianym zyskała naśladowców, kiedy podobne zjawisko pojawiło się we Francji. W 1935 roku powstała grupa młodych uczonych działających anonimowo pod pseudonimem „Bourbaki” (Bourbaki był to niezbyt zasłużony dowódca wojskowy w 1870 roku). Dawali oni szczerzy wyraz poglądom na współczesną matematykę i podejmowali prace nad nowoczesnym jej wykładem.

Opuszczamy środowisko uniwersyteckie. Wiemy, iż odwiedzenie wszystkiego, co by odwiedzić należało, zajęłoby nam wiele dni. Skoro byliśmy w Uniwersytecie (gmach jego do 1918 roku stanowił siedzibę Sejmu krajowego Galicji), to pójdziemy następnie do Katedry, pod obraz Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej; tu król Jan Kazimierz składał 1 kwietnia 1656 roku swoje śluby. Przejdziemy dalej do kościoła i klasztoru Ojców Bernardynów; mieści się w nim bezcenne Archiwum Aktów Grodzkich i Ziemskich, którym kierował Oswald Balzer. Pójdziemy do Ossolineum (dziś znajduje się w nim Biblioteka imienia Wasyla Stefanyka). Nie możemy pominąć Cmentarza Łyczakowskiego i przy nim – Cmentarza Obrońców Lwowa.

Skoro dotarliśmy na to miejsce, należało też odwiedzić inne, godne pamięci. Miejscowość Zadwórze, dwadzieścia kilka kilometrów na wschód od Lwowa, nazywane było „polskimi Termopilami”. W 1920 roku bronił się tu oddział lwowskich ochotników, hamując marsz Armii Czerwonej komandarma Siemiona Budionnego. Kiedy zabrakło im amunicji, walczyli wręcz i poginęli – było ich około trzystu. Rannych podobiano. Dowódca, kapitan Bolesław Zajączkowski, ostatnim nabojem odebrał sobie życie. Armia Budionnego do Lwowa nie dotarła.

Fragment książki prof. Stanisława Grodzkiego „Wzdłuż Wisły, Dniestru i Zbrucza”, Kraków 2016

Karolina Grodziska

Michaliny Grekowiczówny relacja o Rosjanach we Lwowie

Panna Michalina Grekowicz, urodzona w 1891 r. w Buczaczu, córka jednego z dowódców oddziału w powstaniu styczniowym, Józefa Grekowicza, to jedna z zapomnianych postaci lwowskiego środowiska literacko-dziennikarskiego. Absolwentka Seminarium Nauczycielskiego Zofii Strzałkowskiej we Lwowie (1910), nie podjęła studiów wobec braku możliwości: ojciec zmarł w 1912 r., rodzina złożona z wdo-

wy i trzech córek utrzymywała się z renty. W 1917 r. śladem starszej siostry Marii trafiła do dziennikarstwa, gdzie pracowała m.in. w „Gazecie Porannej” i „Wieczornej”, „Kurierze Lwowskim” oraz „Dzienniku Lwowskim”. Udzielała się w Syndykacie Dziennikarzy Polskich, Towarzystwie Dziennikarzy Polskich i Związku Literatów Polskich. W 1921 r. poślubiła inż. Franciszka Hausnera. W czasie wojny uniknęły deportacji; Michalina pracowała wówczas w wytwórni zabawek drewnianych jako maszynistka. W 1946 r. Hausnerowie podjęli trudną decyzję o expatriacji ze Lwowa do Szczecina, gdzie Michalina wróciła do pracy dziennikarskiej w „Kurierze Szczecińskim”, „Szczecinie”, „Ilustrowanym Kurierze Polskim”. Po śmierci męża w 1954 r. przenieśli się do Krakowa, gdzie pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej, pisząc też liczne biografie do *Polskiego Słownika Biograficznego* i *Słownika publicystów i dziennikarzy polskich*. Wiosną 1967 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zorganizowało jej jubileusz 50-lecia pracy twórczej.

Ostatnie lata życia poświęciła na prace dotyczące historii jej rodziny – i własnej. Ich owocem są dwa duże wspomnieniowe teksty, zakupione już po śmierci Michaliny do zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki PAN w Krakowie. Planowana jest edycja jednego



Pomnik Jana Sobieskiego
(z serii 14. rosyjskich pocztówek ze Lwowa,
wydanych w Moskwie w r. 1914 lub 1915)

z nich, mianowicie *Wspomnień* Michaliny Grekowicz-Hausnerowej (rkps sygn. 7918).

Obecnie przedstawiam fragment tegoż rękopisu, dotyczący okupacji rosyjskiej Lwowa (wrzesień 1914 – czerwiec 1915). Tekst napisany został prawie 50 lat po opisywanych wydarzeniach, być może – z elementem autocenzury. W chwili gdy rozgrywają się opisywane wydarzenia, autorka ma 23 lata, mieszka z matką i siostrami, nie pracuje. Jej myśli i marzenia krążą wokół niewymienionego z nazwiska ukochanego – Zygmunta. Za niego się modli, czeka, w jego intencji pije gorzką herbatę. Po czasie okaże się, że nie był na froncie, nawet nie służył w pułku, którego adres Michalinie podał, ba – był też żonaty...

Niezależnie jednak od rozczarowania, jakie młodej panie przyniósł ów czas, jej relacja o życiu Lwowa pod carską okupacją godna jest lektury.

* * *

Dnia 3 września 1914 r. zawisła na wieży ratuszowej biała flaga, a na murach ukazały się wielkie afisze z odezwą do ludności miasta:

Obywatele! Wojska monarchii odniosły ciężkie porażki i cofnęły się na zachód. Wkrótce wkroczą zwycięskie wojska rosyjskie do Lwowa. W tej ciężkiej chwili wzywam was – na Boga! – abyście zachowali spokój i równowagę... itd.

Podpisany był wiceprezydent miasta dr Tadeusz Rutowski, który pozostał w opuszczonym grodzie wraz z wiceprezydentem dr. Leonardem Stahlem i Filipem Schleicherem. Wraz z nimi należał też do prezydium miasta prof. dr Marceł Chlamtacz.

Najważniejszym celem odezwy było ostrzeżenie, aby nikt z ludności nie okazał okupantom wrogiego usposobienia, aby jakiś szaleniec nie strzelił z okna do wkraczających chwilowych zwycięzców. Wtedy miasto mogło się stać kupą gruzów. W grobowej ciszy i przygnębieniu oczekiwał Lwów nieproszonych gości. Ulice były puste, wielu mieszkańców ukryło się ze strachu w piwnicach, w oknach i nad bramami domów wystawiono obrazy Chrystusa, Matki Boskiej, św. Antoniego.

Wojska rosyjskie objęły w posiadanie milczące głucho miasto. Rutowski, który stał się teraz istotnym gospodarzem Lwowa, zgodnie z przyjętym zwyczajem w takich wypadkach, pojechał na rogatki i wręczył uroczysto dowódcy wojsk rosyjskich symboliczne klucze miasta. Zrobić to musiał, ale w każdym czynnie i geście zachowywał przez cały czas inwazji godność Polaka i okazał zarówno zrozumienie sytuacji, jak takt dyplomatyczny i serdeczną troskę o dobro ludności.

Dnia 3 września ukazały się pierwsze kozackie patrole, a za nimi cała olbrzymia armia rosyjska przewaliła się przez Lwów, płynąc całą szerokością ulicy. Grzmiały zwycięsko marsze pułkowe, a w ich rytm tupotały tysiące butów żołnierskich.

Zalało Lwów morze szarych jak proch mundurów, okrągłych czapek, nastawionych bagnatów, roślących, barczystych postaci. Przeciągnęły przez Lwów w ciągu paru tygodni wszystkie formacje wojskowe, wszystkie plemiona wschodnie, jakie podlegały carskiej Rosji. Kozacy w wysokich czapach baranich i wciętych bekieszach, naszytych na piersiach nabojami, piękni, zgrabni Czerkiesi o czarnych oczach i orlich nosach, skośnoocy Mongołowie, Kirgizi w czarnych, włochatych pelerynach z czerwonymi ba-

szłykami rzuconymi na plecy, jakieś dzikie ludy z dalekiego Wschodu na małych, górskich konikach z „janczarską” kapelą, której dźwięki przerywały krzyki i gwizdy. Miało się wrażenie, że tak musiał wyglądać przed wiekami napad Tatarów.

Zaraz w pierwszych dniach komendant rosyjski wezwał ludność do zamurowania okien piwnic i strychów oraz do składania broni, będącej w posiadaniu prywatnym. Przynoszono nie tylko karabiny, pozostawione przez żołnierzy, ale i pamiątki rodzinne: wspaniałe staropolskie karabele od kontuszów mieszczańskich, stare rusznice i sztylety... Za staraniem prezydenta Rutowskiego powędrowały one do Muzeum Króla Jana III.

Rutowski był z zawodu historykiem sztuki, znawcą tej dziedziny, organizatorem i opiekunem muzeów i archiwów. Stary, spokojny, wytworny człowiek, który żył dotąd wyłącznie w świecie nauki i sztuki, nigdy nie zajmował się specjalnie ani sprawami gospodarki miejskiej, ani polityką – musiał teraz dźwigać ciężar władzy nad zdeorganizowanym miastem pod rozkazami obcego generała.

Zaczęła się rosyjska inwazja. Pierwsza wojna i pierwsza zmiana rządów, jaką przeżyaliśmy, wydała się nam bardziej tragiczną, niż nam się dziś przedstawia. Front przesuwał się coraz dalej na zachód, nie dochodziły już do nas żadne odgłosy walki. Lwów opustoszał po odplywie ewakuacyjnym. Nie interesowaliśmy się już wojennymi komunikatami rosyjskiego sztabu generalnego; jeżeli kłamały, nie były godne uwagi, jeżeli mówiły prawdę, bolały. Krążyły za to plotki, czasem wręcz nieprawdopodobne, które podawali sobie sąsiedzi, znajomi, a czasem nawet obcy przechodnie na ulicy. Kościoły bywały pełne, stały się jedynym miejscem skupienia Polaków. Kazania były okazją nie tylko do podnoszenia ducha, ale i do podkreślenia solidarności narodowej, do podtrzymywania nadziei lepszej przyszłości Polski. Procesja Bożego Ciała, która już pod koniec inwazji przeciągnęła przez główne ulice śródmieścia, wykazała liczebność i zwartość duchową polskiego Lwowa.

Wyczekiwanie jakiejś zmiany, jakiejś decydującej wieści, odbierało spokój. Zamarło życie społeczne, kulturalne, towarzyskie, zawodowe. Każdy żył w ciasnym kręgu swej rodziny, sąsiadów, najbliższych znajomych, o ile nie znajdowali się po drugiej stronie frontu.

Wtedy listy od nich wędrowały drogą okrężną, przez Szwecję, przez Rumunię, dopóki nie dała się wciągnąć w wojnę, albo przez inne kraje neutralne. Zbliżyliśmy się z sąsiadami, których się przed wojną nie znało.

Wiele rodzin cierpiało niedostatek. Prezydent miasta Rutowski garściami rozdawał pieniądze z miejskiej kasy. Ja z matką i siostrami nie zaznałyśmy głodu. Urwały się wprawdzie zarobki poza nielicznymi lekcjami prywatnymi, ale żyłyśmy z małego kapitaliku, złożonego w Banku Hipotecznym. Zmarły przed wojną stryj, ksiądz Antoni Grekowicz, zapisał nam uciulane z probostwa na dalekiej Litwie 7 tysięcy rubli. Bank Hipoteczny wprawdzie zabrał swe zasoby i wyjechał, ale przybyła do Lwowa jego filia z Tarnopola i można było czerpać z jej kasy.

Dni upływały cicho, spokojnie, głucho. Wypełniały mi je zajęcia domowe, czytanie, gra na fortepianie, malarstwo, nauka języka francuskiego, pisanie naiwnego pamiętnika, a przede wszystkim marzenia dziewczęce. Główną treścią mojego życia było – czekanie na Zygmunta, tęsknota za Zygmuntem, modlitwa za Zygmunta. Ileż gorzkich herbat wypita na ofiarę, udając, że biorę cukier, ile odmówiłam różańców, czasem nawet zasypiając w nocy przy zdrowaśkach. Byle wrócił, byle tylko wrócił cały, a będę na pewno szczęśliwa...

W mieście panował wprawdzie spokój, ale musiały zdarzyć się jakieś niepożądane zajścia, pilnie przed wiadomością ogółu ukrywane, skoro „gradonaczalnik” (dowódca miasta) kazał zamurować okienka strychowe, zaprowadził godzinę policyjną o 9⁰⁰ wieczorem i zakazał urządzania zebrania; mogły one odbywać się tylko za specjalnym pozwoleniem. W dniu 27 listopada po raz pierwszy udekorowano miasto na rozkaz władz flagami rosyjskimi: biało-czerwonobłękitnymi (porządku kolorów nie pamiętam). Były to urodziny cesarzowej-matki, Marii Teodorówny. Nikt nie odważył się nakazowi sprzeciwić.

Ponieważ znaczna część ludności cierpiała głód wskutek braku dochodów, społeczeństwo polskie zorganizowało kilkanaście kuchni, wydających tanie lub bezpłatne obiady. Otwarto nawet osobne stołówki dla inteligencji. W Kole Artystyczno-Literackim, które mieściło się wtedy w pasażu Mikolascha w tzw. Pałacu Kryształowym,

gotowano obiady dla literatów i artystów. Prowadziła tę kuchnię znakomita artystka sceniczna Wanda Siemaszkowa, pracowali w niej p. Wolfstalowa, żona dyrygenta, i archiwariusz miejski dr Aleksander Czołowski. Ceny były niesłychanie niskie: obiad z dwóch dań kosztował 40 halerzy. Przy ul. Ossolińskich, gdzie czynna była znana działaczka społeczna Wiktoria Hozerowa, płacono za talerz zupy 6 halerzy albo 2 kopiejki.

Obowiązywały bowiem dwie waluty, austriacka i rosyjska. Przekupki lwowskie, nastrojone na orientację austriacką, były wrogo usposobione do okupantów i często nie chciały przyjmować rubli od żołnierzy rosyjskich, mimo że było to surowo karane. Pojawiła się i trzecia „waluta”: zarząd miasta z powodu braku drobnej monety wydrukował własne bony jednokoronowe.

Wybuchła w mieście cholera, zawleczone przez wojska rosyjskie. Zanotowano jej sto kilkadziesiąt wypadków, szerzyła się też wściekliżna psów. Statystykę chorób zakaźnych ogłaszano dokładnie w dziennikach.

„Gazeta Wieczorna”, której redakcja wyjechała, wychodziła pod kierunkiem anonimowego komitetu. Drukowano w niej komunikaty generalnego sztabu rosyjskiego, donoszące o zwycięstwach wojsk carskich, artykuły o Rosji, tłumaczenia z literatury rosyjskiej oraz wiadomości z miasta. Pomimo cenzury ukazywały się na łamach prasy nowiny mogące budzić podziw swą otwartością. Na przykład, że metropolita greckokatolicki Szeptycki został zesłany za austrofilstwo do Niżnego Nowogrodu. W czasie drugiej wojny światowej takich wiadomości nie ogłaszano.

Ukazało się w prasie wezwanie, by ludność składała w szpitalach wojskowych bandaże dla rannych z powodu braku opatrunków. Miałam w domu dość duży zapas naskubanych ze starych szmatek staroświeckich szarpi, których nie zdążyłam doręczyć Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na użytek Legionów. Bez wahania jednak zaniósłam je do szpitala wojsk rosyjskich.

Wydano drukiem po rosyjsku przewodnik po Lwowie. Przybywało do miasta wielu Rosjan, wojskowych i cywilnych. Zajmowali oni mieszkania pozostałe po uchodźcach. Przybysze zachowywali się różnie. Niektórzy wyjeżdżając zabierali całe urządzenia. Natomiast słyszałam o oficerze, który nie tylko pozostawił wszystko w porządku, ale



Pomnik Adama Mickiewicza
(z serii 14. rosyjskich pocztówek ze Lwowa,
wydanych w Moskwie w r. 1914 lub 1915)

nawet odkupił szklankę, rozbity przypadkowo w polskim domu.

Prowadzono często ulicami Lwowa grupy jeńców austriackich. Obdarci, wynędzniali, szli piechotą w nieładzie, nie przypominając już szeregów wojskowych. Mieszkańcy miasta, mający bliskich krewnych w armii austriackiej, czekali często na spotkanie z nimi. Znałam młodą dziewczynę, która życiem przypłaciła to beznadziejne czekanie. Panna Janina Weiglówna, córka znanej na Łyczakowie mieszczanek, właścicielki domku obok boiska Sokoła, wybiegała co dzień lekko ubrana przez całą zimę na główny szlak prowadzący na wschód, wypatrując wśród jeńców swego narzeczonego. Przeziębła się, wpadła w gruźlicę i zmarła właśnie wtedy, gdy oczekiwany zjawiał się – nie jako jeńiec, ale jako żołnierz armii zwycięskiej. Włożył jej na martwy palec obrączkę, ślubując, że nigdy się nie ożeni...

Kłęska Rosjan pod Gorlicami zadecydowała o ich odwrocie. Znowu przewaliła się przez Lwów armia rosyjska, w przeciwnym niż poprzednio kierunku, znów słyszeliśmy coraz bliższy pomruk armat. Znowu pojawiły się masy rannych wiezionych z frontu.

Cofający się okupanci zabrali z sobą wielu zakładników spośród najwybitniejszych obywateli Lwowa. Wywieziono w głąb Rosji całe prezydium miasta. Z głębokim żalem przyjęła Lwów wiadomość, że prezydent Rutowski podzielił oczywiście los wywiezionych.

Armia austriacka wkroczyła do miasta dnia 22 czerwca 1915 roku. Witano ją manife-

stacyjnie, tłumy wyległy na ulice. Domy ustrojono we flagi częściowo polskie, częściowo austriackie, czarno-żółte. Oczekiwaliśmy legionistów, ale ci nie zjawili się w pierwszych tygodniach po odbiciu Lwowa.

Wróciły banki, instytucje, zaczęły wychodzić zawieszane dzienniki, chociaż często z białymi plamami po skreśleniach cenzury. Przyjeżdżali partiami uchodźcy, teatr miej-

ski wznowił przedstawienia, życie biegło bardziej normalnym torem.

Trudno jednak powiedzieć, że powrót Austrii przyniósł nam to, czegośmy oczekiwali. Prawie nic nie wiedziało się o Legionach albo krążyły pocztą pantoflową złe wieści o wystaniu ich na front włoski jako „mięso armatnie”. Nic nie zapowiadało upragnionego wyzwolenia Polski, nie było żadnej łączności między jej dzielnicami. Przybyła wprawdzie delegacja NKN (Naczelnego Komitetu Narodowego), utworzono koło Ligi Kobiet, ale nie płynął stamtąd powiew otuchy, bo całe społeczeństwo odczuwało rozczarowanie.

Życie codzienne utrudniał coraz większy niedostatek żywności, zwłaszcza brak mąki, cukru, tłuszczu, mięsa. Skąpo wydzielane na kartki racje były niewystarczające. Brak herbaty zmusił nas do picia wywaru rozmaitych ziół i liści poziomek, wiśni itp. Cukier zastępowano często sacharyną, o ile ją kto dostał. Palacze skarżyli się na brak tytoniu.

Mimo tego wszystkiego nie wdychaliśmy za powrotem Rosji, która miała dość chleba i wszelakiego jada, a nawet pewne specjalne przysmaki. Przeżywanie po raz drugi czasu zastoju i wyczekiwania, strachu przed rosyjskimi „stupajkami”, odcięcie od świata – zdawało się przejściem ponad siły. Tęskniliśmy za spokojem, za stabilizacją życia, za chwilą, kiedy wreszcie sprawa polska stanie się tematem narad międzynarodowych. Każdy dzień budził nowe niepokoje. Front przybliżał się i oddalał, dawał się słyszeć huk armat, groził ponowną inwazją.

Robert Nowakowski

CZŁOWIEK Z SOWĄ

(fragment)

Czas przyspieszył i wszystko potoczyło się z taką szybkością... Jeżeli kiedyś rok mijał w rok, to teraz jeden rok był jednym całym życiem, wiekiem całym, a w jeden dzień świat potrafił wywrócić się do góry nogami i z powrotem.

Wojna wisała w powietrzu, kraj mobilizował się. Petra, Piotr, Jan, Urszula – wszyscy pojechali jeszcze na ostatnie w życiu wakacje i widzieli miejsca, których za chwilę miało już nie być. Do końca życia pamiętali wiele, bardzo wiele ulotnych odcieni tych szczególnych wakacji – ich nastrój, barwy, zapachy, wszystko to było ostatnim w życiu oddechem wolności. Jeszcze był sierpień, jeszcze istniał świat. Potem, po latach, w innym miejscu i czasie, kiedy przychodziły te wspomnienia, serce kurczyło się, serce przestawało bić, łyzy zbierały się na dnice oka. To nie była zwykła tęsknota za innym listowiem, innymi obłokami, za innymi ptakami, za innymi świerszczami, za zapachem zbóż ani żadnym innym widzialnym i odczuwalnym zmysłami elementem świata, bo to wszystko było i tutaj, gdzie te wspomnienia przychodziły. Nie, to było inne uczucie, to było coś niewyobrażalnego, niewypowiedzianego, wstydliwego jak własne życie, co uzasadniało tę śmierć serca i te łyzy, i te głupie dziecinne uczucia.

Wszyscy wtedy mówili: „Damy radę”. Wystarczy przekazać państwu trochę pieniędzy, zebrać to i owo, i damy radę. Jesteśmy zdeterminowani, jeszcze kilka groszy i zmieścimy Hitlera z powierzchni ziemi. Wystarczy poczekać na atak, aby wojna była sprawiedliwa. W pamięci została z tego okresu nie nadzieja, ale kłamstwo i obłuda. Słynne obłudne, nieuzasadnione i śmieszne: „Nie odamy ani guzika”. Młodzi nie byli tacy durni, jak myśleli dorośli. Może nawet byli mądrzejsi od tych wszystkich dorosłych, którzy dali się omamić idiotycznej propagandzie. I tak będzie już do końca ich życia – nieprawda z każdego ust, ordynarne kłamstwo w prasie, wszyscy udają, że wierzą; przy każdej okazji zaprzeczają, że może być inaczej,

ale kiedy staje się inaczej – z obojętnością przyznają rację nowemu.

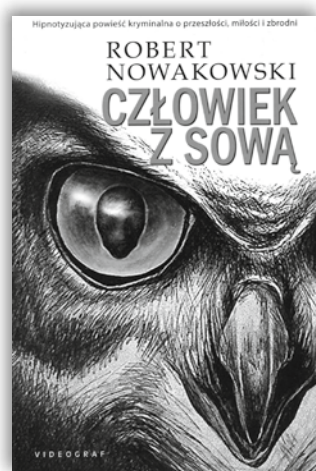
Nie mogło być wątpliwości – wygramy. Tak, wygramy. Nikt nie miał chęci przyznać, że to niemożliwe, jakby przyznanie się do słabości było wyzute z godności. Jakby to powiedzieć...? Wulgarnie. Czy to była strategia jaszczurów – wywyższać się arogancko, zawadiacko, a nuż przeciwnik zrezygnuje? Ale to puszenie się było tak nieudolne w tej poprawności politycznej, tak odbiegało od rzeczywistości, w którą ruszył świat, zostawiając Polskę daleko w tyle, że nie mogło być dla nich nadziei. Nie chroniło, ale prowokowało, i można sobie wyobrazić, jak dalece takie nadymanie się kurczaka mogło działać motywująco na każdego tygrysa, każdą młodą potęgę, aby najechać na to głupie państwo, zniszczyć raz na zawsze, unicestwić i pozbawić przyszłości. Ach, jak zaślepia nienawiść do słabszego, który w dodatku prowokuje swoją głupotą i napuszeniem. Jakby kłamstwo w prasie wewnętrznej, ordynarne zaprzeczanie rzeczywistości przez elity rządowe miało zostać w ten sposób ukarane przez czas i historię.

Jacy głupi byli Lwowianie, kiedy sypali kwiaty na głowy ułanów jazłowieckich, odjeżdżających dwudziestego dziewiątego sierpnia na linię przyszłego frontu. Powodzenia, ułani. Do zobaczenia w obozie!

* * *

Nie było jeszcze we Lwowie tak smutnej jesieni.

Chciałoby się wyjść na defiladę trzeciego i jedenastego listopada, popatrzeć na dorożki z weteranami powstań wyzwolenczych dziewiętnastego wieku, którzy Lwów upodobał sobie szczególnie, na ułanów... Tego już nie było. Chciałoby się iść do skle-



pu, aby kupić cukierki. Tego już nie było. Chciałoby się iść do księgarni, usiąść przy stoliku, otworzyć książkę, czytać, patrzeć na zamglone jesienne ulice Lwowa. Nawet tego... nawet tego już nie było.

Dużo zostało. Stały jeszcze domy, ludzie jeszcze chodzili, ale pojawiły się rzeczy, które były nie do pomyślenia. Tłok na dworcu kolejowym. Chamstwo, które wypełzło nie wiadomo skąd i po co. Brud, który nagle napłynął, jakby falą, już dwudziestego drugiego września i został na zawsze. Szare ubrania, stare buty, kobiety w chustkach, najgorsze możliwe łachy narzucone na ramiona, łatane worki zamiast przedwojennych teczek, zabrudzone turystyczne plecaki. Smród, jakiś dziwny smród potu i moczu, smaru, zbutwiałych ubrań, zaniedbanego bydła, skisłego masła – może po prostu taki był zaduch radzieckiego *czefowieka*. Pewnie ich czerwona krew też śmierdziała, nawet zanim zmieszała się z błotem gułagu i gnojem kołchozu. I jeszcze do tego wszystkiego należy dodać ten metaliczny odór nienawiści, jaki tęczał w powietrzu i otaczał ich niewidzialnymi więzami, z których nie mogli się wyzwolić.

SZCZO SIĘ TU POROBIŁO?

Nieufność. Strach. Niesnaski między ludźmi, którzy dotychczas żyli zgodnie. Tyle nowych rzeczy, które siedziały ukryte albo nie było ich wcale, nawet na przedmieściach, nawet w dzielnicach biedoty, która kiedyś, przed nową apokalipsą, też miała swój honor, swoje zasady, odrobinę sumienia w duszach i higieny na dłoniach – miała to wszystko, czego teraz nie miał nikt.

Ci, których podziwiano za hart ducha, byli po prostu oślepiali; pod rządami Sowietów nie można było mówić o odwadze w przypadku nikogo. Jeżeli ktoś był odważny, ukrywał to tak dalece, że nie różnił się niczym od innych. Uczucia ludzkie jakoś bezwładnie opadały na dno duszy i rządziła twarda konieczność ukrywania prawdy. Gdyby ktoś tego jeszcze nie zauważył, należałoby to obwieścić w „Prawdzie”: nowi kolonizatorzy nie byli już tymi dawnymi najeźdźcami lwowskiej ziemi z Austrii i Czech, którzy sami się spolszczyli, zamiast zgermanizować ludność.

* * *

Luty czterdziestego, cecha charakterystyczna: mróz – znikli leśnicy i osadnicy

wojskowi, urzędnicy państwowi i kolejarze. Potem ich rodziny, bogaci gospodarze, kupcy i przemysłowcy, nauczyciele i kolejni urzędnicy. Potem, w czerwcu – uciekinierzy z zachodniej Polski. Potem, rok później – przepadli inteligenci, rzemieślnicy, rodziny oficerów polskich i policjantów, i dzieci z sierocińców, i dzieci z kolonii letnich.

Jan już dawno zdążył wyleczyć swoje draśnięcie, już dawno zdążył znaleźć dla siebie bezpieczne lokum (jakkolwiek żadne nie było pod Sowietami bezpieczne). Petra została na miejscu, z matką, a czasami z Oskarem, który przeczuwał najgorsze i starał się jak najczęściej nocować u Emilii. Petra patrzyła na to krzywo, ale nic nie mogła powiedzieć – czasy się zmieniły, a ona z matką ratowały Semczukowi życie.

Piotr zaginał we wrześniu. Petra nie miała o jego losach żadnych informacji. Od Urszuli Petra dowiedziała się, jaki jest jego adres. Jego rodzice nic nie wiedzieli. Po pierwszej wizycie na Łyczakowie, jeszcze we wrześniu, rodzice już nie chcieli jej wpuścić do domu. Bali się, jak zwierzęta.

I Petrze, i Emilii wydawało się, że potrafią odgonić od siebie groźbę aresztowania poprzez okłamywanie losu, oszukiwanie przeznaczenia. Wydało im się naturalne, że jeżeli będą udawały, iż Sowietów zwyczajnie nie ma, że nie istnieje zagrożenie, wówczas ono nie przyjdzie. Ich nieszcześciem stała się choroba Oskara. Nie mógł siedzieć gdzieś w ukryciu poza domem, jak robili to inni wrogowie ludu pracującego. Nie mógłby spać pod przymą liści w podmiejskim lasku czy choćby zamykać się w piwnicy. Semczuk musiał leżeć w ciepłej, domownicy musieli czekać.

Codziennie bawili się w inną grę. Dzielili się rolami i stawali się w ciągu dnia innymi osobami. Co innego mieli robić, kiedy już wykonali wszystkie prace, które dawniej, przed wojną, były obowiązkiem pokojówki – zdobyli danego dnia jedzenie, posprząkali, pozmywali? Oskar na swoim łóżku z wisielczym humorem odgrywał sceny przeznaczone dla chorych i umierających, role rzymskich imperatorów rozłożonych na swoich orgastycznych leżankach, przy czym musiały być to role niewymagające biegania z mieczem ani nawet machania rękami.

Kiedy przyszli po nich, też bawili się w teatr. Odgrywali bohaterstwo i wiarę w sens

tego, co robią. „Za Ojczyznę” – kontynuowali grę w głębi duszy, bo za mówienie głośno dostaliby kolbą karabinu w głowę. Wydawało im się, że będąc potulnymi, nikt ich nie rozdzieli, nikt nie pobije, nie zapomni dać racji żywnościowych na drogę, i że w ogóle jakoś to będzie.

Do ciężarówki wsiadali ze ściśniętymi gardłami, w których uwięzły słowa: „Horror, horror, horror!”

* * *

Musiałem znaleźć sobie jakieś zajęcie. Nie było już potrzeby spędzania całego wolnego czasu na włóczeniu się po mieście w celu poszukiwania mojej miłości i marzenia o niej. Jednak znowu nie wybrałem najlepiej. I znowu było to związane z włóczęgostwem, z szukaniem czegoś poza domem. Wyglądało to tak, jakbym ćwiczył pamięć, fotografując w duszy miasto, aby myśleć o nim w przyszłości, aby pamiętać i czasem może powtarzać w rozmowach z lwowiakami, jak to wszystko dawniej wyglądało.

Stojąc przed kaplicą Boimów, wydawało mi się, że jestem we Florencji; mając u stóp miasto, patrząc z Wysokiego Zamku, wyobrażałem sobie, że to widok z kościoła, który fortyfikował Michał Anioł. Było dla mnie oczywiste, że Lwów, Lwiw, Lwow, Lemberg, Leopoliś – to wszystko jest Florencja i tylko rzeka Arno jakoś schowała się pod ziemię, i tylko z tego powodu jest nazywana błędnie Pełtwią, a reszta jest przecież ta sama – i wzgórze, i niektóre zabytki, i ludzie może. Ta kopuła – u Dominikanów, a choćby i któraś kopuła cerkiewna – to przecież pomniejszona kopuła florenckiej katedry. A tam niedaleko ta wieża Korniaкта cerkwi uspieńskiej – to tak naprawdę kampanila Giotta, troszkę brzydsza od oryginału. Ratusz to przecież Palazzo Vecchio. Gdzieś zaginęły niektóre posągi, przeniesiono je na pewno do Uffizi. Nawet lew, co zawsze czuwa, przeniósł się do Wysokiego Zamku, zostały tylko lwy Barącza z osiemdziesiątego roku. I antyczne włoskie rzeźby Amfitryty, Diany, Neptuna i Adonisa przy czterech fontannach.

Czarna kamienica straszyla jak zawsze, z rustyką przeniesioną z kawałka Palazzo Strozzi – nie, nawet mając kilka lat nie miałem złudzeń, że te okna w rozkładzie i wyglądzie są żenujące, że tylko jakiś metr

kwadratowy faktury można porównywać do florenckiego pałacu... ale to wciąż dużo. I jeszcze dziedziniec w szesnastowiecznym Pałacu Korniaкта, i schody spływające miękko w jego rogu, i znowu fasada...

I jest nawet na rynku jeszcze jeden kamienny lew, jak na to miasto przystało, Złoty Lew Świętego Marka, i wystarczyło trochę wyteńczyć słuch, by usłyszeć w sercu szum kanałów, chlupotanie wody i stukot drewnianych wioseł o mury. I jeszcze inne zabytki, mniej florenckie i mniej włoskie. Choćby Uniwersytet Jana Kazimierza, podobny do gmachów klasycystycznych w Warszawie (tak mi się wydawało z obrazków), czerpiących z renesansu. Zakładałem przy tym, że nie uda mi się zobaczyć żadnego warszawskiego zabytku (nie wyobrażałem sobie nawet, że mógłbym marzyć o takiej podróży, a brak wyobraźni w zakresie rzeczy, które można było zrobić, stał się przepowiednią, która się sprawdziła).

Albo katedra. Oburzająca swoją manierą, ale z pięknymi witrażami Mehoffera, Popiela, Kaczora-Batowskiego. I fascynujący innością ikonostas w cerkwi świętej Paraskewii, odmienny od wszystkiego, co było w książkach, które znałem. Gdyby nie naturalne ciążenie ku Zachodowi, nie byłoby trudno zafascynować się Wschodem, spędzając dzieciństwo we Lwowie.

Czy trzeba mówić więcej, podawać więcej nazw, wskazywać więcej pustych skorup budynków, którymi żyłem? Można wymieniać te florenckie-lwowskie zabytki i wymieniać, i zapomnieć, że jesteśmy we Lwowie, ciemnym i deszczowym mieście, które w mojej pamięci zawsze będzie słoneczne, piękne, radosne, dumne, nieugięte, jak my wszyscy, zanim rzucą nas w proch, podepczą, upodlą, wygnają.

Czy przeczuwałem, że wszystko się zmieni? Czy spodziewałem się, że tak to się wszystko przewróci, że dobra aura tego miasta odejdzie na zawsze? Nie wierzyłem w zabobony, nawet mając skrzydła na plecach, ale skąd mogłem wtedy wiedzieć, że to wszystko się zdarzy tak prosto, łatwo i szybko, że tak nagle i bez wysiłku zginie miasto i znikną ludzie? I nie wiedziałem, jeszcze tego jednego nie wiedziałem, będąc dzieckiem, że kiedyś uwierzę, iż widok piękna lub choćby jego wspomnienie może człowieka wzmocnić, że dzięki temu może

trochę bardziej, przez dłuższą chwilę oprzeć się znu, przez moment, krótki moment, kilka minut, kilka miesięcy, być odrobinę lepszym, zanim ulegnie się atmosferze miejsca i ludzi, zanim stanie się wcieleniem chamstwa, które trzeba wchłonąć i przyswoić sobie, by przeżyć wśród tych ludzi, którzy nadejdą.

* * *

We wrześniu i październiku trzydziestego dziewiątego roku do Lwowa z centralnej Polski przybyło kilkadziesiąt tysięcy uchodźców. Niektórzy zostali zakwaterowani w klasztorach lub szkołach, inni u polskich rodzin. Wśród nich znalazł się Józef Dzięgiel. Wiosną czterdziestego stało się oczywiste, że cała ludność napływowa zniknie z miasta – w taki czy inny sposób. Alternatywą dla Sybiru był wyjazd do Generalnej Guberni, pod okupację niemiecką, albo uzyskanie dobrych papierów. Niemal wszyscy uchodźcy otrzymywali paszport z paragrafem jedenastym, co oznaczało brak prawa pobytu we Lwowie. Równocześnie jednak w gminach wiejskich nie przyjmowano „bieżeńców”, a więc z takim paszportem nie było ucieczki. Pozostanie w mieście oznaczało prawie pewną wywózkę – w nieokreślonym czasie. A wyjechać z miasta nie można było, bo nie było dokąd.

Może sam Józef Dzięgiel nie przejmowałby się tak bardzo dokumentami, gdyby nie przyjechał do Lwowa z żoną i dzieckiem. A to boleśnie ograniczało jakiegokolwiek ruchy. Nie można było zaprzeczać, że paszport stał się ważniejszy od towaru, waluty, od pozycji i poglądów. Po kwietniowych wywózkach dokumenty osobiste stały się najważniejszą sprawą na świecie. Powszechne stało się przekonanie, że nie będą deportować tych z paszportem. Nie na darmo gadali na ulicy, że człowiek w tych czasach składa się z duszy, ciała i paszportu. I ciało, i duszę, i sprawę dokumentów można było „wyleczyć”, ale należało się do tego zabrać w odpowiedni sposób. I mieć dużo pieniędzy.

Dzięgiel pośrednika znalazł w knajpie, w sposób banalny. Narzekał głośno w rozmowie z przypadkowym mężczyzną na to, że dokumenty stały się nagle tak ważne, że chciałby za wszelką cenę dostać paszport bez paragrafu jedenastego, kiedy ktoś szepnął mu na ucho: „Chodź pan za mną”. Pośrednik poznał od razu „bieżeńca”. Wy-

starczyło posłuchać, jak Dzięgiel na cały głos, bez lwowskiego zaciągania, rozpowiada o swoim paszportowym nieszczęściu.

– Skąd pan wie, że chcę paszport?

– Hulajo taki po miastu, gada... Dokumenty można załatwić, panie. Ale to drogo wyjdzie. No, niech pan nie liczy, że dają każdemu. Teraz każdy chce paszport. Można przebierać, wybierać. Pieniądże pan masz?

– Zależy ile...

– Półtora tysiąca rubli na wziętka dla urzędnika i tysiąc dla nas.

– Jezu... – jęknął Dzięgiel. – Toż to kupa fors.

– Ta cy pan zwariował? Taż tu wielga ukazja ni żadna kupa. Żyj sy pan albo sy zdychaj. Dokumenty piechotą nie hulajo. Za darmo każdy jedyn ma prawu do papierów. Do jedenastego paragrafu. I won w dziesięć dni zy Lwowi!

– Ale ja mam żonę, dziecko... Ja nie sam!

– No, to wielgi niszczęńci ta żona i dziecko, co?

Dzięgiel wrócił do domu załamany. Wiedział już, jak wyglądają sowieckie deportacje. Wiedział, że straci dziecko, może i żonę, może sam nie przeżyje. A co tam będzie na miejscu... Bóg dobry to wie. Nie spał całą noc, a rano wstał z mocnym postanowieniem, że zrobi wszystko, co tylko możliwe. Uparł się. Dzień wypełniony był niepewnością, czy jeszcze uda się znaleźć tego człowieka. Wrócił wieczorem do knajpy. Pośrednik sam go zaczepił.

W ciemnym i wilgotnym mieszkaniu na poddaszu, do którego zaprowadził następnego dnia Dzięgiela, siedzieli dwóch mężczyzn.

– To będzie drogo – mówił jeden z nich.

– Ale trzy dokumenty... to prawie hurtem. Nie można taniej?

– Panie! Trzy dokumenty to nawet drożej będzie, nie taniej. Większe podejżenia. Sowiet trzy razy pomyśli, zanim da.

– Ja nie mam tyle.

Zapadło niezręczne milczenie. Dzięgiel siedział wpatrzony w nagi blat stołu, za którym siedział jeden z mężczyzn. Czuł, jak cała energia odpływa mu wzdłuż nóg, w dół ciała. Nie mógłby teraz nawet wstać, gdyby tego od niego zażądali – znikła sprężystość kolan. Jedyne, co mógł zrobić, to pozostać bez ruchu, zastygły, mając nadzieję, że wszystko jakoś się jednak ułoży.

Zbigniew Wawszczak

Zaginiony oddział AK z Kamionki Strumiłowej

Tak wiele jest w tej sprawie niewiadomych. Ludzie, którzy działali w strukturach AK w Kamionce Strumiłowej, już dawno odeszli na wieczną wartość. Niestety nieodżałowany prof. Jerzy Węgiński, autor kilku monografii o działalności AK na Kresach Południowo-Wschodnich, nie zdążył opisać konspiracji akowskiej w tamtym regionie.

Czasy powojenne nie sprzyjały dokumentowaniu życia Polaków na Ziemiach Wschodnich. Przez dziesięciolecia Armia Krajowa określana była mianem „zapłutego karła reakcji”, a zajmowanie się działalnością podziemnego wojska na terenach zaanektowanych przez Stalina należało do ryzykownych. W wyniku zaistniałej sytuacji politycznej sporo wydarzeń nie zostało należycie udokumentowanych.

Temat, którym chciałbym się zająć, jest wydarzeniem lokalnym, przypadkiem, który nie odegrał większej roli. A jednak, jeżeli wierzyć nielicznym ustnym przekazom, nie był błahy ani nieistotny. Wydarzenie to związane jest z tajemniczym zaginięciem, mówiąc wprost – śmiercią ok. 30. młodych ludzi, którzy wyruszyli z Kamionki Strumiłowej pewnego majowego wieczoru w 1944 r. Wyruszyli na koncentrację oddziałów leśnych w regionie Lwowa, a trasa ich przemarszu prowadzić miała przez położoną nieopodal Kamionki wieś Batiatycze, Żółkiew, Kulików, Lwów. Tak zapisał w swoich raczej skąpych notatkach Zbigniew Niemkiewicz (1928–2009). Ale czy tak było naprawdę? Złożony z młodych żołnierzy oddział, któremu miał towarzyszyć cichociemny ps. „Lisek” lub „Chłasek”, poruszał się po terenie pozostającym pod zarządem okupacyjnych struktur hitlerowskich Niemiec, w znacznym stopniu wspomaganym i penetrowanym przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN i UPA. Nacjonalistyczna partyzantka ukraińska swobodnie poruszała się po rozległych lasach otaczających Kamionkę. W tym czasie głównym zajęciem ludzi nazywanych banderowcami było „czyszczenie” terenu z Lachów. UPA pacyfikowała wsie, okrutnie mordowała mieszkańców, o ile wcześniej nie opuścili oni swoich gospodarstw. Wiosną 1944 r. mieszkańcy Kamionki mogli naocznie

przekonać się o tym, że upowcy nie żartują. Tuż przed świętami wielkanocnymi UPA otoczyła i zniszczyła wieś Rudę (Hutę?): ocalili z pogromu mieszkańcy, w tym wielu rannych, szukali schronienia w Kamionce. Przerażeni ludzie, uciekający przed sprawcami z resztkami dobytku w płachtach na ramionach, opowiadali straszne rzeczy o zagładzie wsi, śmierci bliskich i znajomych, nie wyłączając niemowląt, kobiet i starców.

W sytuacji zagrożenia ze strony Niemców i UPA trasa, którą miał się poruszać udający się pod Lwów (pieszo) oddział, była utrzymywana w ścisłej tajemnicy. Im mniej osób o niej wiedziało, tym lepiej było dla oddziału. Nie potrafię powiedzieć, skąd śp. Zbigniew Niemkiewicz zaczerpnął informacje o trasie marszu chłopców z Kamionki. Być może opuszczając rodzinne miasteczko, ktoś z konspiratorów nie zachował tajemnicy, nie zdając sobie sprawy, że naraża udających się do „lasu” na śmiertelne niebezpieczeństwo.

W intencji grupy wyruszającej w nieznaną, w trudny wojenny czas odbyło się nabożeństwo w pięknym neogotyckim kościele parafialnym. Mszę św. celebrował kapelan AK, ks. Baczmaga (w latach 1936–1944 był wikariuszem w Kamionce Strumiłowej), uczestniczyli w niej prócz chłopców członkowie ich rodzin. A więc siłą rzeczy, wiele osób wiedziało o tym przedsięwzięciu. Czy wszyscy zachowali rzecz w tajemnicy? Wymarsz poprzedzały przygotowania: czy wieść o tym nie przeniknęła do niepowołanych uszu? Wiele przemawia za tym, że tak właśnie się stało, chociaż dzisiaj nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się o tym, jak było naprawdę. Bo tylko tak wytłumaczyć można, że oddział z Kamionki nie dotarł na koncentrację. Że żaden z jego członków nie uratował się, nie wrócił i nie przekazał informacji o tym, co się wydarzyło.

Taki przebieg wydarzeń pozwala postawić tezę, że wieść o przygotowaniach do wymarszu dotarła do miejscowej struktury OUN i UPA. Przeniknęła stosunkowo wcześniej, by wrogowie Polaków mogli podjąć przygotowania zasadzki na chłopców z Kamionki.

Co się z nimi stało? Tajemnicę zniknięcia akowskiego oddziału próbował rozszy-

frować Zbigniew Niemkiewicz, zamieszkały po wojnie w Jarosławiu. Zainteresowany był zarówno on, jak i jego rodzina i starszy brat Bronisław, bowiem wraz z oddziałem zaginał najstarszy brat Zbigniewa, podchorąży AK radiotelegrafista Franciszek Niemkiewicz.

Dlaczego jednak poszukiwania rozpoczęto stosunkowo późno, dopiero po wielu latach? Podchorąży Franciszek przepadł jak kamień rzucony do rzeki. Ale przecież zaginał nie tylko on, również jego koledzy i dowódcy, razem ok. 30 osób. Tyle polskich rodzin dotknęła ta niewyjaśniona tragedia. Bez wątpienia, każda z nich chciałaby wiedzieć, co też stało się z jej synem, bratem, kuzynem czy wnukiem.

I tutaj trudno pominąć zasadnicze wątpliwości. Jak można przypuszczać, przynajmniej część dotkniętych tragedią osób podjęła starania zmierzające do odtworzenia okoliczności tragedii. Kiedy i gdzie do niej doszło? Przecież trzydziestu młodych mężczyzn nie zapadło się pod ziemię. Najprawdopodobniej, mimo elementarnego przeszkolenia wojskowego (bo tylko takie mogło być w trudnych warunkach konspiracji), obecności dowódcy (lub dowódców) i przygotowanego do trudnych działań cichociemnego, oddział został zaskoczony i wybity do nogi przez niemającego żadnych skrupułów wroga. Co się stało z ciałami zabitych?

Według dociekań śp. Zbigniewa Niemkiewicza, do masakry mogło dojść niedaleko od Kamionki, na obszarze wsi Batiatycze. Raczej z dala od gospodarstw tej zamieszkałej w większości przez ludność ukraińską wsi, bo gdyby świadkami rozprawy z chłopcami z AK byli mieszkańcy tej miejscowości – wieści o tej rzezi dotarłyby do Kamionki. Prawdopodobnie partyzanci z Kamionki mieli jakąś broń, być może nie zdążyli jej użyć.

Kolejną niewiadomą stanowi miejsce pochówku poległych. Ofiary przepadły bez śladu. W rozmowie ze mną p. Zbigniew Niemkiewicz wspominał o pogłoskach, że zabitych Polaków pogrzebano szybko, aby całkowicie zatrzeć ślady. Ktoś miał podobno zauważyć, że na odległym od zabudowań polu, pod lasem, jakiś rolnik bardzo długo i starannie bronował pewne poletko. Ogromne zaangażowanie rolnika wzbudziło podejrzenie, że wyrównywał on miejsce domniemanej mogiły grupy Lachów, tak by miejsce to nie wzbudzało podejrzeń.



Już wiosną 1944 r., w miarę jak od wschodu słyhać było odgłosy zbliżającego się frontu, część Polaków zamieszkałych w Kamionce starała się wyjechać na zachód, nie chcąc ponownie zetknąć się z władzą sowiecką. Zbyt dobrze pamiętali co działo się podczas okupacji sowieckiej w latach 1939–41. Wyjeżdżali ludzie zamożniejsi, mający środki na opłatę niemieckiej ciężarówki. Z takiego środka lokomocji skorzystała np. rodzina Piwowońskich (rodzice, troje dzieci), którzy w kwietniu uciekli, osiadając w Piwnicznej koło Krynicy. Również Niemkiewiczowie, którzy mieli duży dom koło stacji kolejowej, wyjechali do rodziny do Sieniawy koło Jarosławia. Wyjechali oczywiście bez najstarszego z synów, Franciszka, który wraz ze swym sformowanym w konspiracji oddziałem AK wyruszył w pole. Nie jest dla mnie rzeczą jasną, czy już przed opuszczeniem miasta dotarła do nich wiadomość o zaginięciu oddziału czy wieść o tym niepokojącym zdarzeniu spadła na nich dopiero w Sieniawie.

Polscy mieszkańcy Kamionki, opuszczający ją jeszcze za okupacji niemieckiej, jak też później – w ramach „repatriacji”, w większości udawali się do rozmaitych miejscowości w tzw. Generalnej Guberni, a później – po wojnie – na Ziemię Odzyska-



Z. Niemkiewicz i ks. Derunow przed kościołem w Kamionce Strumiłowej, 2005 r.

ne. Bliskie, sąsiedzkie więzi zostały często bezpowrotnie zerwane, zwłaszcza w pierwszych powojennych latach.

Czy rodzina Niemkiewiczów próbowała ustalić, co się stało z najstarszym synem Franciszkiem? Zapewne tak, ale próby te nie dały wyników. Czy szukano podchorążego Franciszka za pośrednictwem PCK?

Na ślady działań poszukiwawczych natknąłem się w materiałach, przekazanych mi przez syna Zbigniewa – Mieczysława Niemkiewicza. Są one jednak stosunkowo późne; co było wcześniej – pozostaje niewiadome.

Zachowała się kartka pocztowa skierowana do Zbigniewa Niemkiewicza – oto fragment:

Katowice 19.08.90

Szanowny Panie,

Podaję obiecane adresy:

Stanisław Panasiewicz 25-606 Kielce,

[...]

Zofia Cypanowska-Skeczkowska 75-056 Koszalin, [...]

i dalej:

nie posiadam adresu Mieczysława Podleżańskiego. Proszę w tej sprawie zwrócić się do Mieczysława Rydlickiego, 71-204 Szczecin, [...] (był w Lubaczowie).

Od daty wysłania pocztówki upłynęło ponad 15 lat, zapewne większość adresów i telefonów jest nieaktualna.

Na luźnej kartce Zbigniew Niemkiewicz zanotował jeszcze kilka nazwisk ludzi związanych z działalnością AK w Kamionce Strumiłowej. Przy niektórych dopisał: „zmarł”.

Cytuję: *por. rez. Panasiewicz, komendant obwodu Sokal, kpt. Fej „Bohun [...]”, Gliwice, inż. Dobiecki (zmarł), Władysław Podleżański, Kazimierz Kuczhanek (jest we Lwowie), Julian Gładysz – leśniczy z Sielca w Ślicznym Siole k. Lubania, Lorencówna-Wójcik, mąż oficer rezerwy, ppor. Władysław Tarnowski „Karol” (zmarł), mieszkał za Gliwicami w Wójtowej Wsi, prawdopodobnie posiadał dokumentację, mgr Mikołaj Biliński, d-ca grupy szkolnej w okresie okupacji niemieckiej, dyr. Szkoły Handlowej, Stacja PKP – szef, szwagier, Zdzisław Jazienicki, Opole (zmarł), Julian Natoszyński, inf. o transp. (Prudnik), Zygmunt Gotfrid, Krasne.*

Wygląda na to, że nazwiska: Podleżański, Skobyłka, Lisek (Chłazak) – cichociemny, oznaczają członków zaginionego oddziału. Znajduję jeszcze zdanie: *Firma Zmiennicy Bronisch – prawie wszyscy w konspiracji.*

Z zacytowanych materiałów można wywieść wniosek, że p. Zbigniew Niemkiewicz nawiązał kontakty z osobami mającymi informacje o ludziach zaangażowanych w konspirację AK-owską w Kamionce Strumiłowej. Szkoda, że uczynił to dopiero w 1990 r. Już wtedy część z tych ludzi nie żyła.

Nie wiemy, czy udało mu się dotrzeć przynajmniej do niektórych. Brak informacji o tym w materiałach po przedwcześnie (2009) zmarłym Zbigniewie Niemkiewiczu. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy redagowałem w Radio Rzeszów audycje „Kresy, krajobraz serdeczny”, odwiedziłem kilkakrotnie p. Niemkiewicza w jego mieszkaniu w Jarosławiu. Wtedy opowiadał o zaginionym oddziale, w którym służył jego starszy brat Franciszek. Pan Zbigniew nie wspominał jednak o swoich kontaktach z kręgiem osób związanych z kamionkowską AK. To, co opowiedział mi o sprawach oddziału, wykorzystałem w artykule.

Reasumując, nadal nie wiemy, co tak naprawdę stało się z ok. 30 młodymi konspiratorami, którzy w majową noc 1944 r. wyruszyli z Kamionki Strumiłowej. Pewne jest, że nie dotarli na miejsce koncentracji. Żaden z nich nie powrócił też do miasta, by poinformować o losie kolegów. 30 młodych ludzi przepadło bez śladu. Trudno uwierzyć, że ich rodziny nie podejmowały starań, by rozwikłać tragiczną zagadkę. Rodzice zaginionego Franciszka ani młod-

si bracia (wszyscy już nie żyją) do końca swoich dni nie dowiedzieli się, co się stało z ich synem i bratem, podch. Franciszkiem Niemkiewiczem.

Z zapisków, jakie pozostały po najmłodszym z braci Zbigniewie, dowiedzieliśmy się, że dawni mieszkańcy, Polacy z Kamionki, rozproszyli się po wojnie po całym kraju. Może w jakimś piśmie ukazała się informacja o niewyjaśnionych losach chłopców z AK-owskiego oddziału? Może jest jakaś wzmianka w niepublikowanych wspomnieniach?

Trudno pogodzić się z myślą, że 30-osobowy oddział zapadł się (dosłownie) pod ziemię. A może pozostał jakiś ślad w dokumentacji UPA?

W podstawowej monografii cichociemnych Jędrzeja Tucholskiego nie napotkałem niestety danych związanych z Kamionką Strumiłową. Pojawia się tam co prawda cichociemny „Lisek”, ale działał on w innym rejonie kraju i nie można go łączyć z Kamionką. Sprawa pozostaje niewyjaśniona. Czy uda się ją rozwikłać?



Neogotycki kościół rzymskokatolicki pw. Wniebowzięcia NMP, zbudowany w latach 1911–1920 wg projektu Teodora Talowskiego.

Alicja Uczciwek

Kilka słów uzupełnienia

Moje uwagi dotyczą wywiadu przeprowadzonego przez Pana Redaktora Janusza M. Palucha z moją siostrą Profesor Teresą Wawrzynowicz, zamieszczonego w kwartalniku „Cracovia–Leopolis” nr 2(82)/2015 oraz tekstu uzupełniającego do tego wywiadu Pana Władysława Siemaszki („Cracovia–Leopolis” S(85)/2016).

W roku szkolnym 1938/39 byłam uczennicą I klasy Gimnazjum Sióstr Niepokalanek w Maciejowie. Z chwilą wkroczenia Sowieców na ziemie polskie – siostry, tak jak pisze Pan Siemaszko, musiały opuścić klasztor i przenieść się do innych domów. Jeszcze wtedy mordów na Wołyniu nie było. Przed wakacjami w roku 1939 siostra przełożona Marta Wołowska została przeniesiona do klasztoru w Słonimiu, w czasie okupacji niemieckiej została zamordowana przez okupanta, a w czasie pontyfikatu św. Jana Pawła II beatyfikowana przez niego za ofiarowanie swojego życia za życie innego więźnia, członka Armii Krajowej.

Pan Siemaszko pisze, że siostry z Maciejowa zostały przeniesione do Jarostawia, który leżał ówczesnie na terenie również opanowanym przez bandy UPA i OUN i niewykluczone, że wiadomość o tym, że dwie siostry ze zgromadzenia udały się w teren dla zdobycia żywności i zostały bestialsko zamordowane, jest prawdą. Jedną z nich była dawna dyrektorka naszego gimnazjum – siostra Zofia (nazwiska nie pamiętam). Wiadomość tę przekazywały sobie dawne uczennice naszego gimnazjum. Czy było to prawdą – nie jestem w stanie powiedzieć.

Po śmierci Ojca przenieśliśmy się do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie z pomocą naszego dziadka Michała Kotowicza i stryja Leona Wawrzynowicza Mama kupiła dom. W okresie wakacji w 1939 roku my – dzieci przebywałyśmy w Turzysku u Dziadka, Mama zaś urządziła mieszkanie. 1 września 1939 roku Dziadek przywiózł nas furmanką do Włodzimierza, w tym właśnie dniu Niemcy rozpoczęli wojnę z Polską. Lotnictwo nie-

mieckie od razu przystąpiło do działań powietrznych, w tym dniu na naszej ulicy Strzeleckiej spadły bomby (bliskość dworca kolejowego). Były też pierwsze śmiertelne ofiary. Młodsze rodzeństwo Dziadek od razu zabrał do Turzyska. Ja zostałam z Mamą. Naloty ciągle trwały, uciekłyśmy piechotą z Mamą do stryja Leona Wawrzynowicza (10 km od Włodzimierza do Grabiny). Przetrwałyśmy tam czas nalotów. Pamiętam, że Stryj polecił moim kuzynom i mnie zakopać w sadzie pamiętki legionowe – ułańskie proporce.

Po kilku dniach wróciłyśmy do Włodzimierza, zaraz też zwała się bolszewicka nawała i ich porządki. Denuncjatorzy mieli pełne pole do popisu – aresztowania ważnych obywateli miasta, nocne sprawdzanie dokumentów itp. Wszystko ze sklepów znikło, brakowało żywności. Panował strach.

Niedługo po wkroczeniu władze bolszewickie kazały opuścić budynek księżom mieszkającym w pojezuickim klasztorze przy kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa. Księża zmuszeni byli szukać mieszkania dla siebie oraz dla pełniących posługę w kościele i na plebanii. Mieliśmy dość duże mieszkanie – w tym czasie ludzie potrafili się ograniczać – Mama przyjęła księży. Zamieszkał u nas ksiądz Kobylecki, proboszcz kościoła NSPJ, z którymś z wikariuszy. Kuria Łucka często wymieniała księży. Przez czas pobytu w grudniu 1939 i w pierwszych miesiącach 1940 roku mieszkali w naszym domu ksiądz Gładysiewicz, ksiądz Kapturkiewicz, ksiądz Poško – nie pamiętam, żeby mieszkał u nas ksiądz Czurko, jak podała moja siostra (w trakcie pobytów księży w naszym domu młodsze rodzeństwo – Teresa i Bogdan – dużo czasu spędzało u Dziadka w Turzysku).

W czasie pierwszych miesięcy okupacji sowieckiej kuria łucka często kierowała do Włodzimierza księży, którzy musieli opuścić tereny okupowane przez bolszewików i przez Włodzimierza z Uściług przetrucani byli przez Bug na stronę niemiecką.

Po opuszczeniu przez księży naszego mieszkania, które przecież nie było lokum zbyt wygodnym, dotarli do nas wieści o aresztowaniu księdza Kobyleckiego. Zapewne i nasza rodzina знаła z jego ust czas i okoliczności jego aresztowania, co zatarło się w mojej pamięci.

W relacji Pana Siemaszki jest dokładny opis przebywania z księdzem Kobyleckim

w celi śmierci w więzieniu w Łucku i opis uratowania się w czasie likwidacji więźniów, jednak w mojej pamięci zachował się przekaz ks. Kobyleckiego o ostatecznym uratowaniu się przez upadającego na niego zastrzelonego więźnia.

Chcę nadmienić, że nasza znajomość i zażyłość z księdzem Kobyleckim przetrwała szereg lat zarówno w czasie okupacji, jak i w PRL-u. Ksiądz był prowadzącym pogrzeb naszego stryja księdza Dominika Wawrzynowicza w Miłkowie w roku 1979, a ponadto w czasie kilkuletniego pobytu w domu dla księży emerytów w Lublinie kilkakrotnie go odwiedzałam. Bywał też gościem w domu mojej siostry w Lublinie.

Po wyprowadzeniu się z naszego domu księży – pokój, w którym mieszkali, został zajęty przez władze i zasiedlany kolejno przez rodziny sowieckich wojskowych. 21 czerwca 1941 roku wojska sowieckie w pośpiechu opuściły Włodzimierz, wkroczyli Niemcy i zaprowadzili swoje porządki. Wkrótce nasz dom został włączony w granice utworzonego getta dla społeczności żydowskiej. Musieliśmy nasz dom opuścić i zamieszkać w mieszkaniu wyznaczonym przez administrację ukraińską.

Nasz stryj Leon Wawrzynowicz (mój ojciec chrzestny) był legionistą i osadnikiem wojskowym zamieszkałym z rodziną w Grabinie (gmina Werba), gdzie pełnił funkcję wójta. Był też komendantem „Strzelca” we Włodzimierzu Wołyńskim. Wkrótce po wkroczeniu bolszewików do Włodzimierza został aresztowany, a rodzina wywieziona do Archangielskiej Oblaści 10.02.1940 roku. Po latach poznaliśmy stawiane mu zarzuty, które kwalifikowały go do skazania na karę śmierci. Między innymi zarzut zamieszkania mostku we wsi Werba. Osadzony był w więzieniu we Włodzimierzu, ale nigdy nie chcieli przyjąć od nas dla niego paczki przynoszonej do więzienia. Dalsze losy dokładnie opisała moja siostra.

Najstarszym bratem naszego ojca był ksiądz Dominik Wawrzynowicz pełniący obowiązki proboszcza we Włodzimiercu w powiecie sarneńskim. Włodzimierzec był oddalony od nas o 30 kilometrów. Bywaliśmy tam często, tym bardziej że działała, ze stacji Antonówka, oddalonej od Horodźca o 3 km, kolej wąskotorowa. Kościół we Włodzimiercu, ufundowany przez hrabiów



Krasickich, był budowlą solidną. Po opisanej przez poprzedników historii napadu, uratowanych zgromadzonych w kościele wywieźli Niemcy do Rafałówki, ale prawdopodobnie ksiądz ze swoją siostrą dostał się do Równego, skąd następnie w czerwcu 1944 roku przedostał się za Bug i dotarł do kurii w Lublinie. Przez kurię lubelską umieszczony był tymczasowo przy parafii w Krężnicy Jarej, gdzie miał możliwość pełnić swoje kapłańskie obowiązki. Następnie z rozporządzenia administracji kościelnej został proboszczem w Miłkowie w powiecie jeleniogórskim, gdzie był przez 20 lat proboszczem. Tam zmarł i został pochowany.

Mój pobyt w partyzantce trwał od grudnia 1943 roku. Najpierw we wsi Radowicze, a później w Bielinie, od lutego 1944 roku w szeregach 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej w dywizyjnej kompanii łączności. Do partyzantki poszłam z koleżanką Wandą Szurowską i Jadwigą Kuterówną. Wanda miała w tym czasie narzeczonego Romka Kuterę, który był żołnierzem żandarmerii stacjonującej w Maciejowie, wyprowadzonej do 27. WDP w końcu grudnia 1944 roku. Brat Wandy, Leonard, w końcu 1943 roku również poszedł do partyzantki, do Bielina. Cała trójka została przyjęta do oddziału, w którym przebywała część żandarmerii wyprowadzonej do 27. WDP przez por. Motyla (Ścibor-Rylski). Mnie – trzeciej sanitariuszki – Motyl nie przyjął, zostałam przy łączności.

Dywizja zdążyła na koncentrację do Lasów Mosurskich, tam zginął dowódca Jan Kiwerski „Oliwa”. Dywizja znów znalazła się w okrążeniu. Po kolejnym przebicium się z okrążenia kierowała się do Lasów Szackich. Przy pokonywaniu torów kolejowych Luboml–Chełm, w miejscowości Jagodzin, pierwsze kompanie: Sokoła, Gzysa oraz sztab dywizji przeszli bez boju. Duża część dywizji, w tym łączność, przechodziła tory w drugim rzucie przy dużych stratach taboru i sprzętu. Wielu żołnierzy zostało rozproszonych, były też duże straty w ludziach. Zostałam tam ranna i skierowana do naszego szpitala polowego, który mieścił się na dwóch wozach. Dalej przemieszczaliśmy się drogą, w części zaminowaną przez partyzantkę sowiecką, prowadzącą między rozlewiskami w stronę Prypeci. Powinniśmy ją pokonywać prawą stroną, gdyż lewa była zaminowana. W pewnym momencie w ciszy nocnej rozległ się grzmot rozrywającej sięminy. Wtedy to zginęło rodzeństwo Wanda i Leonard Szurowscy oraz Jadwiga i Roman Kuterowie. Straciłam najbliższą przyjaciółkę, dowiedziałam się o tym już na postoju w lesie, w dzień, od kolegów z kompanii „Motyla”.

W Lasach Szackich stacjonowaliśmy niedługo, został tam sformowany żeński pluton łączności. Dywizja znów znalazła się w okrążeniu, wobec czego, podzielona na kilka grup, skąd jedna została skierowana za Prypeć, następnie przeszły Bug i znalazły się na Lubelszczyźnie.

Po ogłoszeniu Manifestu Lipcowego nasze oddziały zostały podstępnie rozbrojone, a żołnierze zostali zwolnieni przez dowódców. Z grupą przyjaciół dotarłam do Lublina, gdzie konspiracja lubelska wyrobiła nam kenkarty, gdyż nie mieliśmy żadnych dokumentów. Znalazłam rodzinę – stryjka ks. Dominika koło Lublina, skąd Mama zabrała mnie do Włodzimierza, żeby choć przywitać się z rodzeństwem. Wtedy już mieszkaliśmy w swoim domu we Włodzimierzu. Wkrótce władze sowieckie zamknęły granice i były trudności powrotu do partyzantki. Jeszcze wróciłam do zorganizowanej przez władze szkoły i w roku szkolnym 1944/45 ukończyłam klasę ósmą.

Ukraińcy dążyli do pozbycia się z terenów zachodniej Ukrainy „elementu polskiego”. Polacy masowo opuszczali Włodzimierz. Po otrzymaniu dokumentów potwierdzających

własność i szacunek naszego pozostawianego domu na dwóch podwodach opuściliśmy Włodzimierz i zatrzymaliśmy się w Strzyżowie (12 km od Bugu), już na terenie PRL-u. Umieszczono nas w opuszczonym domu popa. Nasza mama była przekonana, że wróci do swego mieszkania po unieważnieniu porozumienia „Wielkiej Trójki”.

Anna Stengl

„Lwowskie Spotkania”

w Klubie Dziennikarzy
„Pod Gruszką”

Spotkania członków i sympatyków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich odbywają się regularnie w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w pierwszy wtorek miesiąca, a zaproszeni goście to najczęściej osoby bezpośrednio lub pośrednio związane ze Lwowem i Kresami. Interesujący prelegenci i tematy spotkań przyciągają coraz więcej słuchaczy, przychodzą także ludzie młodszy i całkiem młodzi (np. studenci).

Idea, która nam przyświeca, jest organizowanie spotkań o tematyce związanej, co zrozumiałe, ze Lwowem i Kresami. Spotkania są urozmaicone, bowiem dotyczą opowieści o znanych ludziach, prezentacji nowo wydanych książek, ale są to także filmy, relacje, programy muzyczne, wspomnienia. Staramy się pamiętać o tych, którzy odeszli, a pochodzili z naszych stron i odegrali ważną rolę dla polskiej kultury, nauki, sztuki, sportu i innych dziedzin.

Program naszych spotkań ukazywał się corocznie w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”, ostatni raz w 2014 roku. Kolejne lata – 2015 i 2016 – to był czas interesujących spotkań. Gościliśmy prelegentów, z których każdy zaciekawiał i budził wśród obecnych zadowolenie z bycia tego wieczoru „Pod Gruszką”, a w czasie remontu sali Fontanny – w Sali Śródmiejskiego Ośrodka Kultury przy ul. Mikołajskiej 2.

Książki nagrodzone tytułem Krakowskiej Książki Miesiąca zaprezentowali: Paweł Daniel Zalewski (wnuk lwowskiego cukiernika) „Bez pamięci” – interesująca opowieść o poszukiwaniu śladów dziadka (nagroda w styczniu 2015 roku) i Maria Wilczek-Krupa, autorka biografii wybitnego kompozytora „Kilar. Człowiek o dwóch twarzach” (nagroda w marcu 2016 roku).



Bronisława i Jan Wawrzynowiczowie z rodziną i przyjaciółmi

Siedzą od lewej: Maria z Białosiewiczów Okopińska (1901?–1984 Gdańsk), ks. Dominik Wawrzynowicz, brat Jana (1889 Strzyżowie – 1969 Miłków k. Karpacza), Bronisława z d. Kotowicz (1896–1964 Lublin) i Jan Wawrzynowicz (1893 Strzyżowie – 1939 Horodziec) z córką, Teresą Wawrzynowicz (1929 Horodziec – 2015 Lublin), na kolanach. Przed ks. Dominikiem siedzi druga córka, Alicja Uczciwek z d. Wawrzynowicz (ur. 1926, Horodziec).

Stoją od lewej: Jerzy Okopiński, Tadeusz Wawrzynowicz, brat Jana (1911 Bużany – 1940 Katyń), Felicja Cerebież-Tarabicka z d. Wawrzynowicz, siostra Jana (1898 Bużany – 1981 Lublin), przyjaciel domu Tadeusz Okopiński (1896–1972 Lublin) – mąż Marii i ojciec Jerzego, Antoni Urban Wawrzynowicz, brat Jana (1905 Bużany – 1940 Katyń) i Maria Wawrzynowicz, siostra Jana (1901 Bużany – 1981 Lublin).

Kilkakrotnie gościliśmy Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego z Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, którzy przedstawili referaty: „Non omnis moriar. Uczeń Uniwersytetu Jana Kazimierza i Akademii Medycyny Weterynaryjnej na najstarszej nekropolii Lwowa”; „Władcy międzywojennego Lwowa. Wzloty i upadki wielkich tamtego świata” oraz „Wielkie zbrodnie międzywojennego Lwowa”.

Bogdan Stanisław Kasproicz wydał piękny album poezji i fotografii „Chaczkar”, który prezentował wraz z autorską recytacją poruszających wierszy.

Parę lat temu nawiązaliśmy kontakt z Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń przy Instytucie Historii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Edukacji Narodowej w Krakowie, a kierowanym przez profesora UP Huberta Chudzię. Współpracują z nim niezwykle zaangażowani młodzi ludzie (Anna Hejczyk, Alicja Śmigielka, Mariusz Solarz), którzy przedstawili zakres i efekty swojej działalności. Imponujące!

Był też gość niezwykle – ks. Jan Nowak – postulator w procesie beatyfikacyjnym Czcigodnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Dzięki tej prelekcji poznaliśmy, jeszcze przed beatyfikacją, sylwetkę i życie księdza Władysława oraz drogę procesu uwieńczonej beatyfikacją, która odbyła się 11 września 2016 roku w Karagandzie – mieście, w którym pełnił swą posługę duszpasterską w czasach Związku Radzieckiego i gdzie został pochowany.

Piotr Korpanty zrelacjonował przebieg uroczystości, które odbyły się 19 września

2015 roku w Dytiatynie, gdzie został odbudowany, otwarty i poświęcony Polski Cmentarz Wojenny. Jacek Nikorowicz opowiedział nam o historii powstania, przed 170 laty, chorału „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” Kornela Ujejskiego i Józefa Nikorowicza. Krzysztof Rząca w dwuczęściowym, niezwykle interesującym wystąpieniu mówił o Legionach w Karpatach.

Zofia Ciechanowska z Wrocławia, córka lwowskich, a potem wrocławskich architektów, przedstawiła nam film dokumentalny o powstaniu i losach Plastycznej Panoramy Dawnego Lwowa Janusza Witwickiego, znajdującej się obecnie w Hali Stulecia we Wrocławiu.

Były też wieczory z muzyką (koncert zespołu „Promyki Krakowa” ze Szkoły Muzycznej im. M. Karłowicza w Krakowie, prowadzonego przez Romę Krzemień) oraz filmem (musical „Lwów Semper Fidelis” w wykonaniu zespołu Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie z 1990 roku), a także „Wieczór przy choince” z kapelą Ta-joj z Przemyśla.

W „okolicy” dat urodzin lub śmierci ważnych dla nas osób czciliśmy ich pamięć dzięki ekranizacji fragmentów z ich życia: Janiny Zamojskiej – wielkiej patriotki, do końca swoich dni mieszkającej i działającej we Lwowie, Adama Hanuszkiewicza – legendarnego reżysera i aktora, Wojciecha Kilara – wybitnego kompozytora, Stanisława Vincenza – wielkiego humanisty XX wieku, miłośnika i znawcy Huculszczyzny i Pokucia, Marka Eminowicza – historyka, wybitnego pedagoga, a przede wszystkim patriotę. Wszyscy pochodzili z naszych stron bądź byli z nimi związani.

Poza całorocznym programem i regularnymi spotkaniami bawiliśmy się też na Lwowskich Balach karnawałowych – tradycyjnych, z kotylionami i wódką Baczewskiego, lwowskim śpiewaniem, prawdziwie lwowską zabawą i, co istotne, przy dużej liczbie uczestników. Przenosiliśmy się w tamte wieczory do pięknego, rozśpiewanego, przedwojennego, kochanego Lwowa!

Był też bal w „zielonym karnawale”, kiedy to sala Fontany przeobraziła się w ogród pełen kwiatów.

Życzymy sobie, żebyśmy mogli jak najdłużej spotykać się w naszym gronie, słuchać, patrzeć, rozmawiać i śpiewać. Cieszyć się, że jesteście razem!

Zdjęcie z balu – Baczewski na fortepianie



Wspomnienie o płk doc. dr. inż. Janie Julianie Kossowskim (1920–2016)

Julian Gedeon Kossowski – ojciec Janka – po ukończeniu w 1895 roku Instytutu Technologicznego w Petersburgu pracował aż do 1922 roku przy budowie i eksploatacji, a po zniszczeniach wojny domowej – przymusowo, przy odbudowie Kolei Transsyberyjskiej (najdłuższa na świecie linia kolejowa). W latach 1919–1920 kierował odbudową mostu na Irtyszu pod Omskiem.

Tam, w 1920 roku, urodził się Jan Julian Kossowski. Rodzina Kossowskich mieszkała w baraku biurowym na brzegu Irtyszu.

W 1922 roku wrócili do Polski, do Stanisławowa. Janek nie zdążył opowiedzieć nam swych losów. W czerwcu 1939 roku w liceum im. Józefa Piłsudskiego w Stanisławowie zdał celująco maturę, a potem egzamin wstępny na Politechnikę Lwowską. Zamierzał iść w ślady ojca. Studiów jednak nie rozpoczął ze względu na wybuch II wojny światowej. Już 1 września na Stanisławów spadło kilka bomb niemieckich, a 18 września wkroczyły do miasta oddziały rosyjskiej Armii Czerwonej.

O tym okresie niechętnie opowiadał. Pozostawił jednak po sobie własnoręcznie spisane wspomnienia, w których czytamy: *Z willi na Dąbrowie, przedmieście blisko lotniska, ul. Legionów 27, wysiedlono naszą rodzinę i zrabowano większość rzeczy. Zamieszkaliśmy w sąsiednim domu w jednym pokoju. Była ciemna, zimowa noc 21 marca 1940 roku. Około godziny 2 wpadło do naszego pokoju pięciu NKWDzistów o bandyckim wyglądzie i obyczajach. Rewizja trwała cztery godziny. Przerzucili wszystko, nie mówiąc ani słowa. Zabrali lornetkę – zapisano w protokóle, która w śledztwie miała być dowodem szpiegostwa: mieszkanie było blisko koszar i lotniska. Dalsze dowody przestępczej działalności to dziecinny straszak i nóż fiński, jaki miał wtedy każdy harcerz. Przy okazji ukradli ojcu cenny zegarek marki Patek. Po rewizji kazali mi się ubrać i pod broń zaprowa-*



dził na ul. Bilińskiego do więzienia, gdzie na trzy dni zamknęli w ciemnicy. To były najgorsze chwile mojego uwięzienia. Byłem niewinny, a aresztujący nie powiedzieli mi słowa o zarzutach. Po trzech straszliwych dniach w samotności przeniesiono mnie do wspólnej celi. Nie wiedziałem, co się stanie ze mną. Cella o powierzchni około 10 m², przewidziana na jedną osobę, mieściła teraz dwadzieścia dwie. Można było tylko stać lub siedzieć w kucki. Spaliśmy na zmianę: połowa słoczona na stojąco, druga – niby spała. Psychicznie uratowali mnie współwięźniowie: w większości wybitnie inteligentni profesorowie, urzędnicy, wojskowi – podtrzymywali mnie na duchu, byłem najmłodszy, miałem 19 lat. Skąd tylu wspaniałych ludzi w więzieniu? Stanisławów był ostatnim dużym miastem przy granicy Polski, Rumunii i Węgier. Polacy masowo starali się przedostać za granicę,

by dalej walczyć. Sowiecki sojusznik Niemiec uszczelnił granice: mysz nie mogła się prześlizgnąć.

Do lipca 1940 roku przeszedłem ciężkie śledztwo. Nie mogłem się przyznać do zarzucanego mi szpiegostwa i kontrrewolucji, byłem naprawdę niewinny, największe przestępstwo: byłem Polakiem, a takich postanowiono zniszczyć.

W lipcu odbył się mój „proces” – 8 lat łagru i zsyłka na daleką północ. Jednak prokurator złożył protest: wyrok za niski. To mnie uratowało, bo zaczęła się wojna niemiecko-sowiecka. Siedziałem w dużej sali – przed wojną kaplica – czekaliśmy na wywóz. Słowem nie powiedziano nam o wojnie, ale zauważyliśmy dziwne nerwowe hałasy. Często przerzucać nas do różnych cel, rozpoczęła się ewakuacja i likwidacja skazanych na śmierć. Włączano silniki samochodów, aby zagłuszyć strzały. Trwało to do nocy 30 czerwca, gdy nagle nastąpiła względna cisza. Koniec mordowania. Grupa ocalałych więźniów wywaliła drzwi naszej celi.

Jesteśmy wolni! Wokół straszny widok: krwawiące ciała pomordowanych. Sowietci



Jan Gedeon Kossowski z rodziną
– Jan Julian drugi od lewej

Słownik nazw ulic i mieszkańców Lwowa

Kiedy rozpoczynam rozmowy ze lwowianami w różnych miejscach Polski, prawie zawsze słyszę – *Bierze się pan za to za późno o kilkadziesiąt lat...* Zgadając się ze stwierdzeniem mych rozmówców, wiem jednak, że choć część tego Lwowa, który bezpowrotnie odszedł, uda mi się uratować, odtworzyć. Wydawane przeze mnie broszury poświęcone Lwowowi i jego mieszkańcom to przecież zasługa moich rozmówców, którzy swą wiedzę przekazują tylko dlatego, że zwracam się do nich. Wciąż nie jest za późno na utrwalanie pamięci o Lwowie. Dlatego też, na łamach kwartalnika „Cracovia–Leopolis” będziemy publikować, w ramach *Słownika nazw i mieszkańców Lwowa*, informacje o ulicach lwowskich i ich mieszkańcach. Oczywiście z nadzieją, że Szanowni Czytelnicy uruchomią pokłady pamięci i zechcą napisać do nas, czy to uzupełniając czy weryfikując przekazywane informacje, za co z góry wdzięczni jesteśmy. Zatem zaczynamy!

Ulica Hausnera

Ulica Hausnera, obecnie Skowrody, rozpoczyna się na Łyczakowskiej, by swój bieg zakończyć na ul. Pijarów. Bocznych ulic nie miała. Liczyła 18 numerów.

Patronem ulicy jest Otto Hausner (1827–1890), historyk sztuki, pisarz, poseł w Radzie Państwa w parlamencie austriackim oraz na Sejm Galicyjski. Był honorowym obywatelem Lwowa, ale także takich miast jak Brody – gdzie się urodził, Drohobycz, Sambora, Stanisławowa i Żółkwi.

Hausnera 1 – mieściła się tam piekarnia Mroczkowskich. Właściciel Jerzy Mroczkowski po II wojnie światowej zamieszkał w USA, dokąd uciekł przed komunistami. Mroczkowscy mieli córkę. Imienia pani Mroczkowskiej i córki nie udało się odnaleźć. W kamienicy mieszkał też kupiec Adam Albin (relacja: Jan Staby).

Hausnera 2 – mieściła się tam pracownia Wyrób Kafli Karola Jaworskiego.

Hausnera 3 – znajdowały się tam biuro handlowe i magazyny firmy Edmund Riedl. W kamienicy mieszkali: bracia Mejsykowie, którzy po wojnie zamieszkali we Wrocławiu; Karolina Forsz – urzędniczka, Zofia Forsz – urzędniczka.

Hausnera 4 – w kamienicy mieszkali: Alfred Staniewicz – kancelista, Ludwik Adamec – buchalter, Jan Hołowczak – woźny, Franciszek Jaworski – urzędnik, Józef Lisowski – urzędnik Namiestnictwa, Kazimierz Oswald – urzędnik, Włodzimierz Szczerba – krawiec,



nie zdążyli wymordować wszystkich, nie mieli czasu, bo sami myśleli o ucieczce. Tłum zrozpaczonych mieszkańców wpada na więzienny dziedziniec, poszukuje swych bliskich.

Rodzina Janka nie wierzy we własne szczęście – Janek żyje!

Do miasta wkracza armia węgierska. Krótko trwał względny spokój. Ponure więzienie przy ul. Bilińskiego zajmuje gestapo i rozpoczyna krwawe represje.

Rodzina Kossowskich przeżyła kolejną okupację. Latem 1944 roku ponownie wkracza Armia Czerwona, tym razem z polską Armią Ludową, która mobilizuje zdolnych do wojska. Janek nie ujawnia swoich przeżyć z NKWD i w sierpniu 1944 r. zostaje kanonierem 5. pułku piechoty, w marcu 1945 r. – w Oficerskiej Szkole Artylerii – dowódcą plutonu, w 1946 r. rozpoczyna studia na Politechnice Gdańskiej, a w 1947 r. zostaje przeniesiony do Warszawy i z grupą oficerów zostaje studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. W 1952 r. kończy studia z dyplomem Inżyniera mechanika, specjalizacja: uzbrojenie.

Pracuje w Wojskowej Akademii Technicznej (WAT), uzyskuje stopień pułkownika, a po odbyciu aspirantury naukowej – tytuł kandydata nauk technicznych i stanowisko szefa Oddziału Badań Naukowych WAT.

W 1975 r. uczestniczy w Międzynarodowej Komisji Obserwacyjnej w Wietnamie z ramienia ONZ. Aż do przejścia w stan spoczynku w stopniu pułkownika pracował w pionie technicznym Sztabu Generalne-

go WP. Oczekiwał na awans do stopnia generała.

Za całokształt służby pułkownik Jan Julian Kossowski został odznaczony Krzyżami: Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi i medalami resortu Obrony Narodowej.

W 2005 roku Prezydent RP odznaczył pułkownika Krzyżem Zesłańców Sybiru.

Jan Kossowski był wierny i oddany Ojczyźnie i rodzinie. Z ukochaną żoną Aleksandrą przeżył 67 lat, uwielbiany przez córkę Barbarę i wnuki Adama i Marka oraz wnuczkę Elkę. Życie nie oszczędziło mu tragedii osobistej: w 1984 roku w tragicznych okolicznościach stracił starszą córkę Elżbietę. Wraz z żoną poświęcili się wychowaniu osieroconego wnuka Adama. Działal w Akcji Katolickiej i w Warszawie w Kole Stanisławowian.

Jan Kossowski zmarł 21 stycznia 2016 roku, a pogrzeb po nabożeństwie żałobnym odbył się na Cmentarzu Powązkowskim d. Wojskowym 28 stycznia z udziałem rodziny, przyjaciół oraz Kompanii Honorowej WP i przedstawicieli WAT i Garnizonu. Oddano honorową salwę pożegnalną.



Zdjęcie ślubne

Anna Stengl

Stulecie urodzin Pani Emilii Fedyk

19 grudnia 2016 r., jak nigdy dotychczas, szłam do Pani Emmy Fedyk z drżącym sercem i wielkim wzruszeniem. Tego dnia obchodziła urodziny. 100 lat to szmat czasu! Cały wiek, który pięknie przeżyła Pani Emma, całym sercem lwowianka. Teraz zaczęła następny! Zawsze pogodna, także w dniu urodzin, optymistycznie nastawiona do życia, z ogromnym poczuciem humoru, niekiedy wręcz figlarna. Dama, która mówi o sobie, że jest kucharką, bo świetnie gotuje i uwielbia, wraz z Siostrą, organizować przyjęcia. Dzielna kobieta, o niebywalej energii, zainteresowana wszystkim co ważne i zawsze we wszystkim na bieżąco. Pani Emma urodziła się w Belzie 19 grudnia 1916 r., gdy nie było państwa polskiego, a w Europie trwała wojna, którą historycy nazwali I wojną światową. Niemniej Lwów był Jej ukochanym miastem, tam uczęszczała do żeńskiego gimnazjum im. Królowej Jadwigi i tam spędziła młodość.

Osiągnięcie takiego wieku ma dla Pani Emmy tylko jedną niedogodność, nie może już pojechać do swego bliskiego sercu Lwowa, ale to w wyniku kontuzji (przed kilku laty złamała nogę), która ograniczyła swobodne poruszanie się. Nie poddała się, przede wszystkim psychicznie.

Postanowiła, że będzie chodzić i chodzi. Wspina się na IV piętro w kamienicy bez windy, gdzie Panie Emma i Jej 93-letnia siostra Zosia mieszkają.

Pamiętam wycieczkę na Huculszczyznę. Wszyscy byliśmy zmęczeni upałem. Pani Emma (miała wtedy chyba 92 lata) siedziała na ławeczce przy wiejskim uroczym domku, narzekaliśmy, że trudno znieść tę wysoką temperaturę, a Ona na nasze utyskiwania uśmiechnięta powiedziała: „A ja czuję się świetnie!”. Podczas jednego z wyjazdów popijała z Adaśkiem Żurawskim piwo, innym razem siedziała z nami długo przy ognisku, zawsze była wspaniałym kompanem do wszelkich szaleństw.

Od czasu do czasu, przeważnie w okresie Bożego Narodzenia, ale także przy okazji imienin obu Pań, bywamy u nich na spo-

Maria Teśluk, Michał Teśluk – urzędnik sądowy, Julia Bonn – akuszerka, Feliks Domrazek – urzędnik, Maria Domrazek – urzędniczka, Mikołaj Dykij – buchalter, Juliusz Graff – urzędnik, Gizela Grajewska – nauczycielka.

Hausnera 5 – w kamienicy mieszkali: Antoni Hubert – lekarz internista, Franciszka Namiestnik – położna, Antoni Duda – kominiarz, Marian Hałajewski – woźny, Maria Hołobin, Władysław Kielbus – woźny, Teofil Sawczyński – antykwariusz, Franciszek Vrba – muzykant, Sylwester Senenko, Anna Durbajto, Julian Carewicz – urzędnik, Rudolf Czajka – elektromonter, Edward Gulicz – drukarz.

W tej kamienicy, wg relacji Jana Stabego, mieszkał także Jerzy Górski, ur. w 1929 r. Wraz z ojcem byli działaczami Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej (KEDYW), po wojnie był nauczycielem matematyki w Legnicy i pierwszym prezesem tamtejszego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Hausnera 6 – w kamienicy w czasach galicyjskich znajdowała się tam pracownia obuwia Walentego Rogalskiego. W kamienicy mieszkali wówczas: Mikołaj Krzywiecki – intrologator, Maria Lewicka – krawcowa, Józef Lewków – urzędnik pocztowy, Władysław Merta – urzędnik, Paweł Owad – woźny, Metody Pawluk – urzędnik sądowy, Wiktor Piasecki – urzędnik skarbowy, Bronisław Toczyński – urzędnik. Po I wojnie światowej w kamienicy znajdował się zakład szewski S. Humena oraz piekarnia Piotra Sadowskiego; w kamienicy mieszkali: Andrzej Kaczor – urzędnik, Tadeusz Kupczyński – adwokat, Lubow Bobjak – urzędnik, Adolf Bunzel, Józef Cybyk – ślusarz, Jan Czechowski – urzędnik, Stefan Hoffman – dziennikarz oraz Stefan Humen – szewc, właściciel mieszczącego się w kamienicy zakładu szewskiego.

Hausnera 7 – redakcja pisma „Jutrzenka Polska”, Walenty Augustyn – sklep, Artur Hausner – geometra, Biblioteka Słuchaczy Medycyny, Michał Jacków – urzędnik, Maria Jankowska, Michał Małańczuk – woźny szpitala, Kazimierz Rączy – urzędnik, Julia Szczęsnownicz, Lilla Czeszer – nauczycielka.

W dniu 19/2/1936 próbowała tu popełnić samobójstwo przez zaccadzenie Anna Broda – przewieziona do Szpitala Powszechnego.

Mieszkał Jerzy Polakow – wywieziony do OT – ucieka, w Jugosławii przeszedł do armii Tity (relacja: Jan Staby).

Hausnera 8 – w kamienicy mieszkali: Walentyna Dziewałtowska, Janina Jaworska – masażystka, Boryna Kowalska, Władysław Kozłowski – urzędnik Kasy Oszczędnościowej, Ludwika Kucharczyk, Zofia Kwiatkiewicz – urzędnik Namiestnictwa, Antoni Manastyrski – artysta malarz, Tadeusz Orzechowski

tkaniach towarzyskich „Lwowiaków” – jak określa je pani Emma. Wtedy serwuje studzieninę z prawdziwym octem, salceson, wódeczkę i w zależności od tego, jaki to czas, śpiewamy kolędy albo lwowskie piosenki. A wśród Lwowiaków koniecznie muszą być Pań ulubieńcy – Tylligentne Batiary, Adaśku i Jędrus z harmoszką, bo tylko wtedy jest właściwy lwowski nastrój.

Z wielkim wzruszeniem przeżywaliśmy setne urodziny Pani Emmy. Jakże miło było patrzeć na Jej radość, słuchać jak śpiewa... To był dla Niej prawdziwie szczęśliwy czas. To było nasze świętowanie!

Trzeba także powiedzieć o urodzinowych uroczystościach w aspekcie bardziej oficjalnych życzeń, wizyt, listów gratulacyjnych, a przede wszystkim mszach świętych, odprawionych w intencji Pani Emmy – to były dla Pań bardzo wzniosłe przeżycia.

Chronologicznie było to tak:

17 grudnia w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach JE bp Jan Zając (od lat zaprzyjaźniony z Panią) odprawił mszę św.; w koncelebrazie uczestniczył ks. prałat Andrzej Waksmański, były długoletni proboszcz parafii św. Szczepana.

18 grudnia w kościele parafialnym św. Szczepana ks. proboszcz Leszek Garstka odprawił mszę św. na prośbę Akcji Katolickiej.

19 grudnia – w dniu urodzin – z kwiatami i gratulacjami przybyły delegacje z życzeniami od Wojewody Małopolskiego, pana Józefa Piłcha oraz od Prezesa Rady Ministrów, pani

Beaty Szydło, od Prezydenta Miasta Krakowa pana Jacka Majchrowskiego, a przedstawicielka Zakładu Ubezpieczeń Społecznych z życzeniami od Prezesa ZUS. W następnym dniu odwiedził Panią Emmę ojciec Leon Knabit wraz z członkami Zarządu „Odrodzenia”, przekazując życzenia od całego Stowarzyszenia.

Życzenia od Prezesa i Zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich osobiście złożyli p. Urszula Kogut i p. Stanisław Czerny. Na spotkaniu opłatkowym Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” Prezes Zarządu TG „Sokół” Konrad Firlej wraz z Kapitułą Legii Honorowej Sokolstwa Polskiego przekazali gratulacje i życzenia oraz odznaczenie – Brązowy Krzyż Legii Honorowej.

Pisemne listy gratulacyjne i życzenia nadesłali p. Jan Józef Kasprzyk, pełniący obowiązki Szefa Urzędu do spraw Komбатantów i Osób Represjonowanych, oraz Prezes Okręgu major w stanie spoczynku Aleksander Szymański i Prezes Koła Świątowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej kpt. Stefan Michalczak.

W imieniu całego naszego lwowskiego środowiska mieszkającego w Krakowie życzymy Pani Emmie kolejnych stu lat życia w zdrowiu i z uśmiechem na twarzy!

Życie Pań Emilii i Zofii Fedyk (jako żołnierze AK otrzymały stopień porucznika Wojska Polskiego) było bogate, świadczące o Ich wielkiej aktywności i odwadze, o czym postaram się w niedługim czasie napisać.



W Krakowie i dalej

■ 1 sierpnia 2016 r. w Przemyśle odszedł Adaś Wojdyła, piosenkarz i kompozytor. Urodził się w 1938 r. we Lwowie. W 1988 r. rozpoczął muzyczną współpracę z *Przemyską Kapelą Podwórkową*, która z jego inicjatywy szybko zmieniła nazwę na *Lwowską Kapelę Podwórkową Ta-joj*. Ze smutkiem dowiedzieliśmy się o Jego śmierci. Mieliśmy z Nim częsty kontakt telefoniczny, przysyłał do Redakcji kwartalnika swoje utwory nagrane na płytach. Niestety od pewnego czasu to ustało. Nie mieliśmy pojęcia, co jest przyczyną milczenia. Teraz już wiemy. Smutno... Żył 79 lat.

■ 2 sierpnia 2016 r. w Krakowie zmarł kardynał Franciszek Macharski, przyjaciel i następcą arcybiskupa krakowskiego kardynała Karola Wojtyły, kiedy ten powołany został na Stolicę Piotrową na Watykanie. Franciszek Macharski urodził się w 1927 r. w Krakowie. Darzył krakowskich Kresowian sympatią i to szczególną. Na prośbę Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przez lata odprawiał uroczystą mszę świętą w intencji wyniesienia na ołtarze metropolity lwowskiego arcybiskupa Józefa Bilczewskiego (1860–1932). Płynące m.in. z Krakowa modlitwy zostały wysłuchane. 26 czerwca 2001 r. arcybiskup Józef Bilczewski został beatyfikowany wraz z ks. Zygmuntem Gorazdowskim (1845–1920) przez papieża Jana Pawła II podczas uroczystej mszy świętej odprawionej we Lwowie w czasie kresowej pielgrzymki, a kanonizowany 23 października 2005 r. w Rzymie przez papieża Benedykta XVI. Kardynał Franciszek Macharski żył 89 lat.

■ 11 września 2016 r. Poczta Polska wprowadziła do obiegu znaczek o nominale 6 zł „Beatyfikacja ks. Władysława Bukowińskiego”, który upamiętni niedzielną uroczystość, która odbyła się w Karagandzie – Kazachstan. Znaczek wydrukowano na papierze fluorescencyjnym techniką offsetową w formacie 31,25 x 43,0 mm w nakładzie 120 000 sztuk. Znaczkę występują też w arkuszach zawierających cztery egzemplarze. Tego

– farmaceuta, Zofia Pyszyńska – urzędniczka pocztowa, Maria Rumijowska, Jan Wysocki – nauczyciel, Karol Chwałek – urzędnik Miejskiego Zakładu Energetycznego, Aleksandra Ciemierowa, Anna Gaberlik – ekspedientka.

Hausnera 9 – w tej kamienicy znajdowało się Ambulatorium Klinik: Neurologii oraz Chorób Nosa, Gardła i Krtani z ul. Pijarów 6. Woźnym był Michał Małańczuk. W kamienicy mieszkali: Katarzyna Murawska – położna, Jan Orłowski – urzędnik sądowy, Andrzej Struszkiewicz – buchalter, Katarzyna Murawska – położna, Lieber Karpf – urzędnik.

Hausnera 10 – w kamienicy znajdował się zakład krawiecki Jakuba Bieniasza, gabinet położnej Julii Wojciechowskiej oraz zakład kamieniarski Ignacego Sojki. W kamienicy mieszkali: Stanisława Jaworska – położna, Józefa Bielec – położna, Stanisław Kissel – leśnik, Jan Kloss – nauczyciel gimnazjalny, Maria Korczyńska, Michał Koszyczek – sklepikarz, Maria Krupska, Antoni Mendyk – leśnik, Aleksandra Noborecka, Seweryn Piechowski – urzędnik, Anna Pukajło – pończoszarka, Jan Ryłowski – woźny skarbowy, Maria Szustykiewicz, Wiesław Bogusz – technik dentystryczny, Anna Czwerenko, Franciszek Filip – kupiec, Stefan Hrycyn – cukiernik, Władysław Klecan – urzędnik, Meier Koch – zegarmistrz.

Informacje na temat mieszkańców kamienicy przekazał Artur Pakosz, który dzieciństwo spędził w tejże kamienicy. Piętra I i II zajmowali Polacy. Na I piętrze mieszkały polskie rodziny – Pakoszowie i Langnerowie (imiona nieznane). Natomiast na parterze mieszkali Ukraińcy (nazwiska nieznane). Maria i Feliks Pakoszowie mieszkali z synem Arturem (ur. 1933 r.) na I piętrze kamienicy. Feliks Pakosz był właścicielem zakładu krawieckiego. W październiku 1939 r. nocą przy zgaszonym świetle przez szparę w firance obserwowali deportację osób zamieszkałych naprzeciw, przy ul. Hausnera 7. Artur Pakosz w końcu czerwca 1941 r., (wówczas 8-latek) zbierał sowiecką broń i amunicję porzuconą na ul. Łyczakowskiej przez Rosjan opuszczających w popłochu Lwów po agresji Niemiec na Rosję 21 czerwca. Broń i amunicja zostały umieszczone w piwnicy. Dwa lata później w całości przekazane zostały Armii Krajowej. W czasie okupacji niemieckiej Artur Pakosz chodził do szkoły Nazaretanek przy ul. Piekarskiej, był ministrantem w kościele św. Antoniego. Duszpasterzem był tam wówczas (w latach 1945–46 wikariusz, 1946–1949 proboszcz) ks. Hieronim Kwiatkowski (ur. w 1913 r.). Aresztowany w 1949 r. przez NKWD, był więziony i skazany na karę łągów w l. 1950–55 w Krasnojarsku. Po zwolnieniu powrócił do Lwowa, w 1956 r. dostał się do Polski, do której opuszczenia też został zmuszony i zamieszkał w Rzymie, jak podaje Zofia



dnia w obiegu znalazła się też koperta pierwszego dnia obiegu upamiętniająca tę uroczystość. Znaczek zaprojektowany został przez Karola Tabakę, który posłużył się fotografią Apostoła Kazachstanu nieznanego autora, zatytułowaną „Książd Władysław Bukowiński zesłany do łagrów na Syberii”, znajdująca się w zbiorach Ośrodka

KARTA. Bł. ks. Władysław Bukowiński (1904–1974) był kapłanem diecezji krakowskiej i łuckiej, więźniem łagrów sowieckich, kapłanem prześladowanym przez komunistyczne władze ZSRR. Jego grób znajduje się w Karagandzie.

■ *Relacja z budowy Domu Polskiego we Lwowie.* Realizowany projekt Domu Polskiego we Lwowie, budowanego przy ulicy Janowskiej, pokazuje odnowiony, obszerny piętrowy dom i nowoczesny przyległy do niego wielofunkcyjny obiekt. W październiku 2016 na odnowionym domu kończono roboty dachowe. Przylegający nowoczesny, okazały budynek wyglądał z zewnątrz na zaawansowany w budowie. Patrząc od fundamentów w górę na około 50% wykonania stanu surowego. Ta wspaniała budowla, finansowana przez Senat RP, spełniająca wszystkie wymogi krzewienia kultury, rozrywki i wypoczynku – tak bardzo potrzebna Polakom ze Lwowa – ma zostać ukończona w 2018 roku. Oby nie zaistniały żadne przeszkody! Przypomnijmy tekst aktu erekcyjnego Domu Polskiego we Lwowie wmurowanego 6 listopada 2015 r.

Akt Erekcyjny Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego – Dom Polski we Lwowie

Dla pamięci przyszłych pokoleń – w obecności społeczności polskiej Ziemi Lwowskiej oraz przedstawicieli władz ukraińskich i polskich – dnia 6 listopada 2015 roku wmurowano uroczystie ten Akt Erekcyjny.

Lwów przez wieki był miastem ludzi mądrych, odpowiedzialnych i dumnych z ich wspólnego dorobku, będącego owocem tolerancji, współpracy i współistnienia wielu kultur. To dzięki nim, w otwartym dialogu,

rodziły się nowe idee, kształtowały prądy artystyczne i filozoficzne, powstały szkoły naukowe, które ze Lwowa promieniowały na świat. Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego – Dom Polski we Lwowie jest wznoszony z wolą kontynuowania tej tradycji historycznej, wspólnym wysiłkiem Ukrainy, która uczyniła budynek i miejsca, oraz Rzeczypospolitej Polskiej, która finansuje projekt.

Wspólne działania społeczności polskiej skupione wokół Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie oraz Towarzystwa Kultury Ziemi Lwowskiej zaowocowały, po ponad dwudziestu latach starań, wcieleniem w życie idei powstania Domu Polskiego. Sygnatariusze tego Aktu wierzą, że Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego – Dom Polski we Lwowie stanie się ważnym ośrodkiem współdziałania Polaków i Ukraińców w sferze kultury, oświaty i nauki, wymiany informacji i rozwoju mediów oraz dialogu społecznego, które są podwalinami integracji europejskiej. Pragną, aby wznoszony obiekt służył jak najlepiej obecnym i przyszłym pokoleniom, społeczności polskiej na Ukrainie, wzmacniając ich tożsamość narodową i będąc równocześnie szeroko otwartym na wspieranie europejskiego wyboru Ukrainy, oraz tworząc klimat dla wzajemnego zrozumienia naszych Narodów i coraz lepszej dobrosąsiedzkiej współpracy Rzeczypospolitej Polskiej i Ukrainy. Lwów, 6 listopada 2015 roku.

Cierpliwie czekamy na uroczyste otwarcie. (Stanisław Czerny)

■ 1 i 2 listopada na krakowskich cmentarzach odbyła się tradycyjna kwesta Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich na rzecz odbudowy nagrobków na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Kwestarze, jak informuje Adam Gyurkovich, prezes zarządu oddziału krakowskiego TMLiKPW, uzbierali 44 tys. zł. Uda się odnowić ponad 40 nagrobków i grobów. Dziękujemy hojnym mieszkańcom Krakowa!

■ 10 grudnia 2016 r. w pięknej sali Fontanny w krakowskim Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Oddziału Krakowskiego TMLiKPW. Zebranie bardzo sprawnie poprowadził p. Czesław Wilczyński. Po sprawozdaniu z działalności za poprzednią kadencję (2012–2016 – prezes Adam Gyurkovich) i sprawozdaniach Komisji Rewizyjnej, Sądu Koleżeńskiego oraz sprawozdaniu

finansowym i po dyskusji nad tymi sprawozdaniami udzielono absolutorium ustępującemu Zarządowi i przystąpiono do wyboru nowych władz. W głosowaniu jawnym wybrano siedmioosobowy Zarząd. Prezesem ponownie został wybrany **Adam Gyurkovich**, a w skład Zarządu weszli: **Edward Adles**, **Stanisław Czerny**, **Urszula Kogut**, **Anna Madej** (Klub Tarnopolan), **Krystyna Stafińska** (Klub Stanisławowian) i **Barbara Szumska**. Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali: **Ryszard Kucała** (przewodniczący), **Eugeniusz Zychowicz** i **Grażyna Smoluchowska**. Sąd Koleżeński został wybrany w składzie: **Jerzy Kowalczuk**, **Tadeusz Mossoczy**, **Janusz Kuciński**. Przewodnicząca Komisji Wniosków i Uchwał Krystyna Stafińska poddała do zatwierdzenia przez Walne Zebranie szereg wniosków zgłoszonych przez prezesa A. Gyurkovicha jako główne kierunki działalności Zarządu Oddziału TMLiKPW w Krakowie, jak też i zgłoszonych przez członków-mandatariuszy. Do najważniejszych należy zaliczyć: kontynuację prac porządkowo-konserwatorskich i zabezpieczanie mogił zasłużonych Polaków na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie oraz organizowanie dorocznej kwesty na ten cel na cmentarzach krakowskich; opiekę nad opuszczonymi grobami zasłużonych Kresowian spoczywających na cmentarzach krakowskich; objęcie opieką (w miarę potrzeb i możliwości) samotnych i schorowanych członków Oddziału; wydawanie kwartalnika „Cracovia–Leopolis” pod redakcją nowego redaktora naczelnego – Janusza M. Palucha; piętnowanie faktów zafalszowań prawdy historycznej, poprzez występowanie do władz, zamieszczanie sprostowań, protestów, listów otwartych w prasie kresowej i lokalnej; zacieśnianie współpracy i pomaganie polskim organizacjom na Kresach Pd-Wsch.; zachęcanie młodzieży (szkolnej i harcerskiej) do wstępowania w szeregi TMLiKPW i aktywnej działalności na rzecz spraw kresowych; włączenie się Oddziału w organizację rocznic historycznych: 100-lecie Obrony Lwowa i Odzyskanie Niepodległości (2018), 75. rocznica ludobójstwa na Polakach na Kresach Pd-Wsch. przez nacjonalistów ukraińskich, 2019 – 80. rocznica napaści ZSRR na Polskę; poparcie przez oddział krakowski inicjatywy budowy pomnika Orłąt Lwowskich (z funduszy wypraco-

Sokolnicka-Izdebska w „Historii Kościoła we Lwowie od 1939 roku”. Po roku 1944 rodzina Pakoszków została we Lwowie. Artur Pakosz ukończył Wydział Elektroniki Politechniki Lwowskiej. Pracował jako elektronik w urzędzie pocztowym Pocztyw Jasik 125 na lotnisku w Skniłowie. Ze Lwowa wyjeżdżają w roku 1957. Relacja: Artur Pakosz.

Hausnera 10A – w kamienicy dozorczą był Antoni Reczuch.

Hausnera 11 – w czasach galicyjskich w kamienicy mieściło się sanatorium Kazimierza Soleckiego, które przeniesione zostało na ul. Łyczakowską 107. W kamienicy „Dom Zdrowia” prowadził Eugeniusz Weigl. W kamienicy mieszkali: Henryk Loechel – lekarz, Domicela Grabowska, Cyryl Kachnykiewicz – redaktor pisma ukraińskiego „Narodny Czasopysi”, Karol Korzeniowski – nauczyciel, Stanisław Matwiczuk – urzędnik, Antoni Mensko – blacharz, Adolf Pawlikiewicz – konduktor kolejowy, Julian Stefanowicz – nauczyciel, Edmund Strzałowski – artysta dramatyczny, Marian Żabski – urzędnik ubezpieczeniowy, Władysław Czerwiński – fryzjer, Tekla Czopkowska, Roman Czopkowski – urzędnik, Emil Fanty – garbarz, Franciszka Finkelstein.

Hausnera 11A – w kamienicy mieszkali: Adam Wciślak – dyrektor Archiwum Map przy Łyczakowskiej 2, położna Józefa Henzler, Jan Dziedzic – szewc, P. Multański – murarz, Maria Gaudni – nauczycielka, Wiktoria Grabowska – krawcowa, Florentyna Kasztelan, Zygmunt Kasztelan – urzędnik sądowy, Michał Lewicki – asystent Wydziału Krajowego, Stefan Michalski – dozorca szpitalny, Władysław Ostromirski – buchalter, Amalia Ostrowska, Szczepan Petru – blacharz, Alfred Rutkowski – rzeźnik, Maria Semenetz, Jan Uhryn – woźny Szpitala Powszechnego, Cyryl Żarkowski – handlowiec, Piotr Dębski – cieśla, Andrzej Dobrzański – urzędnik, Nina Jermak – położna.

10 marca 1937 r. w piwnicy doszło do pożaru szybko ugaszonego przez straż pożarną.

Hausnera 12 – w czasach galicyjskich pracownię obuwia prowadził tam Józef Horno, a mieszkali: Józefa Bielec – akuszerka, Ignacy Sojka – właściciel zakładu kamieniarskiego, Stefan Kaszyński – urzędnik bankowy, Urszula Mustafowicz – zarządzająca Kołem Rolniczym, Anna Stadler – kupiec, Izydora Tustanowska, Stanisław Wyszatycki – urzędnik bankowy. Po I wojnie światowej w kamienicy mieszkali: Jan Gotter – dozorca więzienny, Karol Jeleń – nauczyciel, Aleksander Urbański – muzyk, Maria Chudzik, Józef Franz – murarz, Stanisław Hebak – ślusarz PKP, Kwiatkowsy z dziećmi – Bronisław (mieszka w Grójcu, a Maria – we Wrocławiu).

W tej kamienicy mieszkał z bratem Zygmuntem – Marian Jaworski, przyszły ksiądz, kardynał i arcyb-

wanych przez młodzież) – do tej pory brak lokalizacji i zgody władz Miasta Krakowa; poparcie zgłoszonej propozycji (podczas Krajowego Zjazdu Delegatów TMLiKPW) utworzenia Muzeum Kresowego w Brzegu, a w miarę potrzeb i możliwości włączenie się do wypracowania wspólnej koncepcji powstania tegoż muzeum. **Wnioski te zostały jednogłośnie przyjęte i zatwierdzone w głosowaniu jawnym.** Nowo wybranemu Zarządowi, życzymy sił i zapału w realizacji tego programu. (Anna Madej)

■ 17 grudnia 2016 roku w Collegium Marius Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła się konferencja naukowa „Sprawa mordu na profesorach lwowskich nadal jest otwarta”, nad którą honorowy patronat objęli prof. dr hab. Ryszard Legutko, poseł do Parlamentu Europejskiego, oraz dr Jarosław Szarek, prezes Instytutu Pamięci Narodowej. W konferencji udział wzięli: ks. prof. dr hab. Franciszek Longchamps de Bérier, dr Elżbieta Orman, dr hab. Adam Redzik, dr hab. Andrzej A. Zięba oraz prof. dr hab. Krzysztof Stopka. Konferencja zorganizowana została przez Zakład Stosunków Etnicznych w Europie i Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Komisję Wschodnioeuropejską Polskiej Akademii Umiejętności, Instytut Pamięci Narodowej i Stanicę Kresową. W czasie trwania konferencji na pl. Szczepańskim prezentowana była wystawa zatytułowana *Każń Profesorów Lwowskich – Wzgórza Wuleckie 1941*, przygotowana przez Instytut Pamięci Narodowej.

■ Portal internetowy www.studiowschod.pl zamieścił informację o śmierci – 3 stycznia 2017 r. – pani Józefy Maczulskiej, ostatniej Polki z Tłumacza. Miała 92 lata. Od



60 lat żyła samotnie w rozpadającej się chacie. Odwiedzający ją Polacy zawsze przyjeżdżali z pomocą. Na propozycje odwiedzenia tylko Polski, zawsze odmawiała, twierdząc, że bardzo tęskniłaby do Tłumacza, do swej chaty. Doczekała odrodzenia kościoła rzymskokatolickiego w Tłumaczu. Przechowywała krzyż z kościoła św. Anny Samotrzeciej, który został wyniesiony ze świątyni przed jej wysadzeniem w powietrze przez Rosjan.

■ W styczniu w sali Sokoła odbyło się tradycyjne spotkanie opłatkowe krakowskiego oddziału TMLiKPW. Przez wiele lat lwowskie spotkania opłatkowe przebiegały pod duchowym przewodnictwem o. Adama Studzińskiego, po jego śmierci – księża się zmieniali. Na styczniowe spotkanie zaprosiliśmy ks. Andrzeja Waksmańskiego, emerytowanego proboszcza z kościoła św. Szczepana w Krakowie, który choć jest góralem ze Spisza i nie ma żadnych związków z Kresami, to nasze spotkanie poprowadził bardzo serdecznie, miło i z humorem. Kolędy śpiewali zazwyczaj Jaga Wrońska i Jurek Bożyk. Tym razem pani Roma Krzemień zaprosiła krakowską kapelę ludową „Krakusy” im. Jana Nowaka. (Anna Madej)

■ 8 stycznia w Nowohuckim Centrum Kultury odbył się uroczysty opłatek Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków. Życzenia uczestnikom spotkania złożyli Piotr Ćwik – wicewojewoda małopolski, Sławomir Pietrzyk – wiceprzewodniczący Rady Miasta Krakowa, o. Jerzy Pająk OFMCap – duszpasterz Sybiraków, ks. prałat dr Czesław Sandecki – dyrektor Wydziału ds. Duszpasterstwa Ogólnego Kurii Metropolitalnej w Krakowie oraz proboszcz parafii pw. św. Judy Tadeusza w Czyżynach, Zbigniew Siekański – przewodniczący zarządu Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Katynia Polski Południowej, prof. Wojciech Narębski – prezes zarządu krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Marcin Tąbara z Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Robert Chudzió z Uniwersytetu Pedagogicznego i harcmistrzyni Halina Jaskiernia, która przyjechała do Krakowa wraz z rozkołędowaną grupą harcerzy z Krzęcina. Nad wszystkim – jak zawsze – czuwała pani Aleksandra Szemioth – przewodnicząca Zarządu Oddziału Krakowskiego Związku Sybiraków.

■ 8 stycznia w Hucie Pieniackiej wysadzono w powietrze przy użyciu materiałów wybuchowych pomnik pomordowanych 28 lutego 1944 roku Polaków. Tego dnia wieś zrównana została z ziemią. Dewastacji dokonali nieznanymi sprawcy. Całkowitemu zniszczeniu uległ główny krzyż, a na płytach zawierających nazwiska ofiar wymalowano czerwono-czarne flagi OUN-UPA oraz flagę Ukrainy. Namalowano też dwie błyskawice, które symbolizują oddziały SS.

Trzeba przypomnieć, że mieszkańców Huty Pieniackiej wymordował policyjny pułk SS złożony z ochotników do SS Galizien. Władze Ukrainy wiążą z tym wydarzeniem inne akty dewastacji, a to na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni pod Kijowem oraz na budynku konsulatu RP we Lwowie i uważają, że ich celem jest poróżnienie Polaków i Ukraińców. Już 10 stycznia ambasada RP złożyła w Kijowie notę protestacyjną w tej sprawie. 17 stycznia metropolita lwowski abp Mieczysław Mokrzycki wydał odezwę w sprawie zdewastowania pomnika, w której, podkreślając, iż Huta Pieniacka była od lat miejscem modlitwy ekumenicznej mającej za zadanie życie w prawdzie i nieustrudzone poszukiwanie pokoju i współpracy między narodami polskim i ukraińskim, napisał: „Podczas gdy Ukraina boryka się z wieloma problemami, wśród których wojna na wschodzie stanowi bolesny rozdział jej współczesności, takie wydarzenie jak profanacja krzyża i mogił pomordowanych mieszkańców Huty Pieniackiej kładzie się cieniem na dążeniu do wolności, na drodze odkrywania i szanowania prawdy historycznej”. 26 lutego br. w uroczystościach 72. rocznicy mordu na ludności w Hucie Pieniackiej uczestniczył ambasador RP w Kijowie Jan Piekło i gubernator obwodu lwowskiego Ołeh Syniutka. Uroczystość odbyła się przy odbudowanym przez miejscowe społeczeństwo pomniku, który znacznie odbiega od zdewastowanego. Krzyż wykonany został z innego materiału kamiennego (czarny kamień). Wśród napisów nie znajdziemy też cytatu z „Chorału” Kornela Ujejskiego: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej do Ciebie, Panie, woła ten głos!”. Dopisano też, iż pomnik „odnowiono dzięki wysiłkom społeczności ukraińskiej 2017”. Odbudowa pomnika nie była konsultowana z władzami polskimi. Należy przypomnieć, iż pomnik w Hucie Pieniackiej wzniesiony został w 2005 r. dzięki staraniom Andrzeja Przewoźnika, ówczesnego sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

■ W dniach 13–14 stycznia 2017 r. w Instytucie Historii UJ odbyła się Ogólnopolska Konferencja Naukowa „Wołyń – dzieje krainy” zorganizowana przez Koło Naukowe Historyków Studentów UJ. Konferencja była okazją do dyskusji na temat dziejów Wołyń – począwszy od czasów średniowiecza,

skup lwowski, przyjaciel śp. Jana Pawła II. Zygmunt Jaworski, ur. w 1926 r., zamieszkał we Wrocławiu. Razem z Janem Słabym pracowali w Kreishauptmannschaft – w starostwie – w dawnym budynku Akademii Handlu Zagranicznego przy ul. Sakramentek 10. Jako gońcy mieli służbowe rowery, na których używanie mieli pozwolenie, co wtedy było rzadkością.

Hausnera 14 – w kamienicy mieszkali: Gabriel Karpiak – woźny urzędu skarbowego, Ignacy Kryśowaty – urzędnik, kapitan Wojska Polskiego, Erwin Morawski, Eugeniusz Paudisch – urzędnik, Bolesław Wolański – dentysta, Bronisława Augustyn – hafciarka, Filonida Bednarz, Bronisława Bednarz, Julian Dutka – ślusarz, Wołodymyr Dykyj – urzędnik.

Hausnera 15 – w kamienicy mieszkali: Stefania Stankiewicz z Instytutu Patologii Uniwersytetu Jana Kazimierza, Rozalia Dziwińska – położna, Jakub Handzel – lekarz, inż. Zdzisław Jełowicki, Julia Rudnicka, Stanisław Rudnicki – kupiec, Stanisław Skulski – urzędnik sądowy, Stefan Babecki – złotnik, Bartłomiej Chmielewski.

Hausnera 16 – w kamienicy mieszkali: Janina Augustyn – położna, Augustyn Jasiński – urzędnik Namiestnictwa, Aleksandra Nahorecka, Walery Rożniatowski – sekretarz Kasy Chorych, Jan Wozaczyński – kupiec, Emilia Burska, Dymitr Hrycyszczym – urzędnik, Wincenty Huss – szewc, Jan Typroicz – ur. 1906, uczestnik rozruchów z 1936 r., do których doszło na podłożu ekonomicznym, ranny, leżał w Szpitalu ZUS.

Hausnera 18 – kamienica narożna z ul. Pijarów, w której mieszkali: Leopold Rotter – technik dentystryczny, Alojzy Trawersa – właściciel zakładu kamieniarskiego, L. Karasiński – murarz, Ignacy Hayder – urzędnik magistratu, Józef Jankowski – urzędnik, Wanda Kozakiewicz, Edward Kwiatkowski – urzędnik, Maria Łącka, Jerzy Ossoliński – urzędnik Banku Przemysłowego, Adam Przyłipski – kupiec, Paulina Sobotowska – urzędniczka, Leon Szafran – dietariusz, Stanisław Bryś – urzędnik.

Z informacji przekazanych przez Jana Słabego wiemy, iż „na winkle” znajdowała się knajpa z bilardem, a w kamienicy mieszkali: Brylowie (bracia – Bolesław, NN, siostra Czesława – mieszkała w Jeleniej Górze i Trzebnicy), na I piętrze: Wandycze – uciekinierzy z Wołynia, Kopeć (z dziećmi: Michał i Stefania) – Stefania po wojnie mieszkała w Środzie Śląskiej i Wrocławiu, a na II piętrze – Tadeusz Skoraczyński – oficer WP.

Więcej na temat przewodników po Lwowie na stronie:

<http://welwowie.pl>

Książki dostępne w księgarni: bonito.pl lub mailem: pwlod@interia.pl

Przemysław Włodek

a skończywszy na wieku XX. Poruszono tematy historii Wołynia w czasach ruskich, Wołynia jako części Wielkiego Księstwa Litewskiego, województwa wołyńskiego stanowiącego część Korony, guberni wołyńskiej będącej częścią Cesarstwa Rosyjskiego, przebiegowi I wojny światowej na Wołyniu, odzyskaniu niepodległości i województwu wołyńskiemu w okresie II RP. Najtrudniejszymi tematami była jednak współczesna historia – wciąż żywa w społeczności polskiej, a to okres II wojny światowej i ludobójstwo OUN-UPA na Polakach, dzieje Kościoła Katolickiego w diecezji łuckiej i łucko-żytomierskiej, w końcu problematyka narodowościowa i wyznaniowa, historia ziemiaństwa wołyńskiego, polskie dziedzictwo kulturowe na Wołyniu. W konferencji uczestniczyli studenci historii, historii sztuki, politologii.

■ 15 stycznia we Lwowie w Teatrze Polskim pan Jan Tysson, jeden z najstarszych aktorów Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, wnuk znanego architekta Jana Sas-Zubrzyckiego, obchodził jubileusz 85. urodzin. Jubilat debiutował na scenie stworzonej przez Piotra Hausvatera w *Balladynie* w roli Kanclerza w roku 1958. W dniu 85. urodzin wystąpił w roli Dyrektora Teatru w spektaklu Mariana Hemara *Dwóch Panów B.* Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego uhonorował Do-



fol. Maciej Wojciechowski

stojnego Jubilata brązowym medalem *Gloria Artis*, który otrzymał z rąk pani Katarzyny Sołek – zastępcy konsula generalnego RP we Lwowie, a pani Wioleta Pruchnik, zastępca dyrektora Biura Szefa Gabinetu Prezydenta, wręczyła Jubilatowi wyróżnienie Prezydenta RP Andrzeja Dudy. Do życzeń dołącza się także redakcja kwartalnika „Cracovia–Leopolis”. *Ad multos annos*, Panie Janie!

■ 21 stycznia w Sali Fontany w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbył się ko-

lejny VI Bal Lwowski, którego organizatorami byli niestrudzeni Anna Stengl i Ryszard Kucala, który zazwyczaj angażuje do pracy swą całą rodzinę. Tradycyjnie już jednym z uczestników balu jest Pan Baczewski, który krasuje i dodaje niestrudzonemu tancerzom wigoru. Zabawa trwała tradycyjnie do białego rana. Organizatorom dziękujemy i już pytamy o termin kolejnego balu...

■ W Muzeum Architektury we Wrocławiu (ul. Bernardyńska 5) na przełomie roku 2016 i 2017 można było oglądać wystawę *Lwów 24 czerwca 1937. Miasto, architektura, modernizm*, której kuratorem był prof. Andrzej Szczerski, zastępca dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie (może jest nadzieja, że ta ekspozycja trafi do Krakowa). Ekspozycja poświęcona modernistycznej architekturze i urbanistyce Lwowa, której wartość i znaczenie są nie do przecenienia, pokazała, iż okres II Rzeczypospolitej umożliwił rozwój nowoczesnego miasta posiadającego ważną pozycję w Polsce i środkowo-wschodniej Europie. W tym modernistycznym organizmie miejskim przystosowanym do codziennego funkcjonowania społeczeństwa, działały różne stowarzyszenia o charakterze społecznym i artystycznym, jak grupa „Artes”, indywidualni twórcy m.in. lwowscy fotograficy, projektanci plakatów, artyści malarze, literaci, ale też twórcy lwowskiej szkoły matematycznej, środowiska profesorów uniwersyteckich i politechnicznych, dziennikarze. Jest to pierwsza kompleksowa wystawa prezentująca osiągnięcia lwowskich architektów.

■ W styczniu w Muzeum Podkarpackim w Krośnie otwarto wystawę *Rafajłowa – huculska wieś w Karpatach Wschodnich*. Rafajłowa, obecnie Bystrycia, w polskiej pamięci historycznej to miejsce walk Legionów Polskich podczas I wojny światowej. Ale też pięknie położona huculska miejscowość otoczona pasmem Bratkovskiej, Sywuli, Doboszanki i Maksymca. Położenie Rafajłowej dawało rozwój turystyki górskiej za czasów II RP. Obecnie także rozwija się tam turystyka, a wśród coraz częstszych gości oprócz Polaków pojawiają się tam wędrowcy z Niemiec i Francji. Autorem wystawy jest Jan Słodowski.

■ 29 stycznia 2017 r. w Sędziszowie Małopolskim zmarł biskup Stanisław Padewski. Urodził się w 1932 r. w Nowej Hucie koło Monastyrzysk na Podolu. Całe życie związa-

ny był z zakonem kapucyńskim. Od 1988 r. prowadził pracę duszpasterską na terenie Ukrainy. W 1995 r. Jan Paweł II mianował go biskupem diecezji kamieniecko-podolskiej. W 1998 r. został sufraganem w archidiecezji lwowskiej przy metropolii kardynała Marianie Jaworskim, a w 2002 r. mianowany został ordynariuszem diecezji charkowsko-zaporoskiej. W roku 2009 przeszedł na emeryturę, ale pracę kapłańską sprawował do 2012 r. Pogarszający się systematycznie stan zdrowia wyłączył go z pracy duszpasterskiej. Zmarł, otoczony troskliwą opieką kapucyńskiej braci, w wieku 84 lat.

■ 1 lutego w Galerii Szarej w Regionalnym Centrum Kultur Pogranicza w Krośnie (ul. Kolejowa 1) otwarto wystawę fotografii dr Jana Tadeusza Skłodowskiego zatytułowaną *Kresowe portrety*. Autor pokazuje na fotografiach twarze współczesnych mieszkańców Kresów. W informacji o wystawie czytamy: *Twarze kresowe to oblicza niby z minionej epoki, częściej pogodne niż chmurne, zwykle sterane życiem niekoniecznie długim, ale zawsze wyrozumiałe dla swego losu, i choć niekiedy dumne, to mimo wszystko pochyłone w pokorze przed jego nieodwołalnością i pogodzone z nią... To oblicza autentyczne – oblicza ludzi, którzy są sobą, bo nie starają się być kimś. Oblicza, z których czytać można wiele*. Zapewne interesująca wystawa mogłaby być zaprezentowana nie tylko w Krakowie, ale i we Lwowie.

■ 10 lutego 2017 w siedzibie Centrum Dokumentacji Zsyłek, Przesiedleń i Wypędzeń miało miejsce spotkanie Sybiraków w 77. rocznicę pierwszej wielkiej wywózki Polaków z Kresów w głąb Związku Sowieckiego. Gospodarzem spotkania był dr Hubert Chudzió – dyrektor Centrum. W uroczystości wzięli udział: Piotr Ćwik – wicewojewoda małopolski, Mariusz Wołos – prorektor Uniwersytetu Pedagogicznego, Sławomir Pietrzyk – wiceprzewodniczący Rady Miasta Krakowa, Joanna Florkiewicz-Kamieniarczyk – dyrektor Wydziału Rewaloryzacji Zabytków Krakowa i DN Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego, i in. Licznemu gronu Sybiraków, przewodziła Aleksandra Szemioth – prezes Oddziału Związku Sybiraków w Krakowie. Po zakończeniu spotkania w centrum odprawiona została koncelebrowana msza św. w kościele św. Agnieszki, której przewodniczył duszpasterz Sybiraków Jerzy Pajak OFMCab. (DTS)

Wertując wydawnictwa

➔ Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej nadesłało swój kolejny arcyciekawy półrocznik „Biuletyn SPZD” (nr 19 z IX 2016). Numer jak zwykle obszerny (format A4, sto kilkanaście stron, dużo fotografii).

Omawiane pismo obejmuje rejon, w którym mieszczą się trzy główne miejscowości: Drohobycz, Borysław i Truskawiec, ale i duża liczba miasteczek, osiedli i większych, ważniejszych wsi – niemal wszystko związane z kopalnictwem i przemysłem naftowym (np. Medenice, Majdan, Schodnica itd.). To daje Redakcji możliwość zebrania ogromnej liczby szczegółowych informacji o ludziach, obiektach, wydarzeniach. Tego typu pisma lokalne znakomicie uzupełniają w skali ogólnej takie, których tematami zainteresowania są całe tzw. Kresy, czyli wszystkie ziemie wschodnie, zabrane nam po II wojnie światowej.

Redakcja „Biuletynu” dzieli zamieszczone tematy na: Historię, Wspomnienia, Aktualności, Pożegnania (niestety) oraz Wiadomości Półroczne (te uzupełniają Aktualności).

W każdej grupie tematycznej znajdujemy interesujące teksty, które w sumie budują naszą wiedzę o regionie i jego problematyce. Tego trzeba pozazdrościć, ale tłumaczymy to sobie faktem, iż Redaktorzy mają zawsze pół roku czasu na każdy numer, ponadto zespół redakcyjny jest liczny i od wielu lat stały, rozproszeni po świecie aktywni drohobycczanie zawsze zaś gotowi do nadsyłania wspomnień i opracowań – własnych i cudzych.

Na koniec mielibyśmy małą uwagę *pro domo sua*: przy wspomnieniu W. Psarskiego na próżno szukaliśmy informacji, iż tekst ten ukazał się wcześniej w „Cracovia–Leopolis” nr 5/1999, był bowiem napisany dla tego kwartalnika.

➔ Nadeszły z Wrocławia dwa nowe numery dwumiesięcznika „Na Rubieży” 147 i 148/2016. Przypominany – po dłuższej przerwie – że to historyczno-publicystyczne pismo wydawane jest przez Stowarzyszenie

Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów (Wrocław), a prowadzi je od początku Szczepan Siekierka.

Pierwszy z wymienionych (nr 147) poświęcony jest niemal w całości szerokiemu zagadnieniu l u d o b ó j s t w a, dokonanego przez nacjonalistów ukraińskich na polskiej ludności Wołynia i Małopolski Wschodniej oraz złożenia – po latach – hołdu Ofiarom. Problematykę opisał red. Szczepan Siekierka, cytując zarazem w dyskusji pozytywne i negatywne wystąpienia posłów i senatorów. Przedstawiono dwa ważne, satysfakcjonujące dokumenty: Uchwałę Sejmu RP z 7 VII 2016 (podpisał marsz. M. Kuchciński) oraz uchwałę Senatu RP z 7 VII 2016 (podpisał marsz. S. Karczewski). Podano też listy osób przeciwnych przyjęciu uchwały: 23 senatorów (głosowało 60) oraz 10 posłów (PO i Nowoczesna). Osoby te głównie argumentowały obawą przed jętrzeniem Ukraińców w obliczu ich aktualnej sytuacji politycznej i militarnej. Zwrócono uwagę, że na [tzw.] zachodniej Ukrainie wznoszone są pomniki poświęcone zbrodniarzom wojennym, Polska nie może więc rezygnować ze swojej pamięci historycznej.

Sprawy powyższe zwieńczone są niejako dwoma ważnymi dla nas wypowiedziami:

– wywiad z dr. Tadeuszem Samborskim (marszałkiem województwa dolnośląskiego, rozmawia E. Schroeder), gdzie jednoznacznie nazwano problem: nie „rzeź wołyńska”, bo to określenie zbyt literackie, ale po prostu l u d o b ó j s t w o (to jest kategoria prawna), z przymiotnikiem banderowskie. Dr Samborski porusza całą serię ważnych tematów, także o traktowaniu grobów ofiar, a także pomnika w Warszawie, który nie może czekać się realizacji;

– artykuł ks. Tadeusza Isakowicza, który interpretuje uchwały podjęte przez Sejm i Senat RP w sprawie ludobójstwa banderowskiego.

W dalszej części numeru napisano o uroczystości 200-lecia Szkoły św. Marii Magdaleny we Lwowie, obchodzonej 16 kwietnia 2016 r. z udziałem ks. abp. Mieczysława Mokrzyckiego, metropolity lwowskiego. „Mer” Lwowa A. Sadowy wręczył dyplomy i odznaczenia honorowe zasłużonym nauczycielom. Padło wiele ciepłych słów pod adresem Marty Markuniny, która prowadziła tę szkołę przez 25 lat.

W drugim wymienionym numerze (148) wspomniano na początku o odejściu do wieczności Krzysztofa Bulzackiego – co niespodziewanie miało miejsce w Australii – oraz jego pogrzebie w Jeleniej Górze, gdzie po ekspatriacji zamieszkiwał. K. Bulzacki był aktywnym działaczem w szeregu organizacji kresowych, wiele publikował i rozmawiał o problemie ludobójstwa.

Kolejne teksty w numerze to omówienie kilku uroczystości kresowych, głównie w województwach zachodnich, ale także we Lwowie – w 75. rocznicę mordu na profesorach lwowskich (1941). Inną rocznicą obchodzoną za kordonem była XX rocznica poświęcenia pomnika Ofiar Ludobójstwa, które miało miejsce w Mostach Wielkich w 1941 roku. Na to miejsce udała się teraz przy tej okazji grupa członków Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów z Wrocławia. Zwiedzono także nieodległe miejscowości, gdzie zachowały się dotąd pamiątki tamtych wydarzeń (Lwów, Żółkiew, Brody, Beż i inne).

Warto przypomnieć, że parafia w Mostach Wielkich (gdzie przed wojną istniała znana Szkoła Policji Państwowej) powstała w 1549 r. Po II wojnie sowieci użytkowali tamtejszy kościół jako kino, potem piekarnię. Świątynia została zwrócona Polakom w 2004 r. i podjęto jej odbudowę.

W końcowej części numeru znalazły się wspomnienia o dwóch bohaterach z Wołynia: Henryku Cybulskim (napisał wnuk M. Cybulski) i Władysławie Czermińskim (napisał F. Budzisz).

Andrzej Chlipalski

Książki czasopisma

📖 Życie i działalność św. abp. Józefa Bilczewskiego (1860–1923), profesora i rektora Uniwersytetu Lwowskiego, znakomitego uczonego i wybitnego pisarza, metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego w latach 1900–1923, związane jest z aktualnie istniejącymi trzema jednostkami administracji kościelnej: diecezją bielsko-żywiecką – przez fakt urodzenia w Wilamowicach, ar-



chdieceją krakowską – przez studia i święcenia kapłańskie, oraz z archidieceją lwowską – przez dojrzałe lata życia i misję Pastorza lokalnego Kościoła. Charakterystyczne, że jedynie w pierwszej z wymienionych instytucji kościelnych św. Józef Bilczewski cieszy się nieślabnącym kultem, głęboką czcią i adoracją, czego dowo-

dem są liczne nadzwyczajne łaski zyskiwane dzięki Jego pośrednictwu u Pana Boga.

Prezentowana książka przynosi niezwykle cenny materiał źródłowy, a mianowicie wspomnienia ludzi – bezpośrednich świadków życia lwowskiego metropolity. Gromadzono je we Lwowie jeszcze przed II wojną światową z myślą o planowanym procesie beatyfikacyjnym, ale nigdy wcześniej nie doczekały się publikacji. Tymczasem stanowią one oryginalne informacje ilustrujące głębokie życie religijne hierarchy, odślaniają cechy charakteru i temperamentu, ilustrują żarliwy patriotyzm Polaka z epoki zaborów, ale i niepodległej Rzeczypospolitej, przybliżają imponujący rozmach duszpasterski Pastusza na Kresach Wschodnich Ojczyzny, ukazują Jego wrażliwość na ludzką biedę w aspekcie moralnym i materialnym.

Publikacja ta stanowi zarazem nieocenione źródło poznania motywacji, jak również konsekwentnej woli realizacji inicjatyw św. Józefa Bilczewskiego na różnych obszarach aktywności: rozbudowy sieci parafii rzymskokatolickich i budowy przeszło 300 świątyń dla wiernych polskiego pochodzenia zagrożonych utratą tożsamości religijno-narodowej przez ekspansję żywiołu ukraińskiego, propagowania kultu Najświętszej Maryi Panny i Świętych, mecenatu względem stowarzyszeń katolicko-robotniczych oraz ascetyczno-religijnych, dialogu międzyobrzędkowego Kościoła łacińskiego, Cerkwi greckokatolickiej i Kościoła ormiańskokatolickiego, pełnej szacunku tolerancji dla społeczności zamieszkujących teren Małopolski Wschodniej: Żydów, Rosjan, Ukraińców, Niemców itd.

Wydaje się, że lektura książki wzbogaci naszą wiedzę nie tylko o randze Osoby

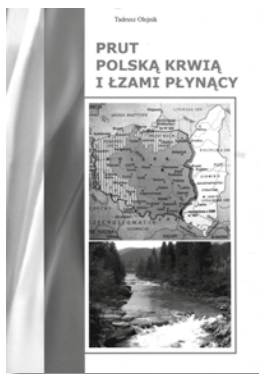
i misji św. Józefa Bilczewskiego, ale nadto zapozna czytelników ze skomplikowanym układem stosunków społeczno-politycznych, jak też kościelno-religijnych przełomu XIX/XX wieku w Galicji/Małopolsce Wschodniej, w kontekście których lwowski metropolita realizował się jako Człowiek, Kapłan, Pastor i Polak.

Nic dla siebie, wszystko dla Boga i bliźniego. Święty arcybiskup Józef Bilczewski we wspomnieniach. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy i wybór ilustracji ks. Józef Wołczański, Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemię archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego, Lwów–Kraków 2016 (kontakt z wydawcą: Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemię, ul. Warszawska 1/13, 31-155 Kraków, email: jwolczan@wp.pl)

📖 Losy jednego stanisławowianina.

Autobiograficzny esej Tadeusza Olejnika pt. *Prut polską krwią i łzami płynący*, Wydawnictwo „Studio Edytor”, Dzierżoniów 2016 r., jest poświęcony osobie urodzonej i wychowanej na Pokuciu (koło Stanisławowa) w latach trzydziestych, żyjącej w latach drugiej wojny światowej i w okresie powojennym. Publikacja może pretendować do miana portretu jednej z wielomilionowej rzeszy osób, które po wojnie zostały wysiedlone z obszaru Wschodniej Małopolski do Polski „centralnej” i dalej – na tak zwane ziemie zachodnie. Autor pochodzi z Pokucia, a jego młodość upłynęła „u stóp Gorganów”, między Nadworną a Stanisławowem. Wczesna młodość przed wojną i w czasie wojny została tu przedstawiona w sposób interesujący, stylizując się w wielu miejscach na „literaturę faktu”. Podmiot czy też narrator (bohater) koncentruje się na odczuciach, ale i przytacza wiele faktów znanych z obserwacji, które są analogiczne wobec doznań jego rówieśników pochodzących z terenu dawnego województwa stanisławowskiego.

Autor przedstawia dramatyzm i tragizm wojny w jej różnych przejawach. Fakty opisane są najczęściej z autopsji, zwłaszcza rzezi dokonywanych przez bandy UPA realizujące ideologię OUN na bezbronnej ludności polskiej, w większości składającej się głównie z kobiet, dzieci i starców. Dodajmy, że współcześnie sprawa powraca, zwłaszcza po prezentacji filmu *Wołyń*, a z drugiej strony – po antypolskich prowokacjach na



Ukrainie, o których pisze bieżąca prasa.

Wszelako esej Tadeusza Olejnika – napisany wcześniej – formułuje apel o omówienie na nowo sprawy „ukraińskiej” i sprawiedliwsze wyrażenie ocen, gdyż – zdaniem autora – poszczególne problemy częstokroć nie są właściwie rozwiązane czy

interpretowane. Tekst Tadeusza Olejnika zawiera oceny formowane niekiedy dość ostro, lecz nie dotyczą one Ukrainy jako całości (powtórzymy, że wszystko, o czym pisze, dotyczy dawnych, a niekiedy i współczesnych zwolenników banderowskiej ideologii i praktyki; autor wielokrotnie ukazuje przy tym jak najbardziej pozytywną etycznie ludność Ukrainy). Doświadczenia z okresu wojny stanowią przesłankę do formułowania ocen moralnych także po drugiej wojnie światowej. Odnosi się to także do polityki Związku Sowieckiego i Niemiec wobec Polski (także po wojnie). Ta część rozprawy jest w miarę uargumentowana, choć – przypomnijmy – brak w książce zastosowania aparatury bibliograficznej uniemożliwia w pełni naukową weryfikację badań.

Tadeusz Olejnik kontynuując wypowiedź, która dalej ma cechy autobiograficzne, omawia początki osadnictwa na ziemiach zachodnich Polski. Wreszcie zamiast aparatury bibliograficznej autor stosuje fotokopie (w ilości 90 stron) formatu książki – jako swoiste „źródła”.

Esaj napisany jest językiem dość swobodnym, niekiedy gawędziarskim, przechodzącym w styl publicystyczny. Brak przypisów (odsylaczy) sprawia, że czytelnik zapewne przeczyta wypowiedź i pozwoli wciągnąć się w konkretyzację narracji. W tym przypadku brak precyzji naukowej (brak nazwisk innych autorów czy też opisu bibliograficznego) może przyczynić się do zwiększenia popularności książki.

Biorąc pod uwagę wiek autora, można powiedzieć, że dobrze się stało, iż książka mogła się ukazać właśnie teraz, mimo że wiele błędów drukarskich, a niekiedy i językowych, może razić pedantycznego odbiorcę. Otworzone zostało pole działania dla nauk humanistycznych, społecznych

i politycznych, szczególnie dla osób uprawiających publicystykę. Trzeba wszelako dodać, że nic nie zastąpi spontaniczności wypowiedzi, takiej, z jaką mamy do czynienia w tej książce – zatem spontaniczności przekazu człowieka, który na własnej skórze doświadczył tragizmu historii. Książka ta jest nade wszystko pełnym ekspresji zapisem egzystencjonalnego doznania pokucianina, stanisławowianina, nadwórczanina w okresie półwiecza, który to czas w znacznej części przypada na znaną skądinąd współczesną historię Polski.

Bogusław Żurawowski

📖 W roku 2016 minęło 70 lat, od kiedy zakończyła się w zasadzie ekspatriacja Polaków, mieszkańców Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. W wyniku zdradzieckich układów jałtańskich Polacy zmuszeni zostali do opuszczenia swych miejsc zamieszkania, od wieków należących do ziem rdzennie polskich, historycznie leżących w granicach Rzeczypospolitej, Ojczyzny wielu narodów.

Nieubłagany wpływ czasu powoduje, że zmiany demograficzne, związane ze zmianą miejsc osiedlenia „ekspatriantów” w granicach obecnego Państwa Polskiego, nakreślonych wspomnianymi decyzjami „wielkiej trójki”, dotyczą także tej dziedziny, która wiąże się z odchodzeniem pokolenia (pokoleń) po działalności na ziemskim padole.

W roku 2016 ukazało się opracowanie *Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa – Cmentarz Rakowicki*, część 1. Na wstępie muszę nadmienić, że nasuwa mi się ważna uwaga: otóż w roku 1988 ukazało się pierwsze wydanie opracowania monograficznego S.S. Niciei pt. *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, do którego omawiana praca PP. A. Stengl i R. Kucały w jakiś sposób nawiązuje. *Pomysłodawcą opracowania i wydania drukiem przewodnika („Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa”) jest P. Adam Gyurkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW (patrz: sformułowanie ze strony redakcyjnej recenzowanej pracy). Pan Prezes miał niewątpliwie na celu „uchronienie od zapomnienia” informacji o miejscach pochówku osób związanych ze Lwowem i – szerzej – z utraczonymi ziemiami południowo-wschodnimi II Rzeczypospolitej (cytat ze Słowa wstępu Anny Stengl, autorki tekstu omawianej książki). Dzięki opracowaniu A. Stengl i R. Kuca-*



ty, otrzymujemy więc pewnego rodzaju kontynuację pracy S.S. Niciei, wymuszoną zmianami migracyjnymi po II wojnie światowej.

Praca *Mogily Lwowian i Kresowian...* to znakomite opracowanie o lokalizacji miejsc pochówku

nie tylko tych, którzy znaleźli się w Krakowie w wyniku ekspatriacji po II wojnie światowej i tu zmarli, ale także tych, którzy przebywali, działali, tworzyli, słowem żyli w Krakowie, kiedy Lwów i tereny wschodniej Małopolski wchodziły jeszcze w granice Polski (cytat jw.). Indeks osób obejmuje nazwiska 119 zmarłych i pochowanych na Cmentarzu Rakowickim. Osoby te w pełni odpowiadają kryteriom zacytowanym powyżej. Autor recenzji jest zdania, że wszystkie opublikowane biogramy mają taką samą wartość dokumentacji historycznej, a układ alfabetyczny monografii nie preferuje np. jakiejś grupy zawodowej. Odszukanie więc miejsca pochówku interesującej czytelnika osoby należy rozpocząć od sięgnięcia do wspomnianego indeksu zmarłych. Decyzję o alfabetycznym układzie edycji monografii należy uznać za jak najbardziej słuszną.

Autorzy omawianego opracowania są szczególnie wdzięczni PP. Karolinie Grodzkiej i Januszowi Paluchowi za konsultacje i merytoryczne uwagi, które wzbogaciły listę Kresowian umieszczonych w omawianej monografii.

Trudno w tej recenzji postawić jakiegokolwiek zarzuty wobec sformułowań, jakie autorka tekstu zamieszcza w charakterystyce osoby zmarłej. Pani Anna Stengl dostrzega jednak niedostatki w tej dziedzinie pisząc: *Siłą rzeczy zamieszczone w przewodniku biogramy poszczególnych osób różnią się w swoim wyrazie. Jednakże różne daty śmierci niejako narzucały treść wspomnienia; niekiedy jest to tylko relacja, a niekiedy ciepłe wspomnienie o kimś, kto jeszcze niedawno był z nami*. Zgadzam się w pełni z tym zastrzeżeniem autorki tekstu. Przyjmując bowiem jej apel kierowany do czytelników *przewodnika*, iż planując wydanie następnej jego części, wszelkie ewentualne

uwagi, sprostowania i uzupełnienia (należy je przesłać pod adresem wydawcy pracy, tj. Oddziału TMLiKPW w Krakowie), autorzy oczekują napływu takich informacji, które będą pomocne w uaktualnieniu i uszczegółowieniu sformułowań, dotychczas podanych w części 1. Niewątpliwie informacje te poszerzą także krąg Zmarłych Lwowian i Kresowian spoczywających na Cmentarzu Rakowickim.

Wszystkie biogramy Lwowian i Kresowian zamieszczone w omawianym *Przewodniku* są zaopatrzone w niezbędne informacje dotyczące miejsca pochówku osoby Zmarłej na Cmentarzu Rakowickim (kwatera, nr grobu). Umożliwi to osobom zainteresowanym odszukanie mogiły. Pomocne będą także w tej kwerendzie *Plany orientacyjne Cmentarza* i zamieszczone w opracowaniu wskazówki, które mogą być pomocne przy lokalizowaniu grobu. Ostatecznym ratunkiem w wypadku trudności w ustaleniu położenia mogiły mogą być informacje uzyskane w Biurze Cmentarza. Personel tego Biura, o czym wspomina się na stronie 4 monografii, zasłużył na osobne podziękowania, wielokrotnie pomagał bowiem autorom w poszukiwaniu grobów i cierpliwie, z wielką życzliwością, wyjaśniał ich wątpliwości.

Przewodnik jest zaopatrzony w doskonale przygotowane fotografie mogił i ew. ich szczegółów, których autorem jest P. Ryszard Kucala. Znakomicie uzupełniają one tekst odnoszący się do omawianej osoby zmarłej i na pewno będą pomocne w ustaleniu jej miejsca pochówku.

Wydawcy *Przewodnika*, Wydawnictwu FALL w Krakowie, należą się słowa uznania za bardzo estetyczną i fachową edycję pracy, PP. P. Rachwańcowi i K. Staszkiwiczowi – podziękowania za graficzne rozwiązania zastosowane w wydaniu tego opracowania.

W zakończeniu trzeba przypomnieć, że omawiany *Przewodnik* będzie miał w zamierzeniu autorów swoją kontynuację. Prawdopodobnie realizacja apelu autorów o przesyłanie uwag i uzupełnień do części 1 *Przewodnika* spowoduje edycję następnej części tej pracy. Otwiera się także perspektywa wydania *przewodników* po innych cmentarzach krakowskich komunalnych i parafialnych, o układzie zapoczątkowanym w części pierwszej monografii. Sugeruje to tytuł omawianej pracy (... *na cmentarzach Krakowa*).

Czy możemy trudu edycji następnych części monografii oczekiwać tylko od Autorów części 1, tj. PP. Anny Stengl i Ryszarda Kucaty? A może należałoby do działalności Oddziału Krakowskiego TMLiKPW na stałe wpisać hasło: *Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa* i tym samym stworzyć zespół osób zajmujących się tym tematem? Oddział Krakowski TMLiKPW ma swe doświadczenie wieloletnie w działaniu Zespołu ds. Konserwacji i Odbudowy mogił Polaków na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Można więc przyjąć, że działanie Zespołu ds. Mogił Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa będzie także skuteczne i będzie przez ogół społeczeństwa z satysfakcją i aprobatą przyjęte.

Dzisiaj dziękujemy PP. Annie Stengl i Ryszardowi Kucale za zapoczątkowanie wydawnictwa *Mogily Lwowian i Kresowian na cmentarzach Krakowa*. Przewodnik ten, jego część 1, to przykład znakomitej roboty pasjonatów, zaangażowanych w ratowanie „od zapomnienia historii Ziemi Odłączonych II Rzeczypospolitej Polski. Pani Anno i Panie Ryszardzie, wielkie dzięki za to znakomite opracowanie!

Jerzy Kowalczyk

📖 Trzech autorów: Konrad Piskala, Leon Popek i Tomasz Potkaj – zainteresowanych dziejami ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej opracowali i wydali książkę pt. *Kres. Wołyń. Historie dzieci ocalonych z pogromu* (Wydawnictwo Fabuła Fraza, Warszawa 2016). Inspiracją, punktem wyjścia do powstania książki stały się listy pisane przez dzieci w sierocińcu w Pieskowej Skale. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zachowało się 129 listów i kart pocztowych, częściowo niewysłanych, częściowo zwróconych przez pocztę.

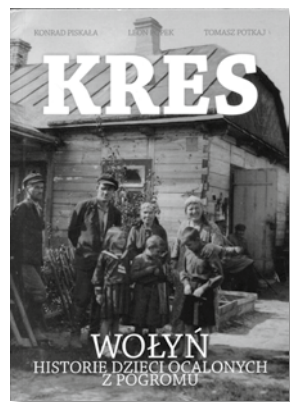
W latach 1944–1945 na zamku w Pieskowej Skale działał zorganizowany przez Radę Główną Opiekuńczą (RGO) sierociniec – Dom Dziecka dla dzieci polskich zagubionych i osieroconych w czasie ludobójstwa ukraińskiego na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Błąkające się dzieci zbierane w grupy przywożone były do Krakowa pod opiekę RGO i umieszczane w nowo utworzonym Domu Dziecka w części zamku w Pieskowej Skale. Kilkuosobowym zespołem opiekunów kierowała Jadwiga Klimaszewska – instruktorka harcerska, póź-

niej profesor etnografii na UJ. Wychowankowie u niej składali listy pisane do rodziców, krewnych i znajomych w rodzinnych miejscowościach. Listy są pełne tęsknoty i troski o najbliższych. Dzieci informowały, że jest im dobrze, bezpiecznie, mają łóżka do spania i trzy posiłki dziennie. Tak jakby chciały uspokoić rodziny. Z innych przekazów i opowiadań wiadomo, że nie była to sielanka. Personel Domu borykał się z zapewnieniem jedzenia i ciepła dla kilkuset dzieci. Dochodziły problemy z higieną i odzieżą. Traumatyczne przeżycia z rzezi wołyńskiej mają swój wyraz w listach w pytaniach: czy wieś spalona, czy Ukraińcy nadal mordują, kto z rodziny przeżył itp. Z opowiadań pani prof. Klimaszewskiej wiadomo, że dzieci zrywały się w nocy, krzyczały, moczyły się, a więc pamiętały, co przeszły.

Autorzy omawianej książki zadali sobie pytanie, co się stało z dziećmi z Pieskowej Skąły, czy jeszcze żyją, jak potoczyły się ich dalsze losy. Odbyli szereg podróży. Dotarli do kilkunastu osób, które piisały listy lub ich rodzin. Poszukiwania po kilkudziesięciu latach były żmudne, ale owocne. Udało się odwiedzić i przeprowadzić wywiady z niektórymi wychowankami Domu Dziecka. Bardzo dobrze wspominali przybraną matkę, panią Klimaszewską. Założyli rodziny, zdobyli zawód, wykształcenie, ale przeżycia z dzieciństwa odcisnęły na nich piętno. Bardzo trudne były odwiedziny rodzinnych miejscowości, szukanie grobów rodziców i krewnych, pokonywanie oporu obecnych mieszkańców, aby udzielili informacji z tragicznej przeszłości.

Układ książki przypomina mozaikę, bo wydarzenia, sceny i dialogi – dawne i współczesne – wzajemnie się przeplatają. Książka oprócz wartości beletrystyczno-poznawczych ma także wartość dokumentu, bo np. imiona i nazwiska dzieci i rodziców oraz miejscowości są prawdziwe. Na końcu dołączona jest nota historyczna podająca skróto tło i przebieg ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 40. XX wieku.

(DTS)



Zbigniew Chranowski

Panie, nie jestem godzien...

Wspomnienia poświęcone
śp. Andrzejowi Nikodemowiczowi

Jest 1 lutego, wracam pociągiem do Przemyśla po odprowadzeniu na wieczny spoczynek mego długoletniego Przyjaciela i Twórczego Partnera, kompozytora Andrzeja Nikodemowicza, który spoczął na lubelskiej nekropolii przy ul. Lipowej. Podczas czterogodzinnej podróży jak w filmie przewijam kadry ponad 50-letniej przyjaźni i współpracy. Pragnąc podzielić się z Państwem tymi wspomnieniami szukam w myśli tytułu.

Do Lublina przyjechałem w dniu pogrzebu na uroczystą mszę żałobną i krótki koncert utworów kompozytora. Uroczystość odbywała się w Archikatedrze Lubelskiej. Ponieważ przybyłem dość wcześnie, miałem dostatecznie dużo czasu, aby myślami odbiec w daleką przeszłość. Katedra powoli zapełniała się ludźmi, którzy przyszli złożyć hołd pamięci zmarłego Twórcy. Wśród przybyłych zobaczyłem wreszcie znajomą osobę: Marylę Sołtys, córkę wybitnego polskiego kompozytora lwowskiego Adama Sołtysa, u którego Andrzej Nikodemowicz studiował kompozycję. Po chwili pojawiają się dzieci Zmarłego – Małgorzata i Janek Nikodemowiczowie. Do okazałej nawy katedralnej wnoszą trumnę Andrzeja, rozpoczyna się krótki koncert. Ogromna katedra jest już wypełniona po brzegi, choć to wtorek i środek dnia. Dużo młodzieży, ale przeważają ludzie starsi.

Z głośników płyną fragmenty kantaty *Hymnus pro peccatis*, *Toccata na organy* w wykonaniu Stanisława Dziwiszka, fragmenty kantaty *Via crucis*, przejmująca stara pieśń wielkopostna *Dobranoc, głowo święta* w wykonaniu chóru Camerata Lubelska pod kier. Tomasza Orkiszowskiego.

Nasza znajomość datuje się na rok 1963. Wtedy to Andrzej Nikodemowicz otrzymuje III nagrodę we Wszechzwiązkowym Konkursie Kompozytorskim w Moskwie. Dla Lwowa to prawdziwa sensacja muzyczna. Kompozytor zostaje zaproszony do telewizji lwowskiej na spotkanie, nagrodzony utwór – sonatę

skrzypcową wykonuje znana skrzypaczka, profesor konserwatorium Aleksandra Derkacz, a przy fortepianie zasiada sam Autor. Wtedy też ja, świeżo upieczony pracownik lwowskiej telewizji, miałem okazję poznać Go osobiście. Oczywiście widywałem Andrzeja Nikodemowicza na koncertach w filharmonii, na które jako student chodziłem często. Charakterystyczna wysoka szczupła postać była bez wątpienia zauważalna. Zresztą taki pozostał do końca swoich dni, tylko może lekko pochylił się, no i w rękę pojawiła się laska. Takim też zapamiętaliśmy Go podczas ostatniego spotkania w studium Radia Lublin, gdy przybył wraz z córką na nasz spektakl *Hipnoza* wg A. Cwojdziańskiego w maju 2015 roku.

Kiedy w 1968 roku wpadłem na szalony pomysł, aby zrealizować *Wesele* S. Wyspiańskiego w Polskim Teatrze Ludowym we Lwowie, nie miałem wątpliwości, do kogo skieruję kroki w sprawie oprawy muzycznej. Muzyka, którą stworzył Andrzej Nikodemowicz, już w 1969 roku ujrzała światło ramy teatralnej i faktycznie brzmi do dziś przy różnych okazjach, choć *Wesela* już nie gramy niestety. Za *Weselem* powstaje na temacie wczesnego poloneza Chopina przewodni motyw muzyczny do *Fantazego* J. Słowackiego. Jest rok 1978 – 20-lecie Polskiego Teatru we Lwowie. Kompozytor jest już po relegacji z Konserwatorium Lwowskiego za swoje przekonania religijne, ale pracy się nie wyrzeka. Nasze kontakty przeradzają się w przyjaźń i wspaniałą współpracę, za chwilę pojawi się dowcipna i lekka oprawa muzyczna do *Pierwszej lepszej* A. Fredry i *Jubileusza* A. Czechowa, jakby urągając szarej i ponurej rzeczywistości otaczającej osobę kompozytora i losy Jego Rodziny, zmuszonej opuścić Lwów. W 1983 roku ja również podejmuję decyzję opuszczenia Lwowa i zaczynam pracę w polskich teatrach. W 1984 roku przychodzi propozycja realizacji *Mazepy* J. Słowackiego w Teatrze Dramatycznym im. Szaniawskiego w Wałbrzychu. I do kogo się udaję? Do „bratniej duszy” w Lublinie. Andrzej pisze wspaniałą muzykę do spektaklu, nagrywaną w studio



„M-2” w Warszawie pod dyr. Jana Prusaka, za *Mazepą* kolejną współpracą nad *Ich czworo* G. Zapolskiej – też w Wałbrzychu.

Kiedyś siedzieliśmy na wałbrzyskim dworcu w poczekalni, jakże daleko od Lwowa i Lublina, i nagle Andrzej z przekornym uśmiechem powiedział, że brak mu czerwonych hasel sławiących rewolucję październikową. A że kawalarz z Niego był niewąski, niech przypomnę fakt, iż kiedyś, kiedy składałem jedną z pierwszych wizyt w jego mieszkaniu przy dawnej ul. Potockiego we Lwowie, przyjął mnie przebrany za szewca Alojzego z przyklejonym nosem i szewskimi akcesoriami, czyli kopytem, młotkiem i rozbabranym butem. Reperując obuwie użalał się nad losem szewca-pijaczyny, oczywiście w bałaku lwowskim, aby chwilę po przebraniu zasiąść do fortepianu i prowadzić próbę naszego wspólnego Wieczoru Chopinowskiego. Talent kompozytorski łączył z talentem pianistycznym – Wieczór Poezji Norwida trudno sobie było wyobrazić bez Jego udziału. A już pomysłowości w poszukiwaniu barwy instrumentu trudno Mu odmówić, bo gdy przysposobił fortepian do nagrania motywu do *Fantazego*, wpychając między struny jakieś druty i klucze, to wszyscy w studiu nagraniowym oniemieliśmy z wrażenia po usłyszeniu efektu tych eksperymentów.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP wysoko oceniło współpracę Andrzeja Nikodemowicza z Polskim Teatrem Ludowym we Lwowie wręczając mu odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej” podczas uroczystości 50-lecia teatru we Lwowie.

Rozlegają się dzwony i do nawy wkracza orszak celebrujący mszę żałobną na czele z arcybiskupem lubelskim ks. Stanisławem Budzikiem, który będzie przewodniczyć uroczystości, obok niego ks. biskup Mieczysław Cisko, rektorzy dwóch lubelskich uniwersytetów KUL-u i UMCS-u. Rozpoczyna się celebra, ks. biskup Cisko wygłasza wspaniałą homilię, w której nakreśla życie i twórczość Zmarłego, podkreślając, że w Jego Twórczości sacrum miało dominujące miejsce i za to zapłacił wysoką cenę – degradację zawodową w Konserwatorium we Lwowie w 1973 roku, co było faktycznie prowokacją do opuszczenia rodzinnego miasta. Jak wyglądały „sądy kapturowe” ówczesnych „władców”, doświadczyłem i ja na własnej skórze w 1981 roku. Ta próba degradacji

i poniżenia godności ludzkiej nie powiodła się na szczęście.

W Lublinie, do którego Andrzej Nikodemowicz przeniósł się z Rodziną, znalazł wspaniałych przyjaciół i opiekunów wśród inteligencji i młodzieży akademickiej, która doceniła osobowość, talent, a nade wszystko wrażliwość i skromność Kompozytora.

Jego utwory znowu znajdują godne miejsce na koncertowych estradach, są drukowane i wydawane, a wśród wykonawców zyskują wspaniałych odtwórców. Na szczęście zmiany, które zaszły w historii światowej, przywróciły osobę Kompozytora i Jego dzieła do rodzinnego miasta. Na międzynarodowych festiwalach „Kontrasty” zabrzmiała kantata *Via crucis* w wykonaniu lwowskiego chóru Gloria pod kier. obecnego dyrektora Filharmonii Lwowskiej Wołodymyra Sywochipa, a partię sopranową w kantacie wykonała wspaniała śpiewaczka Olga Pasiecznik, wkrótce też została wykonana bajka *Szklana góra* na orkiestrę i narratorkę. W jednym i drugim wypadku miałem zaszczyt brać udział jako narrator. Autorski koncert w sali Filharmonii Lwowskiej zgromadził wielką rzeszę przyjaciół Kompozytora, która rześnymi brawami próbowała wynagrodzić krzywdę wyrządzoną Mu przed laty. Po liturgii żałobnej Andrzeja Nikodemowicza zabrali głos dyrektor Festiwalu „Czas i dźwięk” Teresa Księżka-Falger oraz prezes Stowarzyszenia Kompozytorów Polskich Mieczysław Kominiek, a także został odczytany list Lwowskiej Akademii Muzycznej, podpisany przez rektora Igora Pyłatiuka. Kondukt żałobny wyrusza w ostatnią drogę na cmentarz.

Ta piękna, wzruszająca i podniosła uroczystość przygotowana przez osoby świeckie i duchowne na czele z Prezydentem Miasta Krzysztofem Żukiem oraz Arcybiskupem Stanisławem Budzikiem podkreśliły zasługi całego życia i twórczości Człowieka skromnego i cichego, ale jakże wspaniałego we wszystkich swoich dokonaniach. Żegnaliśmy Go z żalem i choć dożył pięknego wieku, nie opuszcza mnie myśl, że jeszcze mógł podarować nam niejedną muzyczną frazę, która zapadłaby głęboko w serca. Ogromna to strata dla naszego miasta i świata kultury. Zapewne godnie przyjmie Go Pan do swego grona, a słowa, które tak często wypowiadamy, niech będą mottem wspomnień o mym Przyjacielu.

ERRATA

Chochlik drukarski – przepraszam komputerowy – szaleje bezkarnie i dokucza... Tym razem w jedynym numerze z 2016 r. zamienił imię rozmówczynie Janusza M. Palucha. Wywiad przeprowadzony był z dr Anną Suchardą Sobczyk, a nie z dr Joanną Suchardą Sobczyk. Panią dr Annę Suchardę Sobczyk przepraszamy.

(red.)

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Prezes Zarządu: Adam Gyrkovich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Andrzej Chlipalski (redaktor honorowy), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608 155 693, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523
Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie: 53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania sródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Okladka			
DWORZEC WE LWOWIE			
Słowo od Redakcji			
A JEDNAK KONTYNUACJA...			
O. Dominik Orczykowski			
HOMILIA			
Andrzej Chlipalski			
MOJE NOTATKI Z CZASU WOJNY			
Sławomir Dorocki, Paweł Brzegowy			
KOBIETA, KTÓRA SIĘ ŚMIAŁA			
Sławomir Gowin			
WILLA „SKIZ” I JEJ MIT			
Rozmowy			
Wiesław Ratajczak			
WYZNANIA LWOWSKIE...			
Sławomir Boćdok			
MALARSTWO LWOWSKIE			
Poezja			
MARCIN HAŁAŚ			
Stanisław Grodziski			
ZAPYTAJCIE KAMIENI			
Karolina Grodziska			
RELACJA O ROSJANACH WE LWOWIE			
Proza			
I Robert Nowakowski			
CZŁOWIEK Z SOWĄ			
II Zbigniew Wawrszczak			
ZAGINIONY ODDZIAŁ AK...			
1 Polemiki			
Alicja Uczciwek			
KILKA SŁÓW UZUPEŁNIENIA			
3 Anna Stengl			
„LWOWSKIE SPOTKANIA”			
11 Tadeusz Siemek			
JAN JULIAN KOSSOWSKI			
20 Anna Stengl			
STULECIE URODZIN PANI EMILII FEDYK			
25 Przemysław Włodek			
SŁOWNIK NAZW I ULIC...			
30 W KRAKOWIE I DALEJ			
Książki ♦ Czasopisma			
34 WERTUJĄC WYDAWNICTWA			
NOWE KSIĄŻKI			
36 Zbigniew Chrzanowski			
PANIE, NIE JESTEM GODZIEN...			
38 Errata			